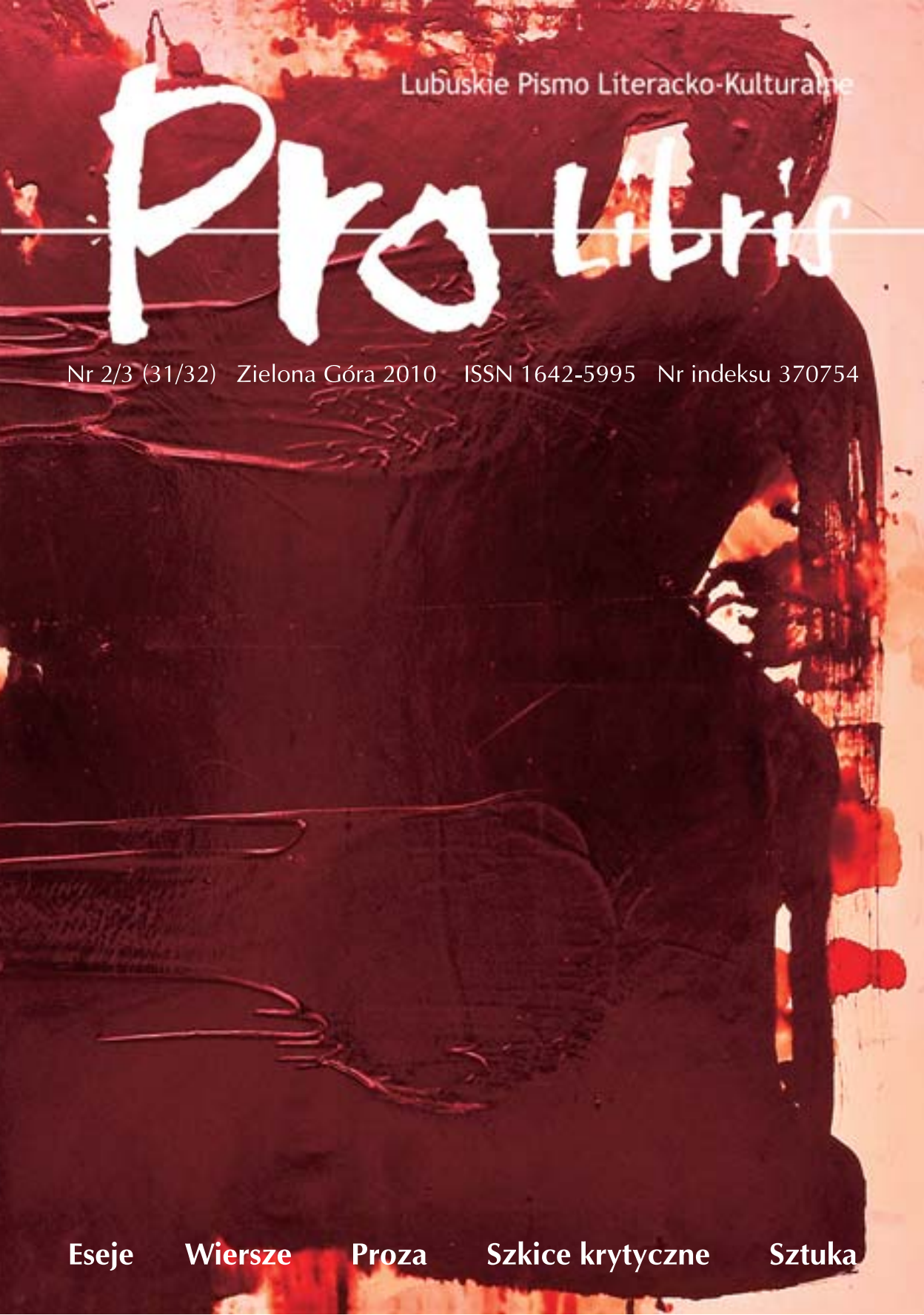




Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 2/3 (31/32) Zielona Góra 2010 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 2/3(31/32) – 2010

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Andrzej Bembenek

Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2010

Redaktor naczelny
Sławomir Kufel

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:
Ewa Andrzejewska, Andrzej Buck, Lidia Głuchowska, Anita Kucharska-Dziedzic

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Małgorzata Mikołajczak, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz

Fotografie
Tomasz Daikler, Przemysław Karwowski, Igor Myszkiewicz, Wacław Serdeczny

Wydawca
*Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
Ligatura

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres Redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
e-mail: Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>

Od redakcji

Podwójny numer „Pro Libris” zdarza się rzadko, i wtedy, gdy czekamy nieco dłużej na „osadzenie się” planowanych tekstów. Tym razem jednak, jak sądzę, warto było opóźnić edycję, by przekonać się, jak duży potencjał tkwi w naszym regionie.

Nie jest bowiem tak, że nie mamy nic do zaoferowania, że Zielona Góra nie jest atrakcyjnym miejscem do życia. Przez ostatnie lata zdiagnozowaliśmy wiele problemów, szans i zagrożeń. Pisaliśmy o trudnej tożsamości lubuskiej (niestety, zdaje się, że odeszła w siną dal...), o skomplikowanej niekiedy współpracy z Niemcami, która na szczęście układa się coraz lepiej, o stanie naszych elit i perspektywach na przyszłość. Teraz przyszła pora na optymizm. Mamy bowiem wiele do zaoferowania.

To nie prowincja – pojęcie peryferiów jest często kuszące, ale nie do końca przekonujące. Kiedyś, zanim jeszcze ukazał się pierwszy numer „Pro Libris”, jeden z jego dobrych duchów, prof. Czesław P. Dutka proponował tak nazwać pismo, właśnie „Peryferia” lub „Prowincja”. Intuicja profesora z pewnością zastanawia, lecz dziś mówienie i, co ważniejsze, myślenie takimi kategoriami, przestaje odpowiadać rzeczywistości. Prowincja to stan ducha, nie ciała.

W takim razie nie mamy się czego obawiać. W bieżącym numerze pisma znajdą Państwo wiersze, głębokie i sięgające do podstaw ludzkiej egzystencji – poczynawszy od znakomitych jak zawsze, choć nieco melancholijnych tekstów Mieczysława Warszawskiego, poprzez spokojną rozwałę przemysleń Janusza Koniusza, aż po poszukiwania Beaty Patrycji Klary czy Konrada Wojtyły.

Nie zawodzi również proza, tu pragnę zwrócić uwagę naszych Czytelników szczególnie na dwa teksty – *Spotkanie z wiecznością* Güntera Gubena oraz *Wspomnienie o Kaiserbergu, czyli Górze Cesarza koło Łazu* pióra Krzysztofa Fedorowicza i Izabeli Taraszcuk. Te dwa różne gatunkowo teksty uzupełniają się znakomicie. Pierwszy, etiuda

literacka w istocie, zdaje się pytać „co to jest, to dookoła?” i w jaki sposób znalazłem się tu i teraz? Tekst drugi natomiast jakby odpowiada – chłodno i rzeczowo – jesteś z Loos, i odpowiadasz za pamięć tego miejsca. Tu nie pora na niedźwiedzie ni słonię, tu jest czas na zastanowienie nad zbeszczeszczoną przez współczesnych przecież pamiątkę – pomnik stuletniego panowania wielkich panów Schönaich-Carolath.

Tak to właśnie na tych ziemiach jest. Dlatego nie są prowincją, bo być nie mogą – znajdują się w centrum europejskich wydarzeń.

A możliwości są spore. W prezentowanym numerze pisma znajdą Państwo po raz pierwszy tak liczną reprezentację tekstów napisanych przez twórców i teoretyków sztuki. To niezmiernie istotne, że wypowiadają się na naszych łamach artyści – Barbara Literska i Rafał Ciesielski, tym bardziej że Wydział Artystyczny Uniwersytetu Zielonogórskiego, z którego wywodzą się wspomniani autorzy, uzyskał najwyższą kategorię „A”, plasując się wśród najlepszych jednostek tego typu w kraju, a jedna z jego pracownic, profesor Magdalena Gryśka, tworzy nasze pismo od jego trzeciego numeru z 2002 roku.

Warto też zauważyć konsekwencję, z jaką profesor Małgorzata Mikołajczak realizuje zamysł stworzenia historii literatury naszego regionu, coraz mocniej akcentując udział w tym przedsięwzięciu swoich uczniów – ludzi młodych i bardzo zdolnych, którzy zostali w Zielonej Górze, bo nie uważają jej za prowincję.

To, oczywiście, nie wszystko, co znajdą Państwo w bieżącym numerze „Pro Libris”. Smakujcie powoli i piszcie... Tak właśnie, tylko w ten sposób uda się przekroczyć zaklęty krąg „prowincjonalności”. Zapraszam więc wszystkich do lektury, uważnej i twórczej.

Sławomir Kufel

Spis treści

Sławomir Kufel , Disce puer, czyli elita rozwojowa	6
Anita Kucharska-Dziedzic , Lubuskie obywatelskie, czyli co wynika z uderzania głową w mur	10
Konrad Wojtyła , Wiersze [Początek końca (Der Anfang vom Ende), Kondukt (Kondukt), Wyszło (Es hat Geklappt)]	16
Urszula Seifert , Odpowiedni rytm	19
Mieczysław Jan Warszawski , Wiersze [We własnym cieniu, Możliwe, Jaz, Wiadomo że prawda, Usynowienia, Pochwała kaligrafii]	21
Jacek Katos Katarzyński , Filmowa Zielona Góra – festiwalowa czy festiwal(OFF)owa?	27
Marek Grewling , Wiersz [Koncert Brandenburski (Das Brandenburgische Konzert)]	31
Halina Bohuta-Stapel , Kopciuszek 2002	35
Agnieszka Graczew-Czarkowska , Schemat a Experiment. Zielonogórzanie w Experimentie	39
Artur Wodarski , Kicz I, Kicz II	42
Janusz Koniusz , Wiersze [Choroba Noego, Ocalenie, Stworzenie, Na zamknięcie kopalni]	45
Günter Guben , Begegnung mit der Ewigkeit (Spotkanie z wiecznością)	49
Władysław Łazuka , Wiersze [Wietrzyk zawadiaka, Echo, Tańczymy, Przed zachodem]	52
Edward Derylak , Trzydzieści koszul	56
ZBLIŻENIA	63
Małgorzata Mikołajczak , „Biała plama?”. Twórczość lubuska w perspektywie nowego regionalizmu	63
PREZENTACJE	72
Andrzej Bembenek	72
Magdalena Gryśka , Wyobraź sobie... ..	73
Beata Patrycja Klary , Wiersze [comploratio – opłakiwanie, exordium – wyjawienie przyczyny bólu]	74
VARIA	76
Andrzej Buck , Dzieje spektaklu istotnego (II). Fabryczna 13. Głomb i Pilch na początek (w świetle prasy)	76
Jakub Rawski , Konferencja naukowa <i>Fantastyczność i cudowność. Mityczne scenariusze: od fikcji do mitu, od mitu do fikcji</i>	81
Igor Myszkiewicz , Wyjście z sieci. Wystawa zielonogórskich użytkowników digartu	83
Krzysztof Fedorowicz, Izabela Taraszczyk , Wspomnienie o Kaiserbergu, czyli Górze Cesarza koło Łazu (Erinnerung an den Kaiserberg bei Loos/Łaz)	85
Rafał Ciesielski , Festiwal różnaitości. Dni Muzyki nad Odrą	91
Barbara Literska , Chopin dla każdego?	95
RECENZJE I OMÓWIENIA	98
Ora et labora Heinrich von der Haar, <i>Mein Himmel brennt</i> (Rita König)	98

Arbeit ist ein Teil des Lebens (Praca jest częścią życia)	
Peter Plöger, <i>Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten</i> (Rita König)	101
„Czasem boli gdzieś obok” – o książce <i>Niczyja</i> słów kilka	
Elżbieta Skorupska-Raczyńska, <i>Niczyja</i> (Beata Patrycja Klary)	103
W krainie Mieczysława Warszawskiego	
Mieczysław J. Warszawski, <i>Zamieszkałość</i> (Aleksandra Krawczyk)	104
O liryce i piosence autorskiej Okudżawy	
Aleksandra Urban-Podolan, <i>Poezja Bułata Okudżawy. Między poetyką a interpretacją</i> (Robert Rudiak)	106
Językowa historia powiatu	
Iwona Żuraszek-Ryś, <i>Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego</i> (Angelika Fornalska)	109
Tylko żyć. Nic więcej	
Mieczysław J. Warszawski, <i>Persona non grata</i> (Dorota Modrzyk)	110
Bukowińskie bajanie	
Zygfryd Seul, <i>Gwarili na Bukowinie... Baśnie, legendy i historie prawdziwe</i> (Agnieszka Przybynowska)	111
Poeta we wnętrzu natury	
Władysław Łazuka, <i>Zaledwie ślad</i> (Czesław Sobkowiak)	112
Lepsza <i>Zamieszkałość</i>	
Mieczysław J. Warszawski, <i>Persona non grata; Zamieszkałość</i> (Czesław Sobkowiak)	114
Tragiczne losy wolsztynian	
Krzysztof Błaszczak, <i>Katyń. Wolsztyńska lista</i> (Gerard Tomiak)	115
Ubliżanie starości	
Ronald Harwood, spektakl <i>Kwartet</i> (Andrzej Buck)	117
Koncert aktorski	
Spektakl <i>Scenki z Zoszczenki</i> (Andrzej Buck)	119
„Piękno arabesek”. O wierszach Zygmunta Marka Piechockiego	
Zygmunt Marek Piechocki, <i>Sytuacje</i> (Małgorzata Mikołajczak)	120
Lubuski kryminał	
Krzysztof Koziółek, <i>Święta tajemnica</i> (Małgorzata Mikołajczak)	122
Ludzkie oblicze historii	
Tadeusz Zubiński, <i>Ogień przy drodze</i> (Agnieszka Szpyłma)	123
Co zrobić ze wspomnieniami?	
Anna Strzelec, <i>Druga pora życia, czyli jak zabija się miłość</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	126
Wisława Szymborska multimedialnie	
Album multimedialny: <i>Wisława Szymborska</i> (Joanna Wawryk)	127
KSIAŻKI NADEŚLANE	131
AUTORZY NUMERU	132

Disce puer, czyli elita rozwojowa

Ukazał się kolejny ranking szanghajski, oceniający 500 najlepszych uniwersytetów na świecie. Z polskich mamy Uniwersytet Warszawski oraz Uniwersytet Jagielloński, obydwa w ostatniej setce. Pozostałe polskie uczelnie nie mają tam czego szukać. Owszem, ranking szanghajski jest nieco krzywdzący – preferuje bowiem uczelnie techniczne i ścisłe. Podobnych list rankingowych jest wszakże więcej, niektóre zadziwiają solidnością kryteriów, jak na przykład ten sporządzany co pół roku przez Uniwersytet w Madrycie. W tym rankingu jest nieco lepiej – UJ znajduje się w czwartej setce.

Wiele już mówiliśmy o elitach, ale stanu posiadania Zielonej Góry jeszcze nie mamy. Nie zgadzam się bowiem z diagnozą, że wszyscy najlepsi z miasta pouciekali, a ci, co zostali, są zbyt słabi, by liczyć się choćby w regionalnej rozgrywce. Nie znam się na kulturze, więc o niej mówić nie będę. Bankowca kojarzę z uroczą obsługą (albo potężną kolejką) i z tym, że banki w tajemniczy sposób dają (lub nie) pieniądze. Lokali gastronomicznych oceniać nie chcę, dziennikarzem nie jestem, biznesmenów oglądam czasami w jakichś dziwnych samochodach. To zostawiam.

Myślę sobie jednak, że coś o edukacji po dwudziestu kilku latach pracy w zawodzie powiedzieć mogę. A jeśli szukam markera odnoszącego się do „stanu lubuskiego posiadania”, to mam nadzieję, że wiem, czego szukam.

Nie będę pisał, bo po co, lepiej wiedzący ode mnie i tak wiedzą lepiej, że nasz uniwersytet (gromki śmiech, przynajmniej w Zielonej Górze proszę...) wylądował na 1 483 miejscu we wspomnianym rankingu madryckim. No i widzicie, nie mówiłem? Wprawdzie oceniano 12 000 instytucji naukowych, ale co tam. Niechby nawet UJ zajmował miejsce 363, druga polska uczelnia, AGH, miejsce 537, natomiast Uniwersytet w Olsztynie 1 857, Szczeciński – 2 909, a Opolski – 3 761. Tak to wygląda z boku, bez polskiego zacietrzewienia i wedle w miarę obiektywnych kryteriów. Ale gdzie tam, mantra brzmi – jesteśmy najgorsi. Najgorsze są jednak kompleksy, zdecydowanie małomiasteczkowe kompleksy. Jeśli to Zielona Góra, to na pewno do niczego. Jakoś nie mają tego problemu w Opolu czy w Rzeszowie (3 094 miejsce), a miasta są porównywalne. Coś więc w nas tkwi, powtarzane wciąż w niektórych środowiskach. Słusznie? (no słusznie, oczywista oczywistość...)

Cóż więc wybrać jako przykład? Najlepiej humanistyczny, bo na naukach ścisłych się nie znam. Na humanistycznych też chyba nie, no bo przecież bym się nie wygłupiał i nie próbował udowadniać rzeczy nie do udowodnienia.

W lipcu nasz uniwersytet organizował trzecią edycję międzynarodowych spotkań naukowych historyków CompaRaison. Właściwie to nic wielkiego, takie spotkania zdarzają się często, i nie

tylko w kraju. Dlatego nie o tym. W imprezie brali udział naukowcy i studenci z Niemiec (Poczdami, Jena) oraz z Francji (Paryż, Wersal). To był ostatni przystanek projektu, wcześniej gościliśmy w Poczdamie i w Paryżu. To tak na marginesie, choć wiem, że Paryż do Wrocławia (752 miejsce) czy Poznań (690) nawet się nie umywa.

A co ma do tego elita? Z założenia rozmowy miały dotyczyć wymiany kulturowej i odmiennej mentalności. I co się okazało?

Pierwsza refleksja przyszła jeszcze w ubiegłym roku w Paryżu, kiedy wysłuchaliśmy kilku wykładów na temat tolerancji. Tolerancji kulturowej, ale przede wszystkim religijnej, tolerancji za wszelką, niekiedy absurdalną cenę. No dobrze, w końcu prawo gospodarzy. Zastanawiało coś innego – dlaczego w sercu cywilizowanej Europy wciąż indoktrynuje się ludzi, obojętnie w którą stronę. Chociaż z przyjaciółmi z Poczdamu gadało się znakomicie, Francuzi wyraźnie nas (i Niemców) unikali. Nie ten poziom.

Ale to było we Francji. Sobie myśleliśmy. W Polsce pewnie będzie inaczej – przyjadą, to nas oświecą. W końcu to w tamtej części Europy kiełkowała nowoczesna cywilizacja, podczas gdy w naszej dorzynano ostatnie niedźwiedzie.

Jedno ze spotkań tegorocznych CompaRaisons dotyczyło religii. Przyjął nas gościnny Paradyż, który wiele już w swej historii widział i wiele dysput przeżył. Szykowaliśmy się na być może kontrowersyjną, ale rzeczową i budującą dyskusję. W końcu bez religii, jakiegokolwiek religii, społeczeństwa nie istnieją. Tak się przynajmniej wydawało do pewnego lipcowego poranka.

Studenci naszego uniwersytetu przygotowali prezentację i zgrabnie ją przedstawili, tym razem po angielsku i po niemiecku. Francuzi słuchali uważnie, ale coraz bardziej nerwowo. Jakże to tak, bez skrępowania mówić o religii, przytaczać historyczne przykłady i nie wpadać w jakikolwiek fanatyzm? Niepodobna.

Toteż reakcja była natychmiastowa. Poważny francuski profesor wyłożył nam po francusku obowiązujące w Europie stanowisko. Zresztą, w tej innej Europie. Jak stwierdził, Polska oraz inne kraje

bałkańskie, powinny się wiele jeszcze nauczyć. Właściwie to żadna różnica, z perspektywy Paryża rzeczywiście – Belgrad, Sofia czy Warszawa to jednakowo prowincja.

Potem było jeszcze ciekawiej. Okazało się bowiem, że zupełnie opacznie pojmujemy misję uniwersytecką. Profesor wielokrotnie podkreślał, że jest nauczycielem akademickim, i że jako taki profesor nie wyobraża sobie... We Francji nie ma miejsca na naukową debatę o religii, nie wolno o tym mówić, bo to zaburza laickość państwa. No dobrze, właściwie, jeśli Francuzi sobie tego życzą, mogą robić tak, a nie inaczej. Ale dlaczego my mamy się tak samo zachowywać? A jeżeli nie, nie jesteśmy żadnymi partnerami intelektualnymi. Jesteśmy poniżej pewnego poziomu, niżej na przykład od pewnego paryskiego dentysty, który wezwał policję, gdy pojawiła się u niego pacjentka w czadorze. Nie ze względu na niebezpieczeństwo, które stwarzała, ale dlatego że manifestowała w ten sposób swoje przekonania religijne. Tu profesor spojrzał wymownie na wiszący na ścianie sali krucyfiks, ale szybko się zreflektował. Niech wisi.

W tym momencie zgłosiła się studentka z Uniwersytetu w Jenie. Zaczęła po francusku, pewnie z szacunku dla profesora. Ten jednak mruknął do niej: „Niech pani mówi po angielsku, bo pani angielski jest dużo lepszy niż francuski”. Elegancki mężczyzna wyraził się więc jasno. Studentka, niestety, jak to Niemka, nie zrozumiała aluzji i przeszła na angielski. Zapytała profesora, jakie racjonalne argumenty każą ograniczać wolność człowieka, w tym wolność wyznania. Usłyszała w odpowiedzi, że to fałszywe i prowincjonalne myślenie. Nie zastanawiając się długo, machnęła lekceważąco ręką i wyszła.

Najwłaściwiej w tym wszystkim zachowali się studenci. Polscy i niemieccy chcieli przeprowadzić dyskusję, francuscy milczeli. Zresztą już później, w Warszawie, młodzi Francuzi przepraszali Polaków za zachowanie starszych. Wnioski?

Odnieśmy się do młodych ludzi. Studenci UZ to w większości (choć nie do końca, uczy się u nas coraz więcej osób z najróżniejszych stron świata)

mieszkańcy naszego regionu, przede wszystkim spoza Zielonej Góry. Tak się uartało, że są to ludzie mniej zdolni, którzy idą na studia niedaleko, bo gdzie indziej nie daliby sobie rady. Trudno o większą bzdurę.

W każdym ośrodku można znaleźć lepszych i gorszych, ale nie powinniśmy patrzeć na sprawę w ten sposób. Chodzi przede wszystkim o otwartość na świat, nowe idee, ludzi i sytuacje. Nie ma nic gorszego niż społeczna i kulturowa klaustrofobia.

Miałem okazję poznać wielu zielonogórskich studentów, podczas pracy w międzynarodowym towarzystwie. To solidny poziom, nie tylko intelektualny. Nie mamy się czego wstydić, ci młodzi ludzie sprawdzają się wszędzie.

A teraz właściwie wnioski. Nie wiadomo dlaczego, nie umiemy wytworzyć w Zielonej Górze atmosfery intelektualnego tygła. Środowiska tzw. opiniotwórcze zachwycają się byle chałturą (najlepiej warszawską), a nie potrafią wypromować tego, co rzeczywiście dla nas istotne. Gdy słyszę narzekania typu: muszę wyjechać z Zielonej Góry, bo tu nie mam żadnych perspektyw – to zastanawiam się, gdzie w tym wszystkim jest logika.

Przecież nie chodzi o to, by z miasta nie wyjeżdżać. To nawet korzystne, gdyż warto poznać świat i ludzi. Ale jeśli wystarczy nam podrzędne stanowisko we Wrocławiu, Poznaniu czy Warszawie – ze świadomością, że nie jesteśmy w stanie przekroczyć pewnego progu, bo tamtejsze zasiedziały „elity” zawsze będą nas traktować jak prowincjusza – w porządku. Nie tłumaczmy tylko młodym ludziom, że wystarczy wyjechać i już wszystko będzie łatwiejsze. To nie jest prawdą, a nieliczne wyjątki ludzi, którzy zrobili ogólnopolską karierę (by wspomnieć Tomasza Lisa), tylko ją potwierdzają.

W Zielonej Górze nigdy nie będzie perspektyw, jeśli młodzi ludzie nie będą wracać. To oczywiście nie jest ich wina, że nie wracają. To raczej wina tych zgorzkniałych, którym się wydaje, że zostając w mieście, przegrali swą życiową szansę. To raczej wina karierowiczów, którzy zrobią wszystko, by młodego człowieka nie dopuścić do atrakcyjnej pracy – bo na przykład nie jest z tej koterii. To

raczej wina zaściankowo myślących, dla których świat kończy się na prymitywnej wojence z Gorzowem. ltd.

Nie chodzi więc o to, że wytworzenie w Zielonej Górze elit jest niemożliwe, a raczej o to, byśmy w taki obrót spraw uwierzyli. Tym bardziej że mamy spore atuty. Nie tak dawno odwiedził nasz uniwersytet przedstawiciel uczelni z francuskiego Caen (w rankingu kilkanaście miejsc niżej od UJ) i zaproponował współpracę przy realizacji europejskiego projektu „tożsamości miejsc”. Kiedy zapytałem go, dlaczego wybrał właśnie Zieloną Górę – podał kilka ciekawych powodów: po pierwsze, stwierdził, jesteśmy niewielkim miastem z przyzwoitym uniwersyteciem, zatem z pewnością lokalne środowiska mocno wspierają swoją uczelnię. Po wtóre, dowodził, okolice go zauroczyły – przede wszystkim krajobraz. I wreszcie najważniejsze – jesteście w Europie, powiedział. Na wątpliwe spojrzenie zdziwił się i dodał – no przecież to tylko godzina drogi od Berlina.

W ten sposób określił, co widać z boku. Nie dodał, bo nie mógł tego wiedzieć, że pobliskie ośrodki akademickie zaczynają traktować nas jako konkurencję, przynajmniej w niektórych dziedzinach badawczych i kierunkach studiów (niewiele osób w mieście wie na przykład, że cztery wydziały mają najwyższą kategorię ministerialną, a to oznacza, że są klasyfikowane wśród około 50 takich jednostek w kraju). Papierkiem lakmusem jest oczywiście rekrutacja – jeśli ktoś chce studiować prawo bądź medycynę, wybiera inny ośrodek, ale pozostali coraz częściej zaglądają do nas.

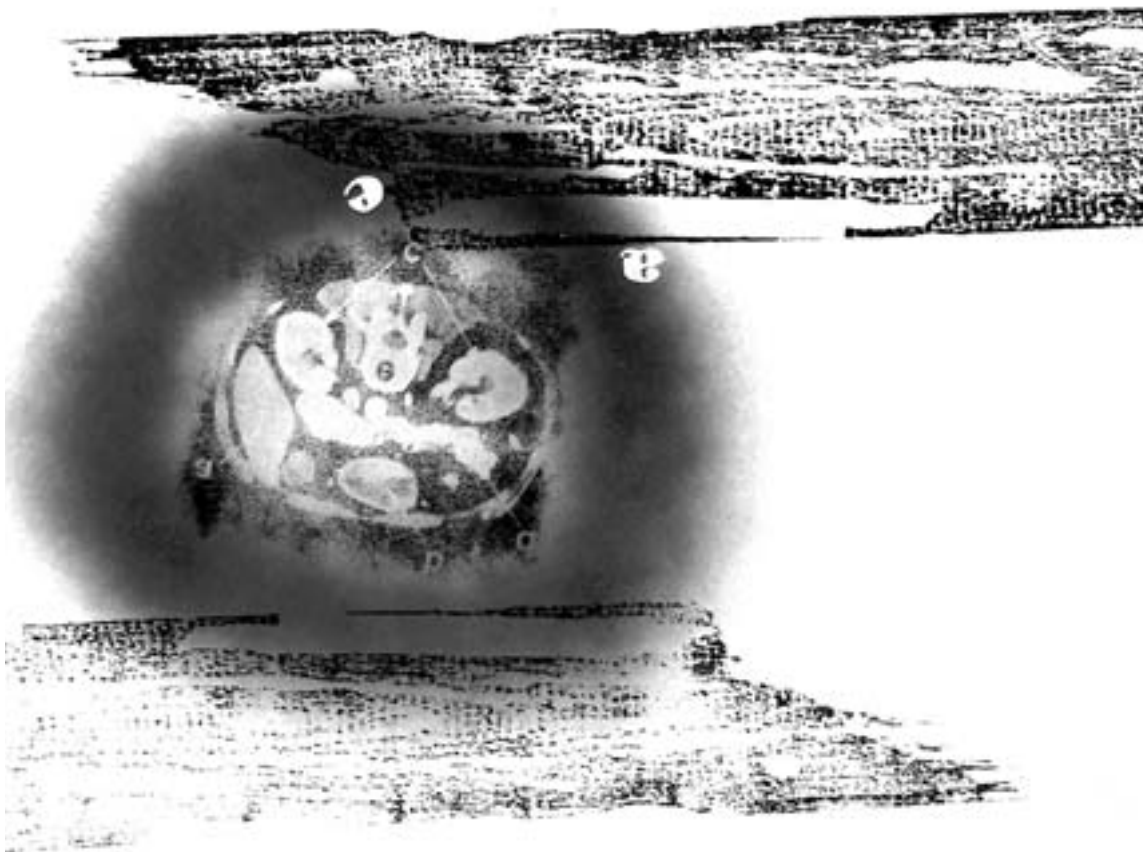
Oczywiście, niczego nie można zadekretować. Nie chodzi o to, by oszukiwać młodych ludzi, mówiąc im, że po ukończeniu UZ świat będzie u ich stóp. Podobnie zresztą jak po UAM, UJ, UW itp. Wszędzie można pracować i wszędzie można osiągnąć sukces, jeśli się tego chce. Gdy słyszę więc ucznia jednego z liceów w Zielonej Górze, deklarującego, że zamierza wyjechać na studia gdzieś dalej – to w porządku. Ale jeśli słyszę tu i ówdzie, także wśród nauczycieli, że UZ jest do niczego – inna sprawa. Nikt nie każe tu studiować,

ale obrzydzanie miasta, deprecjonowanie jego rzeczywistych osiągnięć, powtarzanie, że Warszawa, Wrocław czy Poznań – jest wobec własnego miasta nieprzyzwoitością. Jeśli takie podejście się nie zmieni, wciąż będziemy marnować szansę, jaką jeszcze mamy. A tym to boleśniej, że dotyczy najmłodszych.

Okazuje się bowiem, że prowincją jest się na własne życzenie. Prowincją jest się mentalnie, bo ma się kompleksy. A z kompleksami żadnej elity zbudować nie można. A skoro nie można, nie ma też szans na nawiązanie dialogu z kimkolwiek. A to już jest zaścianek.

Trzeba więc zacząć dobrze mówić o mieście i o regionie. Nie trzeba się bać, że ktoś z Warszawy nas wyśmiej – jedna linia metra to też jest prowincja. Stosujmy tylko właściwe proporcje – Zielona Góra nigdy nie będzie Wrocławiem. Po co? Wykorzystajmy tylko te atuty, które posiadamy.

A zatem, konkluzja. Elita młodzieżowa w Zielonej Górze istnieje, chociaż po maturze z miasta wyjeżdża i w zbyt wielu wypadkach nie wraca. Jeśli pozwalamy na taki drenaż, jeśli nie mamy w ręku niczego, by młodych odzyskać – umieramy. A Zielona Góra jest przecież za młoda, by umierać.



Lubuskie obywatelskie, czyli co wynika z uderzania głową w mur

Czy obywatele województwa lubuskiego tworzą już społeczeństwo obywatelskie? Jak wygląda rozwój obywatelskiej aktywności grupowej: organizacji pozarządowych, wspólnot lokalnych i samorządowych, nieformalnych ruchów społecznych? Wprawdzie w podsumowaniach i statystykach liczba takich grup jest stosunkowo niewielka i Lubuskie plasuje się na końcu rankingów krajowych, ale jesteśmy przecież województwem o niewielkiej stosunkowo liczbie ludności, nie powinno nas niepokoić, że województwa lubuskie i opolskie mają najmniejszą liczbę organizacji pozarządowych w kraju, skoro mają także najmniej ludności.

Dużo ważniejszą kwestią jest, czy takie grupy mają u nas dobre warunki, żeby powstawać i się rozwijać, a także, czy oddolne inicjatywy społeczne mają szanse wypracować rozwiązania społeczne dla wszystkich obywateli. Siła organizacji pozarządowych w dialogu z państwem jest najlepszym wskaźnikiem demokratyzacji życia. Wystarczy spojrzeć na rozwinięte demokracje. W porównaniu z USA czy Zachodnią Europą tylu Polaków nie należy do żadnego bytu, ilu Amerykanów czy Europejczyków należy. Ci nasi rodacy wyjeżdżają na Zachód, którzy chcą wtopić się w tamtejsze społeczności, zintegrować i przynależeć do klasy

społecznej adekwatnej do ich wykształcenia i pozycji w Polsce, konstatują, czasem ze zdziwieniem, że warunkiem przyjęcia dziecka do dobrej szkoły czy klubu sportowego jest przynależność rodziców do jakiejś zorganizowanej grupy, nawet klubu wielbicieli lokalnego sera, czy golfowego. Obywatel należący do NGO (non governmental organization, międzynarodowy skrót oznaczający organizację pozarządową), to obywatel wzbudzający zaufanie, obywatel świadomy swoich praw i obowiązków wobec społeczności, otwarty na współpracę i dialog, nieobojętny na sprawy wspólnoty. Taki obywatel wzbudza szacunek. Obywatel w nic niezaangażowany wygląda podejrzanie, w krajach anglosaskich dowodzi swoim postępowaniem przynależności do najniższej klasy społecznej, z którą społeczeństwo po prostu się nie liczy.

Polacy mają negatywne skojarzenia z pracą społeczną i niestety przez 20 lat po 1989 roku niewiele się zmieniło. Wystarczy spojrzeć na kwestię przekazywania 1 procenta z płaconych przez nas podatków na rzecz samodzielnie wybranej organizacji pożytku publicznego. Jeśli tak bardzo nie lubimy podatków i denerwuje nas, na co rządzący i urzędnicy je przeznaczają, to przecież decyzja o przekazaniu tej jednej małej części

na wybrany przez nas cel powinna być naturalnych odruchem. A tak nie jest. Ta niewielka część obywateli, przekazując 1 procent, przekazuje go zazwyczaj na rzecz ogromnych organizacji ogólnopolskich reklamujących się w telewizji, a skoro się reklamujących, to dysponujących niewyobrażalnym dla zwykłego obywatela budżetem i dziesiątkami ludzi na etatach. Wpływy na konta organizacji działających na rynku lokalnym, a więc mających rzeczywisty wpływ na życie statystycznego obywatela, są ciągle mniejsze, niżby na to wskazywała logika. Małe organizacje dysponujące niewielkim budżetem mają też ograniczone możliwości w staraniu się o dotacje celowe; wysokość dotacji niemal zawsze zależy od wpływu środków na konto organizacji w roku poprzednim. Organizacje z małym budżetem mogą się starać o niewysokie granty. Wiele organizacji nie jest zatem w stanie wywalczyć dla swojego pomysłu na realizację projektu naprawdę dużych pieniędzy, zwłaszcza jeśli nie jest powiązana z lokalnym establishmentem, ale o tym niżej. Ten problem zauważono, stąd tak wiele jest programów wsparcia finansowego dla organizacji młodych i pracujących w niewielkich społecznościach.

W przypadku dotacji mówi się o dotacjach płaconych z góry i z dołu, to znaczy pieniądze otrzymuje się na realizację projektu albo przed jego rozpoczęciem, czasami w kilku transzach, albo po jego zakończeniu, co zmusza organizację do kredytowania projektu. Molochy z wielkimi pieniędzmi na koncie mogą sobie na to pozwolić (także na zainwestowanie w kosztowne akcje reklamowe), średniaków i małych organizacji po prostu na to nie stać. Taka praktyka jest bardzo często stosowana zarówno przez fundacje polskie i międzynarodowe wspierające rozwój społeczeństwa obywatelskiego, jak i agendy rządowe lub urzędy rozdzielające środki europejskie. Wiele środków jest więc z góry niedostępnych dla mniejszych ruchów społecznych. Zwrot następuje czasami bezpośrednio po zakończeniu projektu, czasami nawet po kilku latach. Na palcach jednej ręki mogą policzyć fundacje otrzymujące pieniądze od prywatnych donatorów i wielkich koncernów,

by przekazać je niżej, do NGO-sów i niestosujące praktyki przetrzymywania środków. Dlaczego tak się dzieje? Bo te fundacje żyją z oprocentowania kont. O ile fundacje można zrozumieć, zupełnie w tym wypadku nie rozumiem państwa, które w przypadku części środków unijnych stosuje analogiczną praktykę. Powód jest ten sam, ale skutki są opłakane; znam organizacje, które się zadłużają i takie, których już nie ma, bo nie doczekały zwrotu środków i zwyczajnie zbankrutowały. Czasami słyszę argument, że jest to sposób gwarantujący rzetelną realizację projektu, ale to nieprawda, bo równie częsta jest inna praktyka zabezpieczająca poprawność realizacji zadania i wydatkowania środków, a mianowicie: zmusić prezesa do podpisania weksla *in blanco*, zdarza więc się, że gwarantuję własnym majątkiem poprawność realizacji projektu, mimo że zwyczajnie w nim nie pracuję i nie zarabiam.

Sytuacja w Lubuskiem nie odbiega zasadniczo od sytuacji w całym kraju. Organizacja, w której pracuję, mimo lat doświadczenia i ilości zrealizowanych projektów nie występuje i nie będzie występować w konkursach o dotacje wypłacane po realizacji projektów, zwyczajnie i po prostu nie chcemy ponosić ryzyka finansowego.

Agendy rządowe i urzędy stosują więc taką praktykę z takich samych pobudek: z pozycji silniejszego dyktują warunki grantobiorcom i zachowują się jak rentierzy. Dramatycznie hamuje to rozwój sektora pozarządowego i umożliwia absorpcję środków niekoniecznie przez tych, którzy pracują efektywnie. Widziałam już instytucje stworzone ze środków unijnych, w których absolutnie nic się nie dzieje, po korytarzach snują się pracownicy, tylko beneficjentów nie można spotkać. Są takie projekty, których uczestnicy mogą się w trakcie realizacji projektu wykruszyć, uznawszy, że projekt jest do niczego i szkoda nań czasu, a projekt w najlepsze trwa dalej. Tak się zdarza w wypadku partnerstwa, gdy partnerem NGO-su jest lokalny urząd. Urzędowi i jednostkom samorządu lokalnego nie grozi bankructwo, stąd marnieniem każdego NGO-su jest znaleźć dla swojego projektu partnera zapewniającego finansowanie

działań, mimo czasowego braku dotacji lub płacenia po zakończeniu projektu. A to niełatwe.

Organizacje, żeby działać, potrzebują albo ciężkiej pracy w wolontariacie i ogromnego zaangażowania przyjaciół, albo po prostu pieniędzy. Z tym pierwszym rozwiązaniem jest taki problem, że entuzjazm zazwyczaj na długo nie starcza i o ile nie ma grupy charyzmatycznych przywódców gotowych przez długi czas łączyć pracę zawodową ze społeczną, organizacje umierają śmiercią naturalną. Z pieniędzmi jest tak, że jeśli jest się wiernym własnej wizji organizacji i jej celów, to pieniądze czasem są, a częściej ich nie ma. Pojawiają się więc byty nastawione na szukanie pieniędzy i po prostu zarabianie w trzecim sektorze. Te pierwsze organizacje minimalizują koszty osobowe i administracyjne, opierają się na pracy wolontariuszy, te drugie – odwrotnie, NGO to po prostu miejsce ich pracy. Obie grupy są wzajemnie wobec siebie nieufne, zwłaszcza że organizacje działające na rzecz innych organizacji, wspierające ruch NGO, to zazwyczaj tak zwani zawodowcy. Tego typu organizacje żyją z organizowania szkoleń, które właśnie są powodem niechęci, bo znalezienie dobrego szkolenia, kompetentnie przeprowadzonego – jest naprawdę trudnym zadaniem. Środki na te szkolenia są, a szkolący częstokroć przygotowują się do wykładów czy warsztatów, kopiując z internetu. Problem ze szkoleniami nie dotyczy tylko działaczy społecznych, pracownicy budżetówki też często muszą uczestniczyć w szkoleniach, co do poziomu których mają poważne wątpliwości. Zdarzają się szkolenia wyjazdowe i tu ważniejsza od poziomu zajęć jest klasa hotelu i atrakcyjność miejscowości uzdrowskowej.

Organizacje świadome słabości w pojedynkę, usiłują tworzyć byty wspólne, różne porozumienia, ruchy, platformy, kongresy i rady. Niemal zawsze jednak w takim wypadku popełniany jest grzech pierworodny – inicjatorzy myślą o własnej sile i własnym prestiżu, a nie reprezentowaniu środowiska. Myśli się raczej tak: za nami stoi kilkanaście czy kilkadziesiąt organizacji, więc z nami trzeba się liczyć; zamiast: reprezentujemy dużą grupę

organizacji, z którymi trzeba się liczyć. Przy zakładaniu tego typu rodzaju porozumień pojawia się zazwyczaj jedna dominująca organizacja, która usiłuje nie zapraszać do grona innej silnej organizacji, żeby czasem nie dać się zdominować. Wygląda to czasami komicznie, gdy powołuje się jakieś forum, dzwoni się do organizacji wiele lat działającej na danym polu i prosi się, żeby się absolutnie nie pojawiała, po czym udaje się, że konkurencji nie ma.

Lekceważenie osiągnięć i dorobku konkurencji jest na porządku dziennym. Współpraca jest rzadka, wzajemne wspieranie się w tak banalnych czynnościach jak rekomendacja projektów i poręka dla wkraczającej na rynek grupy praktycznie nie istnieje. W efekcie każdy sobie rzepkę skrobie. A rekomendacje są istotne, ktoś przecież musi potwierdzić, że ludzie tworzący dany byt są poważni i wiarygodni, i warto z nimi współpracować oraz powierzyć im środki na dany projekt. Wzajemna rywalizacja przy nikłości rynku i środków do zdobycia jest oczywista, ale nie powinna przesłaniać ani dobra sektora, ani dobra beneficjentów naszych działań. Wzajemne podszczypywanie się to chyba taka trochę polska specjalność, niestety. Podobnie z postawą wyparcia: jeśli będziemy udawać, że danego problemu nie ma, to on umrze śmiercią naturalną, zrozpaczony brakiem należytej uwagi i zainteresowania. Podobnie dzieje się z konkurencją, co jakiś czas jakiś nowy lokalny byt pracujący na rzecz tej samej grupy beneficjentów udaje, że organizacji, w której pracuję, nie ma. Taką strategię stosują też lokalni politycy. Zdarzyło nam się, że odbierałyśmy prestiżową nagrodę za działalność społeczną, a na lokalną imprezę dla instytucji pracującym na tym polu nie zostałyśmy nawet zaproszone. Nie jesteśmy wyjątkiem. A od wzajemnego bicia się łopatkami piasku w piaskownicy nie przybędzie. Część organizacji zamiast stawiać na rzetelną pracę i kontakt z beneficjentami, stawia na przyjaźnie z politykami. Te kontakty nie są przecież niczym złym, wręcz są wskazane, ale nie mogą stanowić o jedynej sile organizacji, bo to krótkotrwała perspektywa. Ale taka strategia staje się dla części organizacji jedyną wobec

słabości sektora w konfrontacji z systemem, trzeba po prostu znaleźć silnego stronnika, tak zwane plecy. Stąd w środowisku NGO widoczne są podziały polityczne, określone organizacje sytuuje się na obrzeżach danej partii politycznej. Doszliśmy do takiego momentu, że apolityczność albo poprawne relacje z politykami różnych opcji są podejrzane i wzbudzają nieufność. W podziale na „swoich” i „nieswoich” organizacje, usiłujące zachować apolityczność i niezależność, zawsze są „nieswoje”.

Z perspektywy 10 lat pracy w organizacji społecznej dostrzegam kilka paradoksów w sytuacji mojej i ludzi angażujących się w działalność pozarządową.

Najsilniejsze na rynku lokalnym są oddziały organizacji ogólnopolskich, choć one reagują na problemy ogólnokrajowe, nie specyficzne, lokalne. Ich mobilność bywa mniejsza, decyzyjność ograniczona, strategia – podporządkowana organizacji-matce lub organizacji-czapie. Siła bytów lokalnych we wpływanie na rzeczywistość jest dużo mniejsza. Ta prawidłowość dotyczy także organizacji związanych z Kościołem katolickim. Zwyczajnie mają fory. Odważnych do zadzierania z najsilniejszą instytucją w Polsce nie ma, czy mówimy o samorządzie lokalnym, czy państwie. Wystarczy popatrzeć na petycje, postulaty, projekty ustaw: jeśli mają poparcie hierarchów czy lokalnego proboszcza, prawdopodobieństwo przepchnięcia ich od założeń do praktycznej realizacji jest wysokie, odwrotnie proporcjonalne niż w przypadku pomysłów bez takiego poparcia. Przyznaję uczciwie – przemawia przeze mnie zazdrość.

Coraz częstsze są w kraju i w naszym województwie inicjatywy krótkotrwałe, niesformalizowane – ludzie spontanicznie grupują się wokół problemu: wycinają drzewka, budują coś okropnego. Reagują, gdy zdarzyło się nieszczęście, zachorowało ciężko dziecko. Obywatele piszą petycje, organizują protesty, happeningi, zbiórki, koncerty. Takich wydarzeń w regionie jest sporo, nie zawsze przynoszą oczekiwany skutek, co niestety hamuje zapał ludzi w następnej, podobnej sytuacji. Ale jeśli się udaje wpłynąć na rzeczywistość, ludzie się integrują, a nawet zaprzyjaźniają,

zwiększa się ich poczucie bezpieczeństwa i samoocena, stają się społecznością prawdziwie obywatelską. Tak się rodzą czasami grupy sformalizowane. Dobrze, jeśli taką inicjatywę zauważą i wesprą lokalne media. Z takich inicjatyw wywodzą się często politycy z prawdziwego zdarzenia, którzy we władzy widzą szansę działania na rzecz dobra wspólnego i efektywnego wpływu na lokalny świat.

Im mniejsza miejscowość, tym lepsza współpraca z władzą lokalną. Spotykam młode organizacje, jeszcze bez dorobku i osiągnięć, pytam o współpracę z władzami, a działacze chwalą wójta, burmistrza czy sołtysa. W małym środowisku trudniej grupę obywateli zlekceważyć, bo wszyscy się znają, choćby z widzenia. Społeczeństwo obywatelskie rozwija się od podstaw i u podstaw. O dziwo w małych środowiskach łatwiej o dotacje i wsparcie. W zasadzie można powiedzieć, że każdy głos się liczy, szacunek dla obywatela jest większy. Widzimy to także na własnym przykładzie, z jednostkami samorządu lokalnego w tak zwanym terenie w wymiarze organizacyjnym współpracuje nam się lepiej. Prowincjonalni politycy i urzędnicy są prawie zawsze otwarci na współpracę, w przypadku większych miast – nie jest to regułą.

Na lekceważonej prowincji dzieją się rzeczy zupełnie niebywałe. Pojawiają się ludzie i byty nieodwracalnie zmieniające lokalną rzeczywistość. Wystarczy charyzma i entuzjazm, nie potrzeba struktur, pieniędzy i formalizowania społecznego bytu. Kiedy widzę wiele inicjatyw lokalnych, odczuwam bolesne ukłucie zazdrości dla siły charakterów i pomysłowości mieszkańców prowincji pracujących na rzecz swoich społeczności. Politycy lokalni wręcz się boją swoich organizacji pozarządowych, bo ich opinia o władzy może być decydująca nad kartką wyborczą. Ale ważny jest także wstyd, lokalni politycy nie chcą się wstydzić złych decyzji i lekceważenia mieszkańców.

W większych miastach ludzie znają się inaczej, znają się po linii partyjnej. W dostępie do łaski władzy są równi i równiejsi. Ci równiejsi niekoniecznie są lepsi, bardziej kompetentni, mobilni, potrzebniejsi czy z większym dorobkiem i osiągnięciami.

Obowiązują archaiczne układy i dziedziczne łaski, na garnuszku miasta żyją organizacje starych towarzyszy walki, których często jedyną troską jest ochrona miejsca pracy prezesa i jego sekretarki. W większych miastach władza łatwiej uderza do głowy, notabłami czują się nie tylko zasiadający w miejskich urzędach, ale wszyscy ich współpracownicy. O parlamentarzystach nie wspomnę, łatwiej chyba o papieską audiencję niż szczere zainteresowanie parlamentarzysty dla lokalnego problemu i ludzi, którzy się z nim zmagają. Notable są ludźmi szalenie zajętymi, wiele imprez w regionie odbywa się pod ich patronatem, przyjeżdżają otworzyć imprezę i znikają po pierwszym wystąpieniu lub jeszcze w jego trakcie. Naiwnie myślałam, że tak po prostu musi być, tym większe moje zdziwienie, że za granicą jest inaczej i politycy siedzą na konferencjach do samego końca, rozpoczynają je i zamykają. Dostaje się mandat społeczny i natychmiastowo przestaje się cenić społeczeństwo. Parlamentarzyści odpisujący na listy – rzadkie zjawisko, dzięki Ci Panie za urzędników, którzy muszą w oznaczonym przepisami terminie.

W większych miastach dostrzegam jeszcze jeden paradoks. Mnożą się organizacje zakładane przez urzędników. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dziwnym trafem te organizacje powielają pracę tych urzędników w urzędzie. To są po prostu starania o dodatkowy etat, kiedy łatwiej o szkolenia, *know how* o funduszach, zwłaszcza unijnych, dostęp do komisji konkursowych poprzez znajomych i przy nieprzejrzystych zasadach oceniania wniosków. W funduszach unijnych promuje się partnerstwo organizacji pozarządowych z jednostkami samorządu lokalnego. Takie partnerstwo to nie tylko wspólna praca czy cele, to czasami także pieniądze, które urząd musi wydatkować, żeby projekt wszedł w życie. O takie porozumienia, skutkujące zobowiązaniami finansowymi finansowanymi z pieniędzy podatników, urzędnikom-działaczom po prostu łatwiej. Tak jest na szczeblu lokalnym, tak jest na szczeblu krajowym. Takie organizacje to częstokroć efemerydy; powstają, by zdobyć dotację, a kiedy fundusze na

dany cel się kończą, organizacje znikają, choć nie znika problem, z którym – dzięki środkom – z takim oddaniem walczyły. Skutkiem jest problem ze znalezieniem porządných szkoleń. Czy to dla osób zagrożonych bezrobociem, czy to dla samych organizacji pozarządowych, czy urzędników większość takich szkoleń, wysoko płatnych dla prowadzących i organizatorów, ma nikłą wartość merytoryczną. Ale przecież nie o szkolenia chodzi, tylko o absorpcję środków unijnych. Byłam już na takich szkoleniach, gdzie całą wiedzę prowadzący ściągnął sobie z internetu i to niekoniecznie ze stron specjalistycznych.

Jakim cudem takie projektu są rozliczane? Nie ma z tym problemu, merytorycznymi aspektami nikt się nie zajmuje, to tak zwane papiery muszą się zgadzać; papiery, czyli faktury i rachunki. Jeśli, powiedzmy przykładowo, robimy szkolenie dla fryzjerek, to nikt nie sprawdza, czy wyszkolona osoba umie zrobić trwałą bez spalenia klientce włosów, ale czy na rachunku wystawionym przez prowadzącego kurs zgadzają się dane osobowe, daty przeprowadzenia szkolenia i zrobienia przelewu oraz logo projektu odpowiednio umieszczone na każdym druku. Nie o to chodzi, że jestem zwolenniczką błaganu w papierach, ale ztraca się proporcje. Zdarzyło mi się błagać firmę o korektę faktury na kilkadziesiąt złotych po półtora roku, bo na komputerowym wydruku faktury była adnotacja: zapłacono gotówką, choć tak naprawdę zrobiono przelew, potwierdzony stosownym wyciążem, a żadna gotówka z konta nie wypłynęła. Dziękowałam Opatrzności, że sklep jeszcze działał, a ekspedientka nie uznała nas za wariatki.

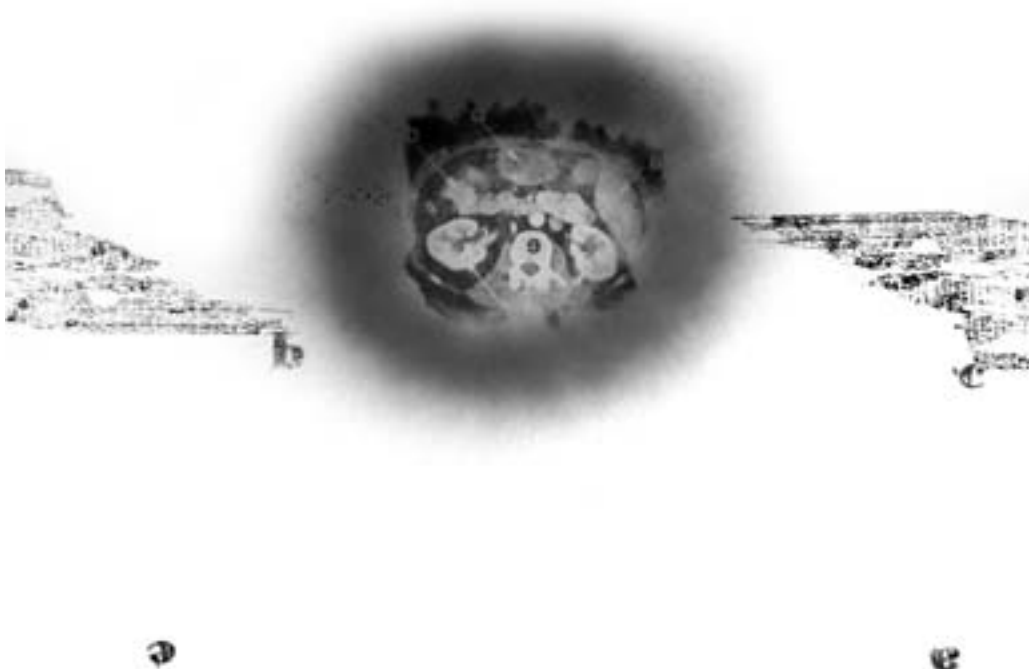
Urzednicy są różni, jak to ludzie. Różne są ich kompetencje i zaangażowanie. Poznałyśmy skądinąd sympatyczną dziewczynę, której jedyną troską jest zabezpieczanie sobie tak zwanych tyłów. Pisma od niej dostajemy w ostatnim możliwym terminie; nie w ostatnim dniu, ale w ostatniej godzinie. Korespondencja z nią też jest kuriozalna; gdy mamy coś zrobić, coś wyjaśnić, coś poprawić, dostajemy faksy, pisma, e-maile. Gdy dziewczyna coś namiesza, napsuje, pomyli się, to dzwoni do nas, żeby po jej pomyłce czy przeoczeniu, broń

Boże, nie pozostał żaden ślad i dowód. Lojalność korporacyjna jest powszechna, gdyby ktoś sądził, że dotyczy tylko lekarzy czy sędziów. Świadomość ułomnych kompetencji wśród wielu urzędników powoduje, że wzajemnie ukrywają błędy, mnożąc papierzyska w sposób uniemożliwiający ewentualnym kontrolującym przebrnięcie przez nie. Nasza polska bylejakość utrzymuje się dzięki tej dymnej osłonie miliona papierów i nieprzejrzystej metodologii (uwaga – słowo klucz). Nie wszędzie przecież trafi NIK, Izba Skarbowa czy bystry prokurator.

Komisje konkursowe i sposoby oceniania wniosków to temat rzeka. Zasadniczy problem to nieskuteczność odwołań od werdyktu, bo jeśli środki na dane działanie zostały rozdysponowane, to odwołanie od decyzji komisji jest nieskuteczne, bo nawet jeśli opinia o odrzuconym projekcie zostanie zweryfikowana, to środków już nie ma, więc żadna dotacja nie zostanie przyznana, a o organizacji pozostanie opinia, że to pyskacze i roszczeniowcy. Zdarzały nam się dwie zupełnie wykluczające się opinie i oceny tak zwanych ekspertów. Zdarzały się jednocześnie opinie o projekcie: jest mało oryginalny i powiela stosowane powszechnie rozwiązania oraz nagroda dla tego samego projektu przyznana przez (w gruncie

rzeczy tę samą instytucję) za innowacyjność. Zdarzyło się, że żądano ode mnie następującego oświadczenia: Ja, Anita Kucharska-Dziedzic, legitymująca się dowodem takim a takim, upoważniam panią Anitę Kucharską-Dziedzic, legitymującą się dowodem takim a takim, do podpisywania umów w imieniu Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet BABA. Nie żartuję. Oświadczenia takiego nie napisałam, dotacji nie otrzymałyśmy. Zdarzyło nam się, że zniknęły dokumenty dołączone do wniosku i odrzucono projekt z powodu braku załączników.

Ale nic to, ponarzekałam sobie i już się lepiej czuję. Takie problemy mają wszyscy, a jednak z powodu przeciwności nikt nie zawiesza działalności. Ludzie trzeciego sektora generalnie są uparci i zawzięci, słomiany zapał to rzadka przypadłość. Jak miło pomyśleć, co by było, gdyby było normalnie i utrudnienia psujące krew i odwracające uwagę od rzeczy ważnych się nie zdarzały. Ponarzekałam, bo to artykuł, a w druku zawsze lepiej wychodzą narzekania niż zachwyty. Na wszelki jednak wypadek: tam, gdzie krytykowałam lub piętnowałam, wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest niezamierzone i przypadkowe... Tak na wszelki wypadek.



Początek końca

koniec i początek
są nie do pomyślenia.

nie myśl
porzuć
zawsze już
jest

coś
na kształt złudzeń
ciało nieruchome
każde oko puste
każda rana
sucha żywa tkanka
martwa.

w miejsce odpustu
impotencja boska.

Der Anfang vom Ende

das ende und der anfang
nicht auszudenken.

den gedanken
verwirf
stets gibt es
da

etwas
trugbildgleiches
einen reglosen körper
jedes auge leer
jede wunde
trocken das lebendige gewebe
tot.

anstelle von kirchmess
göttliche impotenz.

Kondukt

dom w środku niczego
sen na zewnątrz ciała
łza w kółko pudru
kondukt przy bramie
trumna potem coś
co w ziemi

love parada mrówek

niosą te swoje małe
tarczki i te różowe ząbki
pewnie już zaczynają
te swoje tańce
wokół tronu królowej.

Kondukt

ein haus mitten im nichts
schlaf außerhalb des körpers
eine träne um und um bepudert
ein kondukt am tor
ein sarg dann etwas
was zur erde gehört

loveparade der ameisen

sie tragen ihre kleinen
schilder und ihre rosigen zähnen
bestimmt sind sie schon zugange
mit ihrem getanze
um den thron der königin.

Wyszło

stało się. i dobrze się stało. wyszło.
ojciec stanął mi uwięziony
pod powieką, przed oczami w rzęsach
rozpycha się w tęczęwkach stoi i błędnie
nie chce wyjść, broczy. zapada się
w pamięci.

nie ma na to żadnych dowodów.
tylko wyrwa w płątku
mózgu i.

i znów. jest, staje się,
potem łśni i łśni.
ślini się do mnie. wszystko
nie tak. nie inaczej. nie zmartwychwstał.
ktoś mówi, że przeszedł na islam,
a miał zostać
u siebie.

Es hat Geklappt

es geschah. und es ist gut so. es hat geklappt.
vater stand wie gebannt mir
unter den lidern, vor den augen in den
er macht sich auf der iris breit steht und
wimpern
verblasst

will nicht gehen, blutet. geht ein
ins gedächtnis.

beweise gibt es keine dafür.
nur eine lücke im lappen
vom gehirn und.

und noch einmal. er ist, er wird,
dann scheint er und scheint.
schleimt mich an. alles stimmt
nicht so richtig. nicht anders. nicht
auferstanden.

jemand sagt, er sei zum islam übergetreten,
dabei sollte er doch
bei sich bleiben.

Odpowiedni rytm

Autobus linii numer 8 zabiera mieszkańców w podróż ulicami, alejami, serpentynami. Podróżni siedzą lub stoją. Są zatopieni w myślach, skupieni. Obserwują otaczający świat, milczą. Milczą, bo nie wiedzą, co powiedzieć. Bywają uśmiechnięci albo smutni, nieraz są otwarci, bywa że hermetyczni. Miasto, a w nim światła, milion światła. Sto ulic. Tysiące domów. I jeszcze więcej dusz. To miasto ma swój rytm.

Kiedy ma się zaledwie 19 lat, coś się kończy i za chwilę zaczyna. Mętlik w głowie i presja konieczności wyboru, wyboru czegoś, co ma procen-tować w przyszłości. Czegoś, co przyniesie satys-fakcję i nie pozwoli, by rozczarowali się inni. Matura i studia. To koniec starego i początek nowego. Jak 31 grudnia godzina 00. Właśnie, jak wybrać, by było dobrze? Dobrze dla mnie i dla innych. Tak, by się nie rozczarować. Mieć postanowienia, jakiś plan. Potem skrupulatnie go realizować, zostawiając jednak trochę miejsca na spontaniczność, by nie zwariować. Poukładać sobie w głowie kolejne etapy działań. Może niezbyt dokładnie, by się nie zawieść. Może zapisywać w notesie?... Potem, co pewien czas otwierać i odznaczać: wykonane!

Moja podróż z Zieloną Górą rozpoczęła się cztery lata temu. Tak niewiele wtedy wiedziałam... Początkowo odbierałam to miasto z niechęcią. „Bo jak można lubić Zieloną Górę?” – zastanawiałam się wówczas. Dziś, siedząc w ulubionym miejscu,

cytując słowa piosenki „Ze światła poczęte moje miasto. Z deszczu wyżęte moje miasto” (Maria Peszek, *Moje miasto*), dobrze wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Dlaczego można je polubić? Powodów jest milion albo i więcej! Są bardziej i mniej ważne, ale przecież zazwyczaj cieszą małe rzeczy. Tych jest nieskończenie wiele. To jest obraz starszego małżeństwa, siedzącego w parku przy skrzyżowa-niu Dąbrówki i alei Wojska Polskiego. Trwa jesień, wokół pełno złotych liści, a oni trzymają się za ręce, dotykają swoich twarzy. Widać szczęście w ich pełnych mądrości oczach. Karmią gołębie, rozmawiają, potem przytuleni idą w tym samym kierunku. I tak do końca przez całe życie.

Taką radością jest pierwsze mieszkanie i pie-niądze zarobione samodzielnie na jego utrzy-manie. I choć ma się ochotę krzyczeć, że wszystko boli ze zmęczenia, to przecież wewnętrzna satys-fakcja na to nie pozwala. Wtedy czujesz się jak dorosły, kierujesz swoim losem, mimo że po-pelniasz wciąż jeszcze masę błędów. Patrzysz przez okno swojego mieszkania na idących ludzi, na jadące autobusy i samochody. Patrzysz na ptaki unoszące się na niebie, na wirujące na wietrze liście, na wschód i zachód słońca. I już wiesz, że wasze rytmy są identyczne. Podobnie cieszy wysiadanie przy fontannie w upalny dzień. Rejestrowanie obrazów i dźwięków, obserwo-wanie ludzi: pary zakochanych przechadzających

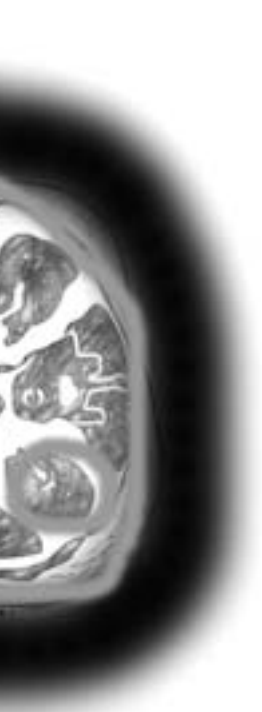
się nieopodal, gromadki dzieci, taplających się w roziskrzonej słońcem wodzie. Wszystko to jest ciągiem niepowtarzalnych zdarzeń. Prozaicznych, zwykłych, ale przecież dających do myślenia, dających wytchnąć po całym dniu zabiegania, w tym „maratonie życia”, w którym uczestniczymy.

Cieszy także spacer z kimś przy boku. Zwykły spacer, włóczenie się ulicami Zielonej Góry, odwiedzanie szczególnych miejsc.

Jeszcze mocniej cieszy coś, czego się nie spodziewasz od losu – szansa rozwoju, praca.

Praca, która nie jest przymusem, która zamienia się w miłość w pełni odwzajemnioną. Wtedy wiesz, że żyjesz. A przede wszystkim wiesz, w którym kierunku zmierzasz.

Dziś wiem już, że jeszcze wiele przede mną – wiele miejsc do odkrycia, wiele osób do poznania i wiele do zrobienia. Wiem też, że wybrałam już moje miejsce na ziemi. To jest moje miasto, którego rytm współgra z moim wewnętrznym rytmem, z muzyką, która ze mnie wypływa. Dla innych...



We własnym cieniu

Chylisz się ku upadkowi niczym wyeksploatowane słońce
Co schodzi ze wzgórza za dom za rzekę aby
W jakichś zakątkach czy też odmętach się zapodziać

A przecież jeszcze nie tak dawno zakasywałeś rękawy
I faszynowałeś osuwiska będąc przekonanym że nic nie jest
W stanie wyprowadzić ciebie na życia manowce lecz

Świat nie byłby sobą gdyby wciąż nie stawał na głowie
Dlatego więc inne progi inne brzegi rzuca ci pod nogi
Inne też okiennice horyzontów swą energią roztacza

Jak słońce w którego ciągłej regeneracji niejeden zachód
I wschód niejeden zasadza się balastem neuronów na karku cóż
Z tego że stronami chyli się ku upadkowi skoro nawet

Przycupnięte stronami przyświeca skrywanej choćby myśli

18 czerwca 2010

Możliwe

Możliwe że gdzieś istnieje niebo i
W niebie tym życie wiecznie trwa więc
Większość ludzi chce tam pójść czasami
Nawet za wszelką cenę
Za cenę eutanazji
Też

14 maja 2008

Jaz

W poprzek rzeki
Jaz

Jakby rzeźbił to co płynne
Jakby płynne chciał przechować
W niestałym

Wszak spiętrza nie podział
Lecz upust wód

4 marca 2010

Wiadomo że prawda

Wiadomo że prawda
W zależności od interpretacji
Bywa po każdej ze stron nie przyklaskuj
Więc żadnej tym bardziej zbyt pochopnie chociażby
Nawet przemawiała przez ciebie tak zwana bezstronność
Dowolnie bowiem pojmowana okazuje się nieraz
Być połowiczną nijaka też mi to satysfakcja
Kiedy ujawniona przejawia
Więcej niegodziwości
Aniżeli bicia się
W pierś

listopad 2009

Usynowienia

Mój syn-nie-syn
Wyrzeka się ojca
Ale jakoś tak
Nie do końca
Od serca

W rubryce
Imię ojca nadal
Bowiem wpisuje:
Mieczysław

Podobnie ja wpisuję
Imię swego ojca:
Tadeusz

Wygląda na to że każdy
Z nas się usynawia

Ale każdy na swój sposób

31 marca 2010

Pochwała kaligrafii

Z wszystkich rzeczy
Które jak dotąd
Utrzymują mnie przy tak
Czy inaczej doświadczanym życiu
Nie pozwalając
Bym spoczął na laurach
Wyróżniłbym zwłaszcza wcale
Nie poobgryzany ołówek
Z pierwszej klasy
Szkoły podstawowej
Lecz pióro zwykłe pióro
W rzeczywistości zaś
Składającą się nań obsadkę
I stalówkę maczaną
W kałamarzu oraz nie do końca
Jeszcze zapisany zeszyt
W spłowiałej okładce
Skąd wyziera jednak
Wciąż niejeden
Inkaustowy kleks
A więc to wszystko
Co jak kleksiło
Kleksi nadal

Ktoś powiedział
Że nawet dość
Kaligraficznie

10 lutego 2010

Filmowa Zielona Góra – festiwalowa czy festiwal(OFF)owa?

To, że Zielona Góra filmem stoi, udowodniłem już na łamach „Pro Libris” (nr 2/2009). Nikt chyba zatem nie wątpi w niezbywalną wartość Filmowej Zielonej Góry. Jednak sfera, którą opisałem – zielonogórskie formacje filmowe na kartach historii polskiego kina niezależnego – to nie wszystko.

Z kronikarskiego obowiązku wypada mi dodać, że pominąłem wówczas dorobek filmowy Marzeny Więcek i Wytwórni Filmowej A’YoY, będący dopełnieniem pucharu filmowej obfitości w grodzie Bachusa. Na uzupełnienie być może przyjdzie jeszcze czas. Z braku wystarczającej wiedzy nie zagłębiałem się też zbyt mocno w przeszłość. Tym bardziej gratuluję Małgorzacie Ziemskiej artykułu zamieszczonego w 1. tegorocznym numerze kwartalnika na temat Lubuskiego Klubu Filmowego, który swoją działalnością, już w latach 50. wbił zielonogórską chorągiewkę w filmową mapę Polski.

Zaproszenie do napisania tekstu na temat festiwalu filmowych odbywających się na Ziemi Lubuskiej przyjąłem ze szczególną przyjemnością. Z jednej strony dlatego, że większość z nich znam od środka. Z drugiej, wprost przeciwnie, bo zaledwie kilka dni wcześniej, na własne życzenie, pożegnałem się z funkcją dyrektora artystycznego

jednego z nich. Mogę zatem przy pisaniu niniejszego tekstu czuć się wolnym od „patriotycznych” zobowiązań. I pozostając tak obiektywnym, jak nakazuje mi moje wewnętrzne artystyczno-dziennikarskie postrzeganie, mogę ze spokojnym sumieniem zagłębić się w temat filmowych objawień Ziemi Lubuskiej.

Szkoda, że filmowa historia Gorzowa zamyka się w jednym zaledwie zdaniu; „Kino 60 krzesel” i „Kino Niezależne” działające od wielu lat przy Galerii BWA, jako inicjatywy prezentujące niekomercyjny repertuar filmowy w mieście siedmiu wzgórz, są jak najbardziej szczytnym, ale – niestety – jedynym filmowym akcentem, jaki dane mi było poznać.

Natomiast potwierdzeniem siły filmowej winnego grodu jest ilość festiwalu odbywających się w naszym mieście. Tych „wczorajszych” i tych odbywających się obecnie. Jednak czy owa festiwalowa moc jest równie znacząca w Polsce, jak twórczość zielonogórskich filmowców?

Bez wątplenia najważniejszym festiwalem na Ziemi Lubuskiej jest Lubuskie Lato Filmowe w Łagowie. Dla jasności, to jedyny festiwal naszego regionu naniesiony na mapę filmową Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.



Oczywiście nie to świadczy o jego prestiżu. W 1969 roku odbywa się pierwsza edycja LLF. I choć pierwsze festiwale filmów amatorskich ruszają w Polsce już ponad 10 lat wcześniej (np. koniński OKFA – 1954), to LLF, jako najstarszy festiwal filmów fabularnych, jest niezwykle ważny dla festiwalowej historii, nie tylko Ziemi Lubuskiej. Klub Kultury Filmowej z jego obecnym dyrektorem Andrzejem Kawalą prowadzi festiwal od 1986 roku. Niestety, z przykrością muszę dodać, że z roku na rok LLF jest postrzegany bardziej poprzez pryzmat kontrowersji niż wartości. Nie będę ukrywał, że irytuje mnie chora nagonka na dzisiejszy LLF. Toteż w pierwszej wersji artykułu, ulegając własnym emocjom, próbowałem wyważyć racje i słabości po obu stronach barykady. Jednak po dłuższym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że jakakolwiek próba udowadniania wartości LLF-u jest po prostu zbędna. Być może łagowski festiwal dla zielonogórzan oznacza początek wakacyjnego karnawału, dla łagowian – kęs soczystego bytu, dla kinomaniaków – „ich 5 minut” bezpośredniego obcowania ze światem filmu, dla samych filmowców – czas na sentymentalne powroty. A dla tych, którzy są tam zawsze? Dla takich ludzi jak Werner, Kawala, Mielczarkiewicz... Nie wiem. Wiem tylko, że gdyby nie ćwierć wieku ich bezwzględного dla wszelkich przeciwności uporu w kontynuowaniu LLF-u, Ziemia Lubuska wiele by straciła. Może jeszcze dodam, że o jakości festiwalu decydują ostatecznie nie zdolności menedżerskie jego

władz, ale chęć dialogu, współpraca i poparcie, jakie winne są im władze lokalne. Czy jest remedium na tę sytuację? Wystarczy przyjrzeć się bliżej dynamicznemu rozwojowi Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu.

Na koniec tego tematu dzielę się już zupełnie osobistą refleksją; durne są wizje tych, którzy uważają, że LLF przeniesiony do Zielonej Góry mógłby zyskać. Bzdura! To byłby zupełnie inny festiwal.

A skoro Zielona Góra, to wracamy do filmu niezależnego. Jednym z festiwali, które posiadają najdłuższą historię, a jednocześnie są najbardziej zapomniane, jest Międzynarodowy Festiwal Filmów Wytwórni A'YoY. Ha! I tu dopiero mamy ciężki orzech do zgryzienia. Po pierwsze – festiwal został nazwany międzynarodowym tylko dlatego, że pojawiły się na nim 2 filmy z Australii – Leszka Jenka, kolegi organizatorów. Po drugie – fakt, festiwal miał, jak podają organizatorzy, około dziesięciu edycji (pierwszą bodaj w 1996), jednak sam w sobie był hermetycznym wytworem Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego i jego przyjaciół z całej Polski. Zatem podsumowując, w związku z tym, że organizator festiwalu, Wytwórnia A'YoY „powstała jako efekt uboczny posiadania kamery”, nie możemy traktować festiwalu do końca poważnie.

Nadal więc, jeśli chodzi o historię festiwalową Zielonej Góry, jesteśmy daleko w łagowskim... rezerwacie. A może czas już przejść do dwóch najbardziej aktywnych obecnie wydarzeń filmowych w naszym mieście: Festiwalu Kino Poza Kinem Filmowa Góra (do 2009 r. Festiwal Filmowy Kino Niezależne FG) oraz Międzynarodowego Festiwalu Kina Autorskiego Quest Europe? I owszem, to obecnie najbardziej wyraziste festiwale zielonogórskie na scenie festiwalowej w Polsce. Jednak czy jedyne ważne dla tej historii?

Cofnijmy się jeszcze do roku 2002. Wtedy to wraz z Grzegorzem Lipcem i Januszem Młyńskim byliśmy inicjatorami pierwszego (!) Telewizyjnego Festiwalu Filmowego odbywającego pod egidą zielonogórskiej Kabłówki i Sky Piastowskich. Notabene, dopiero dwa lata później TVP 2, organizując

Telewizyjny Festiwal Filmowy Kina Niezależnego, przyznało sobie palmę pierwszeństwa tego „pierwszego telewizyjnego...”. Co prawda festiwal w Kabłównce miał tylko jedną edycję i widzów nieporównywalnie mniej, jednak jako eksperymentalny twór wizyjny naprawdę nie miał się czego wstydzić. W ciągu 2 miesięcy wakacyjnych (skąd my to znamy?!) widzowie obejrzeli 77 filmów. Wśród naszych laureatów znalazł się Krzysztof Globisz i Doman Nowakowski (wzięty scenarzysta telenowel, np. *39 i pół*), a to z pewnością świadczy o jakości prezentacji. Pierwszy Telewizyjny (zielonogórski) Festiwal Filmowy zdążył również odegrać swoją rolę promocyjną. I to za granicą. Do retrospektywy nagrodzonych przez zielonogórze filmów doszło podczas Fokus Poland na festiwalu w Cottbus. No dobrze, ale czy był to faktycznie pierwszy zielonogórski akcent festiwalowy?

Otóż nie! Podczas Winobrania '99, Klub Kultury Filmowej, Zagłębie Kabaretowe oraz Sky Piastowskie organizują Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Filmów Fabularnych KINO POZA KINEM (!). No proszę, jak to pięknie się wszystko zaplata. Festiwal kierowany był do „półprofesjonalistów”, trwał trzy dni i odbywał się w kinie Newa. Tu po raz pierwszy jako juror w zielonogórskim festiwalu pojawił się Sylwester Chęciński. Widzowie obejrzeli 16 filmów. Wśród autorów pojawili się prekursorzy polskiego offu: Piotr Krzywiec, Dominik Matwiejczyka, a nawet odbywający karę za zabójstwo Andrzeja Zauchy – Yves Goulais. Grand Prix OFAFF KINO POZA KINEM, przypadło Przemysławowi Wojcieszce za jego debiut filmowy *Zabij Ich Wszystkich* z Robertem Gonerą w roli głównej. I choć te dwie próby zakorzenienia festiwalowych tradycji w Zielonej Górze nie udały się, a imprezy okazały się efemerydami, to jednak ich znaczenie jest niebagatelne.

Poznaliśmy już środowisko „filmotwórcze” winnego grodu, jednak do tej pory zaledwie uszczknęliśmy z materii dwóch najważniejszych festiwali filmowych odbywających się w grodzie Bachusa. Pierwszy... Nie! Nie możemy mówić tu, o tym, który z nich jest pierwszy z prostego powodu.

W 2005 r. w ramach II Letniego Festiwalu Lato Muz Wszelakich, odbyła się impreza o charakterze festiwalowym FILMOWA GÓRA. Dlaczego nie używam pełnej nazwy? A to dlatego, że inicjatorzy imprezy sami wówczas do końca nie potrafili się określić. W folderze informacyjnym LMW FILMOWA GÓRA raz jest określana jako Festiwal Filmowy, to znów jako Ogólnopolski Przegląd Filmów Niezależnych. Festiwal a przegląd to istotna różnica. Zwłaszcza że... I tu nie koniec niespodzianek! ...tę pierwszą imprezę pod herbem FILMOWEJ GÓRY jako NARODZINY własnego festiwalu przypisują sobie dyrekcje obu wspomnianych imprez; Marzena Więcek (QUEST EUROPE) i Bruno Aleksander Kieć (FILMOWA GÓRA), wówczas działający – co chwalebne – w pełnym porozumieniu.

Z pewnością, oba festiwale są wartościowe, ambitne i zauważalne poza naszym województwem, a nawet krajem. Jednak te wspólne korzenie, a więc podobne idee powstania, zasady działania stają się problemem tak dla uczestników, jak i organizatorów. Oba festiwale odbywają się w tym samym czasie. W tym samym czasie urządzają finał i to zaledwie... 30 metrów (!) od siebie. Myślę, że w Polsce tłumaczy się tę sytuację – delikatnie mówiąc – kabaretowymi korzeniami naszego miasta. Cóż, na tak wąskim torze działań musi dochodzić do tego typu kolizji pomiędzy dwoma bolidami pędzącymi z tą samą szybkością. Nadal jednak z uporem twierdzę, że i QE, i FG posiadają swoje bezwzględne wartości, za które należy je cenić. Choć też nigdy nie mogłem zrozumieć – dlaczego nie można połączyć sił obu tych wydarzeń? Z pełną świadomością stwierdzam, że wówczas mielibyśmy w Zielonej Górze BARDZO MOCNY FESTIWAL POLSKIEGO i EUROPEJSKIEGO KINA NIEZALEŻNEGO.

Na koniec sięgnijmy do pakietu o mniej spektakularnej prezentacji. Jeden obszar projekcyjny, jakże jednak różnorodny.

Przeglądając zapowiedzi winobraniowych wydarzeń kulturalnych 2010, trafiłem na ślad Piątego Zielonogórskiego Przeglądu Filmów Nieprofesjonalnych. Kilka dni później, był to już czwarty (!)

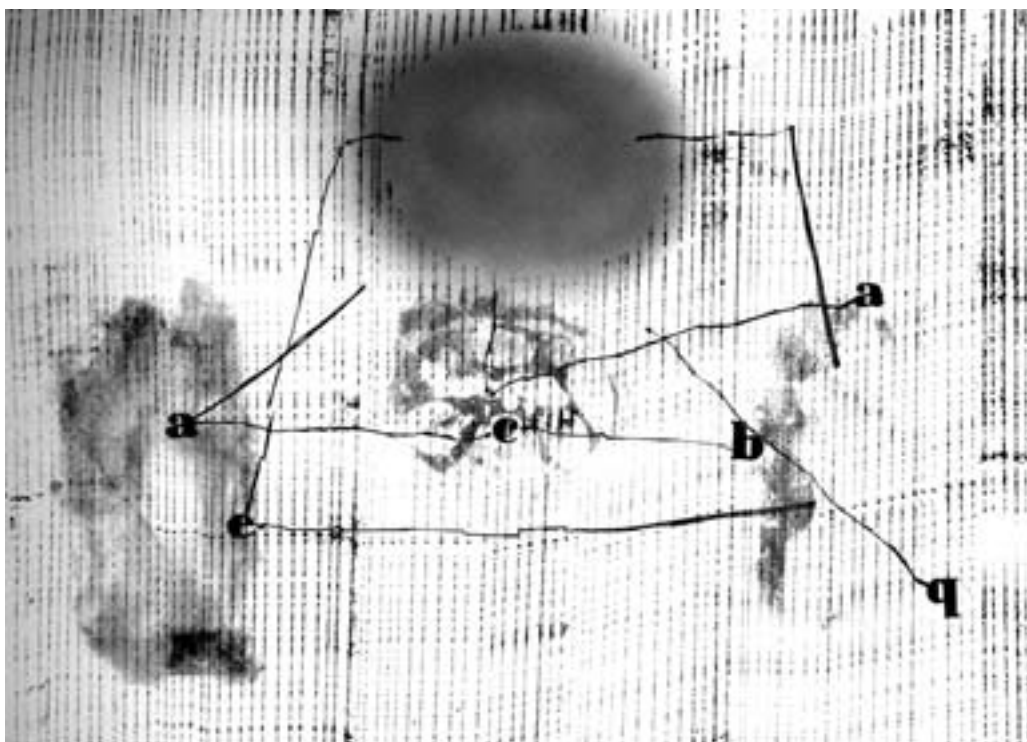
przegląd, a w oficjalnym programie Winobrania w ogóle go nie znalazłem. Do chwili ukończenia niniejszego tekstu nie udało mi się, mimo usilnych starań, dotrzeć do rysu historycznego owego festiwalu-widma. Dlatego więcej o nim nie będę pisał.

Na drugim biegunie objawień Ziemi Lubuskiej znalazłem SOLANIN – FILM FESTIWAL. Z jednej strony – impreza bardzo skromna w swoim wydaniu, z drugiej – godna podziwu, jeśli chodzi o zaangażowanie. Około 30 wolontariuszy i nazwiska gości nie mniej ważne niż te pojawiające się na wspomnianych wcześniej festiwalach. To tam Krzysztof Kiersznowski pojawił się po raz pierwszy w roli jurora. W programie SOLANINA czytamy: „[...] kino offowe ma duży potencjał. Pokażmy razem, że w OFFIE SIŁA!”. Co biorąc pod uwagę konsekwentne, choć małe i ostrożne – ale, być może o to w tym chodzi – kroki, może im się udać. Czego im z całego serca życzę.

PS

W lipcu przyszłego roku odbędzie się Forum Festiwalu Filmowych, stawiające sobie za cel promowanie najciekawszych, a niekoniecznie najbardziej doświadczonych, polskich festiwalu. W ciągu 7 dni na FoFeFi zaprezentuje się 12 festiwalu. Jaką rolę odegra na tej imprezie Zielona Góra – okaże się wkrótce.

www.llf.pl
www.filmowa-gora.pl
www.sikora.art.pl
www.quest-europe.eu
www.solanin-film.pl
www.mosart.pl
www.agencjafilmowa.zgora.pl



Koncert Brandenburski

I

Noszę w sobie koncert
gdy skąpany w słońcu
staję w świątyniach
Brandenburgii
dziecię i kapłan tej krainy

Lśniące ołtarze
wśród spalonych ścian
pożoga okryta płaszczem
nowych barw
tęczą zapomnienia
która jednak nie okryje pamięci

(Azja ognista kłuje oczy luną)

A ja stoję z podziwem
wdycham powietrze
Brandenburgia
wypełnia moje płuca
i serce
oto prefacja
dziękczynienie
za los

Pyszne kościoły Francji
mimo rozet dzwonów
i patyny nazw
mają puste dusze
Ich ornamenty cyzelowane
szczęściem stuleci
milczą sycąc się własnym pięknem

Nad nimi niebo
kto je zobaczył – zateśkni
na każdym krańcu świata
i wyciągnie do niego ramiona
jak drzewo
z brandenburskiego lasu

Das Brandenburgische Konzert

I

Ich spüre die Melodie in mir
wenn die Sonne mich bescheint,
stehe ich in den Tempeln
Brandenburgs
Kind und Priester des Landes

Funkelnde Altäre
Inmitten von verbrannten Wänden
Großbrand- übersät
von neuen Farben
Regenbogenfarben der Vergessenheit,
die jedoch die Erinnerungen nicht bedecken

(Glühendes Asien blendet die Augen mit
Feuerschein)

Und ich stehe voller Bewunderung
Ich atme Luft ein
Brandenburg
füllt meine Lungen
und mein Herz
Das ist Präfation
Danksagung
an das Schicksal

Herrliche Kirchen Frankreichs,
Trotz der Rosetten der Glocken
und der Patina der Namen
haben leere Seelen
Ihre ziselierter Ornamente
schweigen von Glück der Jahrhunderte
-sich weiden an eigener Schönheit

Über ihnen der Himmel
Wer ihn sah – sehnt sich
an jedem Ende der Welt
und streckt zu ihm die Schultern aus
wie ein Baum
aus dem brandenburgischen Wald

II

Są młodzi
słowo Brandenburgia
czy Lotaryngia
kojarzy się im
z zapachem farby drukarskiej
i wielkim hipermarketem
Szczebioczą o miłości
o ubraniach i cudownych dietach

Nasze cudowne dzieci wolności
nie próbują rozumieć
tego co starszym dzieciom
Brandenburgii
wydaje się tak ważne

Jednak jeśli jest na świecie
coś pięknego
to beztroska ich śmiechu
śmiech nie zna języków
tak śmieje się młodość bez ran
patrzę z zazdrością
na dzieci Brandenburgii
ja, syn tej krainy

III

Azja nie nadeszła wielkimi krokami
Azja nadeszła apokalipsą

Brandenburgia zieleni się
i pachnie wiosną
wiecznie rodzenie
Wiosna
uparta po każdej zimie wschodzi i pachnie
Kraina błogosławionej ciszy, gdzie
ziemia pachnie życiem,
jej synowie całują wilgotne liście
jej synowie-księżęta olch

II

Es sind Jugendliche
Das Wort: Brandenburg
oder Lothringen
Sie erinnern sich an
den Geruch von Druckfarbe
und den riesigen Großmarkt
Sie zwitschern über Liebe
über Klamotten und wunderbaren Diäten

Unsere wunderbare Kinder der Freiheit
versuchen nicht zu verstehen
dies was den älteren Kindern
Brandenburgs
so wichtig erscheint

Wenn es doch auf der Welt
etwas Schönes gibt
Dann ist es die Sorglosigkeit ihrer Gelächter
Das Lachen kennt keine Sprache
So lacht Jugend ohne Wunden
Ich sehe mit Eifersucht
auf die Kinder Brandenburgs
Ich- Sohn des Landes

III

Asien kommt mit den riesigen Schritten nicht an
Asien kommt mit der Apokalypse an

Brandenburg wird grün
Und duftet nach Frühling
ewiges Gebären
Frühling
eigensinnig geht nach jedem Winter auf
Das Land seliger Stille, wo
die Erde nach Leben riecht
ihre Söhne küssen feuchte Blätter
ihre Söhne- Fürsten der Erlen

a córy mają smutne oczy
koloru nieba Brandenburgii
Nikt nie ma takich oczu jak one
kochane córy tej ziemi
niech płoną niech kochają
niech rodzą

niech będą błogosławione

Azja nie знаła umiaru

IV

Jakże chcę ciebie błogosławić
kraino zielonych traw

Łzy w oczach twych starszych
synów
którzy wymawiają twe imię
Brandenburgio
to miłość – dziś trudno o taką

Skóra pachnie kąpielą
a noce są pełne myśli
twoje dzieci już śpią
tu i tam

Widziałem łzy
gdy szczęśliwi
mówili
jesteśmy jej dziećmi

Nie płaczę
szczęśliwy
jestem twoim synem

(Azja... gdzie jesteś kraino dymów?
Nie wracaj)

und Töchter haben traurige Augen
Augen der Himmelsfarbe Brandenburgs
Niemand hat solche Augen wie sie
liebe Töchter der Erde
lassen sie leuchten, lassen sie lieben
lassen sie gebären

lassen sie gesegnet werden

Asien kannte kein Maß

IV

Ich will dich so sehr segnen
Das Land der grünen Gräser!

Die Tränen in den Augen
deiner älteren Söhne, die
deinen Namen aussprechen
Brandenburg!
Das ist Liebe, die heute so schwer zu finden ist

Die Haut duftet nach einem Bad
und Nächte sind voller Gedanken
Deine Kinder schlafen schon
hier und dort

Ich sah die Tränen
wenn sie glücklich
sprachen:
Wir sind ihre Kinder

Ich weine nicht
glücklich
bin ich deiner Sohn

(Asien... wo bist Du- Das Land des Rauches
Komm nie wieder!)

V

Jesteś moja
tak moja jak żadna inna
do ciebie porównuję
wszystkie cuda świata
ciebie chłonę
i tobą się cieszę
kraino falująca
w kolażach chromatyki
Kraino moich wędrówek
gdzie śniegi
i kwitnące rzepaki
wytyczają
horyzont miłości
do przekraczania
do tęsknoty
i wolność
której wiatr
zapamiętałem

Jego imię: wolność
ty jesteś smakiem wolności
dałaś mi męstwo

A twoje córki jak łany falują, pachną
i kuszą pięknem

tobie zostawiam życie

Brandenburgio
miłości moja

(wbrew Azji)

V

Du bist Meins
so meins wie kein anderes
mit dir vergleiche ich
alle Wunder der Welt
Ich sauge Dich ein
und ich freue mich auf Dich
Das Land, das sich in Wellen bewegt
in den Collagen der Chromatik
Das Land meiner Wanderungen,
wo Schnee
und blühender Raps
den Horizont der Liebe
bestimmt
Zur Überquerung
Zur Sehnsucht
und Freiheit, die ich
der Wind
behalte.

Sein Name: Freiheit
Du bist der Geschmack der Freiheit
Du gabst mir Mut

Und deine Töchter als Fluren
sich in Wellen bewegen, sie duften
und verführen mit Schönheit
Dir gebe ich mein Leben

Brandenburg!
Meine Liebe

(trotz Asien)

Kopciuszek 2002

To, że skończę pod latarnią, w samych sandałkach i marynarce Goździka zarzuconej na sylwestrową sukienkę, przeczuwałam już w chwili wyjazdu na ten bal. Na taki przebieg wydarzeń w dużym stopniu miała wpływ asertywna postawa mojej mamy, która wspaniałomyślnie zrezygnowała (pomimo kwaśnej miny ojca) z prywatki u ciotki Eli i zaoferowała swoją pomoc w opiece nad dziećmi (planowałam tylko jedno, ale to drugie jakoś tak wpadło trochę przez przypadek). Jak dobrze, że się pani zatrzymała! Wie pani, gdy zobaczyłam światła samochodu, pomyślałam – oto wybawca, na pewno się zatrzyma, ulituje nad ośnieżoną, zmarzniętą dwudziestolatką. Potem, jak już machnęłam ręką, ogarnęły mnie wątpliwości (o rany, a może to zbój, morderca, złodziej?), ale kamień spadł mi z serca, gdy zobaczyłam nad kierownicą pani twarz. Uff... I jak tu nie wierzyć w dobre wróżki? A wie pani, że to zabawne, że pani także doznała bajkowego skojarzenia? Tyle że ja nie jestem Dziewczynką z Zapałkami – nie palę... Ja jestem z zupełnie innej bajki, zaraz pani wszystko opowiem po kolei, od samego początku. Zwykle bajki zaczynają się tym samym utartym zwrotem:

„A było to tak...”.

* * *

Przekręciłam klucz w drzwiach, weszłam. Wielki cycol grubej Gośki zwiślał zaledwie kilka centymetrów nad podłogą. Spali oboje, Goździk oparty ramieniem o ścianę, Gośka z opuszczoną głową i rozmazanym lewym okiem. Myśli pani, że mnie ruszyło? Nie, chłodno, jak wytrawny oficer śledczy, lustruję sytuację. Oto w łóżku mojego chłopaka zastaję moją, hm... była koleżankę z przedszkola. Słoneczny, grudniowy ranek, do Sylwestra zostało tylko kilka dni. Rekwizyty: dżinsy Goździka na fotelu, spódnica Gośki na podłodze, pozostała garderoba rozrzucona tu i tam. Mniejsza o szczegóły, ale na abażurze lampy wisi jedna pończocha. A druga? Uświadamiam sobie, że ta druga, to w tej chwili jedyny ubiór Gośki... Wie pani, w tym momencie poczułam ułknięcie w klatkę piersiową, a cały mój spokój diabli wzięli. Trąciłam butem stringi Gośki – rozmiar 44! Pamiętam, jak chichotałyśmy z dziewczynami, gdy Gośce wszystko się trzęsło przy skakaniu w gumę. (A zwis przewrotny na drabinkach nigdy nie został przez nią zaliczony!) Ale teraz nie było mi do śmiechu. Wlepiam wzrok w ich twarze, ale ani drgnęli. Patrzę na stolik – wino, prawie pusta butelka. Z satysfakcją odnotowuję, że Goździk mnie częstował gatunkowo lepszym. Pocięcha to niewielka, ale zawsze jakaś tam.

W zakurzonej lustrze widzę swoje odbicie, słońce świeci mi w plecy, pada na taflę, odbija się od niej i oświetla moją twarz. Jestem prawie przezroczysta, tylko ruda czupryna lśni jak ogień. Ustawiam się

bokiem, wypinam biust. Wie pani, nawet gdybym przybrała dziesięć kilo, to i tak żadna z moich piersi nie zwiślałaby tak malowniczo jak tej Gośce. Ruda-chuda – oto cała ja! No i jeszcze to imię. Mam je w dowodzie osobistym, prawie jazdy, indeksie, w ogóle we wszystkich papierach, a wszystko to przez roztargnienie taty. Wie pani, ja już się taka urodziłam, od razu miałam rudą czuprynę, więc wołali na mnie Iskra. W dzień spałam, w nocy się darłam, a mama chodziła po ścianach. Sąsiadki z wieżowca orzekły, że przestanę szaleć, jeśli nadane zostanie mi oficjalnie imię po babci. Tak się składa, że ludzie mają po dwie babcie, te moje noszą imiona Dominika i Genowefa. Pech chciał, że ojciec w USC wybrał to drugie – no i tak zostało. W przedszkolu poznałam trzy Agnieszki, dwie Anie, ale mojego imienia nie nosił nikt, łącznie ze mną! Zwracano się do mnie tak jak w domu – Iskra, Iskierka, a złośliwcy rzucali czasem pospolicie „Rudzielec”. Gośka miała pełne prawo, aby mnie nie lubić. A ja jej.

– Iskra w lot chwyta matematykę, a ty co?! – matka Gośki.

– Patrz, jak Gosia ładnie wszystko zjada, a ty się wierzisz i nie masz na to czasu! – a to moja.

– Iskra ma znów świadectwo z paskiem, a ty same tróje! – wysłuchiwała Gośka.

– Wydarłась wszystkie rajstopy, popatrz na Gosię, grzecznie siedzi na ławeczce, nie łązi po płotach! – słyszałam nie jeden raz.

No i tak rosłyśmy w duchu rywalizacji, pod dachem wspólnego wieżowca, na jednym podwórku, obmyślając sposób odegrania się na sobie przy pierwszej sposobności. No i stało się, Gośka górą.

Proszę pani, mam dwadzieścia lat, czas na drobne podsumowanko. Ogólnie – nie jest źle. Wie pani, ja zawsze sobie radziłam, a jak miałam problem, to sama siebie brałam na męską rozmowę – i po problemie. Ale w ten słoneczny, grudniowy dzień dotarło do mnie, że w relacjach z facetami coś zgrzyta, a dowód na to leżał oto przede mną, w łóżku mojego chłopaka.

Zaraz, kiedy ja pierwszy raz w życiu usłyszałam coś miłego z ust faceta? Chyba to był Rafał, jakoś tak na początku podstawówki. Siedziałam sobie na murku i dyndałam nogami, a on się przysiadł i też zaczął dyndać.

– Iskra, ja bym ci coś powiedział – zaczął niepewnie.

– Chcesz gumę? – spytałam rzeczowo i dość uprzejmie.

– E... Dziaja nie... Wiesz, chłopaki z podwórka mówią, że gdybyś nie była taka ruda, to wszyscy by się w tobie kochali, bo ty najlepiej grasz w zbijanego.

Popatrzyłam na Rafała z ukosa, a on, zaczerpnąwszy powietrza, wypalił:

– Ale mi to wcale nie przeszkadza, naprawdę! Ty jesteś najfajniejsza z całego wieżowca. I MASZ NAJLEPSZE NOGI...

Oj, to zdanie zapamiętałam na długie lata. A wtedy, gdy je usłyszałam pierwszy raz, uważnie przyjrzałam się moim nogom... No tak, i Rafał, i ja mieliśmy na sobie bure addidasy, czarne skarpety, kolana całe w niebiesko-żółtych siniakach, tu i ówdzie upstrzone zadrapaniami. W porywie wdzięczności obiecałam, że będę go zawsze wybierać do mojej drużyny – i słowa dotrzymałam. Ostatnio rzadko widuję Rafała – studiuje prawo, chyba we Wrocławiu. Jesienią mignął mi w przelocie.

– Cześć, Iskra! – rzucił, tuląc blond laskę z nogami prosto z solarium.

Przyjrzałam się dokładnie – ani jednego siniaka. Widać gust facetów bywa zmienny.

...A potem?... Ja byłam aktywną harcerką, a nasz drużynowy boskim gościem pod trzydziecę. To dla niego co wieczór przy ognisku szarpałam struny gitary. Któregoś dnia podszedł do mnie i tak spojrzął, że zaniemówiłam.

– Iskra, jesteś genialna, moje uznanie!

Zanim zdążyło zawirować mi w głowie, wyjaśnił, że jest pod wrażeniem zaprojektowanego przeze mnie szańca wokół naszego obozowiska... A niechże mnie pani nie pyta o ten szaniec...

A potem to już był chyba Goździk. Mój Goździk. Mój?... Po pół roku chodzenia spytałam go, w którym momencie zwrócił na mnie uwagę, a on wypalił – jaki przygotowany! – że po pierwszych

ćwiczeniach z mechaniki. Asystent z uśmiechem narysował belkę, taką prostą, podpartą w jednym punkcie i spytał, kto z nas jest w stanie ją obliczyć. Byłam na wykładzie, pamiętałam wzory, więc spokojnie obserwowałam muchy na suficie.

– A może któraś z pań? – asystent skłonił się przede mną. (Czerwony kolor przyciąga – udowodnione, przetestowane.) Podeszłam do tablicy i spokojnie wyprowadziłam wzór.

– Pani jest po technikum? – ni to spytał, ni stwierdził asystent.

– Po ogólniaku. Jakie wartości liczbowe mam podstawić w miejsce zmiennych, panie magistrze?

Asystent jęknął, a Goździk wyznał mi, że od tego momentu nie mógł przestać o mnie myśleć. Potem dziadek podarował mu „cienkusia”, a że Goździk nie miał takiej wprawy jak ja, więc na początku woziłam go po mieście, a za miastem on wskakiwał za kierownicę. (Pani wie, że Gośka miała trzy podejścia do egzaminu na prawo? ...No tak, ale to ona, nie ja, leżała teraz obok Goździka.)

...Raz jeszcze popatrzyłam na nich. Spali. Wyjęłam z kieszeni klucze, które dał mi Goździk pół roku temu, przewiązałam je pończochą Gosi i odwiesiłam na abażur. Zgasiłam lampę – była mocno rozgrzana, a stilon jest łatwopalny.

Szłam ulica i szlag mnie trafiał. Koniec wspólnych jazd, spacerów wokół „Palmiarni” konnych przejażdżek u księży, wypadów do Niesulic, no i kicha na Sylwestra! Marna satysfakcja – belki i kratownice będzie sam sobie liczyć, bo akurat w tym Gośka mu na pewno nie pomoże! Widać laski dzielą się na te ozdobne i te użyteczne, ale ja, jak wskazują dotychczasowe źródła historyczne, nigdy nie należałam do tej pierwszej kategorii. Po cholerę wydałam kupę szmalu na sylwestrowego ciucha? Po diabła te sandały na obcasach? Kretynka, pięć dni smażyłam nogi w solarium...

Choć byłam wściekła, jak zwykle dość trzeźwo myślałam. Oto mam ciekawy pomysł na twórcze i pożyteczne spędzenie czasu w noc sylwestrową. Całą resztą postanowiłam martwić się jutro (genialny przepis na spokojną głowę, wypróbowany przez literacką Scarlet). Chłopak z punktu ksero miał głupawą minę, gdy poleciłam mu wydrukować w pięćdziesięciu egzemplarzach:

STUDENTKA ZAOPIEKUJE SIĘ DZIECKIEM W NOC SYLWESTROWĄ. DZIECKO MOŻE BYĆ NIEZNOŚNE

Na końcu podałam numer swojej komórki. Wie pani, że klejąc ostatnią ulotkę, odebrałam pierwsze zgłoszenie?

Otrzymałam w sumie cztery telefony od ludzi gotowych pozbycia się swej pociechy, no i ten piąty, wieczorem, od Goździka. Wie pani, dopóki leciał z tym swoim ble, ble, ble, przeplatany słowem „przepraszam”, to jakoś to znosiłam, ale wie pani, co mi wałnęła na koniec?

– Iskra, wybacz, chciałem się tylko dobrze przygotować do tego PIERWSZEGO RAZU Z TOBĄ... – Słuchawka oparzyła mi ucho, naprawdę, nie świruję! Ręce mi opadły, nie miałam siły solidnie jej odwieść, zsunęła się z widełek, dyndała na drucie, jęcząc cicho: uuu... uuu... uuu...

Wie pani, mam gdzie Gośkę, ale ten facet wyciął paskudny numer albo jednej z nas, albo nam obu! Wydzwaniał na komórkę i stacjonarny, negocjował z moją mamą, próbował wciągnąć w to mego ojca – i to wszystko mieściło się w pale, choć było nieskuteczne. Ale wie pani, co on jeszcze wywinął? Powiem pani, ale proszę dobrze trzymać kierownicę – przysłał po mnie, o godzinie osiemnastej w sylwestrowy wieczór, kierowcę swojego papy! Oczywiście, że najpierw chciałam uprzejmie spuścić gościa ze schodów, ale...

– Panno Iskierko, pan starosta powiedział, że jeśli pani nie przywiozę, to wyleje mnie z roboty!

Napomknął też o kiepsko zarabiającej żonie i trójce dzieci na utrzymaniu. Mówiłam już pani, że oprócz racjonalnego umysłu mam miękkie serce? Wskoczyłam w ciuchy, pantofle, ciotka Ela wałnęła mi makijaż, dzieciaki (dwójka pięcioletków) przykolegowały się do mojej mamy, a ja, ciężka kretynka – hajda ponad sto kilometrów, służbowym Espero, w śnieżycę!

Szkoda, że nie widziała pani miny Goździka. Opanowałam się na tyle, by nie zrobić siary jego ojcu:

– Dobry wieczór, serdecznie dziękuję państwu za zaproszenie, to dla mnie zaszczyt i ogromna przyjemność.

Ble, ble, ble... Wie pani, uświadomiłam sobie wtedy, że albo jestem paskudną zmiłą, albo cholera, zależy mi na Goździku...

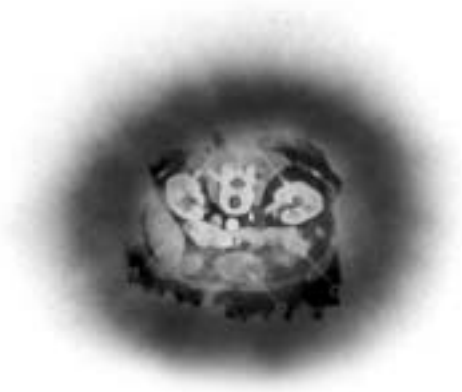
Mówię pani, w życiu nigdy przedtem nie byłam na takiej balandze – łośoś w śmietanie, orkiestra we frakach, obsługa damska w stroju topless. No i błysnęłam towarzysko – ojciec Goździka poprosił mnie do walca angielskiego, a ja dałam się bezbłędnie poprowadzić. (W ramach resocjalizacji ciągana byłam w dzieciństwie przez rodziców do ogniska muzyczno-tanecznego. Opanowałam oba walce, chwyciłam podstawowy krok samby i cha-chę, ale po roku nauki dałam sobie z tym spokój, bo zimą na pudle od skrzypiec zjeżdżałam z góry, z reguły z dodatkowym pasażerem, a pudło było tekturowe... Lutnik tylko pokręcił głową: „oj, nic nie zrobię, to nie skrzypce, to już szmeln”. W życiu nie pomyślałam, że właśnie walcowanie kiedyś mi się przyda!)

...Na czym to stanęłam? Aha, ten walc. Wie pani, że jak tak tańczyliśmy, to „dworzanie” Goździkowego papy otoczyli nas kołem, zatrzymawszy się w tańcu, i przymilnie oklaskiwali... Czy mi się to spodobało? A nawet, nawet, bo wychyliłam nie jedną, a dwie lampki szampana (markowy, ale kwasior, za dużo bąbelków), i pod wpływem tej upojonej chwili poważnie zastanawiałam się, jak mam wybaczyć tej cholercze, wlepiającej we mnie wzrok pełen skruchy i psiego uwielbienia...

I byłoby wszystko super, gdyby nie zdarzenie, dzięki któremu zdobyłam – drużynowy by mi to w ciemno zaliczył – sprawność Kopciuszka. Pani dopatrzyła się we mnie elementów Dziewczynki z Zapałkami, jako dziecko robiłam za Brzydkie Kaczętko, ale moją sztandarową rolą pozostanie Kopciuszek, z tą tylko różnicą, że nie zgubiłam buta, chociaż schody liczyły ze sto stopni, a ja pokonałam je w kilka sekund! Zaraz pani powiem, dlaczego im związałam. Ruszyło mnie, gdy ojciec Goździka, zaraz po tym walcu, ni z gruchy, ni z pietruchy ogłosił (proszę dobrze trzymać kierownicę!) „zaręczyny mojego syna i obecnej tu panny...” i tutaj padło moje imię, w pełnym, urzędowym brzmieniu oraz nazwisko – póki co panieńskie. Proszę pani, Stwórca nie skonsultował ze mną koloru moich włosów, tata nie uzgodnił ze mną mojego imienia, ale czy nie uważa pani, że przysługuje prawo do chwili zastanowienia, zanim wyrażę zgodę na zmianę mojego nazwiska?!

...Mówi pani, że na panią też miało wpływ harcerstwo i że lubi pani bajki? Och, to dobrze, może wpadnie pani do głowy jakiś pomysł na dyplomatyczne przekazanie Goździkowi jego marynary z zaręczynowym pierścionkiem, tkwiącym zapewne w którejś kieszeni...

Czy mogę liczyć na pani pomoc, dobra wróżko?



Schemat a Experiment. Zielonogórzanie w Experimentencie

W dniach 4-11 lipca br. odbywały się X Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experiment 2010 w Zbąszyniu.

Czy istnieje problem lokalnej, prowincjonalnej rzeczywistości? Nadal częściej milczymy, gdy coś ważnego w sztuce wydarza się daleko od stolicy, od Warszawy. Zbąszyń nad Obrą, stolica Regionu Kozła, nie jest dużym miastem, ale potrafił profesjonalnie zadbać o jakości, o które sztuce, artyści i odbiorcy chodzi. Począwszy od kreacji, przez prezentację ku percepcji.

Experiment jest cyklicznym, międzynarodowym festiwalem sztuki „...otwartym na różnorodne i eksperymentalne formy przekazu” (I.S.). Odbywa się od dziesięciu lat w Zbąszyniu, zawsze trwa przez jeden tydzień lipca, promując kulturę i konfrontując odbiorców ze sztuką bez granic. Podczas festiwalu prezentowana jest twórczość artystów z różnych krajów, co sprzyja wymianie myśli, idei, doświadczeń i celowemu łączeniu ich na rzecz poszukiwaniu wspólnej interdyscyplinarnej formy. Experiment powstał i trwa w dobrej kondycji dzięki inicjatywie dwójga artystów: Ireneusza Solarka i Katarzyny Kutzmann-Solarek.

Biorąc pod uwagę bliskość między naszymi miastami, warto przyjrzeć się tym zdarzeniom i zaistniałym relacjom. W ciągu dziesięciu edycji Experimentu wzięło w nim udział prawie trzydziestu artystów, których indywidualne historie mają swoje źródło związane z Zieloną Górą. Są to rodowici zielonogórzanie bądź ci, którzy z wyboru zamieszkali w tym mieście. Pojawiali się młodzi artyści-studenci i adepci UZ, jak również ci, którzy ich edukowali. Przyjeżdżali dojrzały twórcy i tacy, których dojrzwienie przypadło na czas Experimentu. Niewątpliwie atrakcyjna dla sztuki aura festiwalu sprowadzała do Zbąszynia zainteresowanych z mnogością ich ofert artystycznych.

Experiment wziął swój początek z idei teatru otwartego, ulicznego, sceny plastycznej i teatru alternatywnego. Był więc ściśle związany z teatrem i pierwotnie impreza ta nazywała się Eksperymentalne Spotkania Teatralne. Idee ważne dla samego Experimentu pochodzą z doświadczeń autorskiego Teatru S Ireneusza Solarka; istnieje on od 1989. W latach 2003 (uczestniczyły kraje: Francja, Japonia, Litwa, Polska) i 2004 (uczestniczyły kraje: Belgia, Francja, Japonia, Niemcy, Polska) ważnym gościem z Zielonej Góry był Roman Więckowski

ze swoim Teatrem Czego – Nigdy (studentki UZ: J. Strzałkowska, A. Jakubiak, B. Sikora, M. Oleksiejuk, K. Willmann). Teatr pokazał *Wcielenie* (scena ZCK), a kolejnego roku *Krainę przewlekłej jesieni* (scena ZCK).

Gdzie wówczas lokowała się scena? Symbolicznie wyrastała pośród widowni, co czyniło upragnioną komunikację intensywniejszą. Poszukiwania wspólnego mianownika dla widza i aktora koronował tzw. miłośnik sztuki – amator. Formalne, nieformalne, profesjonalne, oryginalne, klasyczne... Na Experymentcie początkowo królowały teatry. Festiwal z roku na rok otwierał się na inne dyscypliny sztuki. Aż w 2004 pojawiają się na nim pierwsi artyści malarze. W 2005 roku pełna nazwa imprezy w Zbąszyniu brzmi: Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experyment. Podkreślić należy, że było to zdarzenie niekomercyjne, wbrew ogarniającej kraj siłę sponsorowanych zdarzeń kulturalnych.

Wracamy do interesującej nas obecności zielonogórzan na Experymentcie. W 2006 (uczestniczyły kraje: Belgia, Bułgaria, Francja, Polska, Rosja, Ukraina) pojawili się młodzi artyści. Byli to: R. Wilk, B. Bańda, S. Swacha, M. Jankowski, J. Olejarczyk, J. Adamczyk, T. Płonka. Z istniejących zapisów i dokumentacji wynika, że R. Wilk proponował pokaz autorskich filmów w zbąszyńskich Kazamatach. Publiczność obejrzała wówczas jego trzy filmy: *Hymn*, *Bez tytułu*, *Video apex*. Natomiast pozostali zorganizowani w grupę *Chłodne łokcie położy na podłodze* na terenie zbąszyńskiego campingu w pobliżu jeziora Błędno wystawili swoje instalacje, obiekty i rysunki.

Rok 2007 (uczestniczyły kraje: Belgia, Bułgaria, Francja, Japonia, Meksyk, Polska, Tadżykistan, Ukraina) wprowadził kolejnych lubuskich twórców. Był to etap, gdy zgłoszenia na festiwal napływały w dużych ilościach i organizatorzy mogli przebierać w ofertach. To jest więc istotne, że na VII Experymentcie gościli ponownie artyści z Zielonej Góry: Z. Polus, M. Raba, grupa *Chłodne łokcie* (R. Wilk, S. Swacha, J. Jeschke, M. Jankowski) oraz K. Pańtak z kapelą muzyczną *See Sea*. Z. Polus wystawiał na Starym Dworcu *WIELKIE MI TO HALO ZENONA*

POLUSA III – do poskładania. Były to obiekty okotorzeźbiarskie, scalone z podłożem; całość pozbawiona kontrastów kolorystycznych bazowała na formie i skali. Zenon był właśnie tą osobą, od której po raz pierwszy usłyszałam o Experymentcie. Przez kilka następnych lat śledziłam z dużą uwagą festiwalowe zdarzenia, jako artystka, ale również dziennikarka zielonogórskiego Radia Zachód.

W roku 2008 (uczestniczyły kraje: Belgia, Bułgaria, Francja, Niemcy, Polska, Szwajcaria, Tadżykistan, USA, Uzbekistan), powiadomieni zaproszeniami, zdecydowaliśmy się wraz z współpracownikiem z radia O. Strawińskim, muzykiem, zgłosić do udziału w VIII Międzynarodowych Spotkaniach Artystycznych. Zaprezentowaliśmy obraz dźwiękowy *Ogłodniata*; a ja wykonałam autorski asamblaż w dwóch dworcowych przestrzeniach tytułowany właśnie *Ogłodniata*. Ważnym był dla mnie fakt, że został zaproszony również R. Czarkowski. Zrealizował on wielkoformatowy mural *JESUS* na pierwszym piętrze Dworca Głównego. Posłużył się obrazem słowa Jesus i zmultiplikował go. Wykroczył poza klasyczną prezentację obrazu; zaaranżował wiele metrów porzuconej przestrzeni, a podłogę zasypał trocinami z pobliskiego tartaku. Nasz przyjazd na Experyment poprzedziła wspólna – małżeńska wystawa *26, 5 m kw.*; miejscem upublicznienia jej stała się zbąszyńska galeria Baszta. W ten właśnie sposób odbyliśmy dużo wcześniej rekonesans po Zbąszyniu. Trafiliśmy na dawny Dworzec Główny PKP; konkretnie Skrzydło Zachodnie. Aura pustostanu zadziałała jak magnes. Praktycznie niczym nieograniczona dowolność działań w tej przestrzeni po dziś dzień dostarcza nam inspiracji twórczych; często jeździmy do Zbąszynia.

W roku 2009 w festiwalu wzięły udział J. Kowalczyk i B. Kot. Każda z nich zawłaszczyła osobne rejonu rzeczonoego Dworca Głównego. Posługując się przywiezionymi realizacjami, każda zbudowała przestrzeń intrygujących, wizualnych wypowiedzi. B. Kot pokazała dwie świeże autorskie videorealizacje: *Film o trawie* oraz *Niekukła*. J. Kowalczyk połączyła filmową animację z 2008/2009 z nowo zrealizowanym obiektem plastycznym, całości

nadała tytuł *Co ci się śniło?* Warto dodać, że obie artystki reprezentowały kolejne nowe artpokolenie. Łamiąc przyjęte reguły, na *Experyment* przyjechali kolejny rok z rzędu A. i R. Czarkowscy. Powstały dwie niezależne realizacje w obszarze Dworca Głównego. Były to *WIDZIEĆ – WIEDZIEĆ R.C.* oraz *Tożsamość AGC.*

No i mamy 2010 rok. Przybyli na *Experyment* artyści z Holandii, Danii, Szwajcarii, Bułgarii, Francji,

Niemiec, Rosji, Uzbekistanu, Turcji, USA, Kolumbii i Polski. Tegoroczny festiwal trwał od 4 do 11 lipca. Zieloną Górę prezentowali M. Gryśka, Z. Polus, R. Czarkowski oraz AGC.

Rzeczy wydają się wielkie
gdy spoglądamy z doliny,
małeńkie, gdy patrzymy
ze szczytu.

(G.K. Chesterton)



Ireneusz Solarek, *Zapis*

Kicz I

Na wystawie młodych artystów-malarzy, w miejscowości M., pan W. zachwycił się obrazem, pod dużo mówiącym tytułem „Młody jelonek u wodopoju”. Pan W. nie był koneserem sztuki; owszem, znał nazwiska wielkich malarzy i ich dzieła, ale w tym momencie i obrazy, i ich twórcy ulegli zapomnieniu, więc żadne porównanie, w stosunku do oglądanego obrazu nie przychodziło mu do głowy. Pan W. czuł po prostu, że obcuje z wielką sztuką. Chęć posiadania tego „dzieła”, jak już je określił w myślach, była tak wielka, że udał się do komisarza wystawy z pytaniem, o możliwość zakupu płótna (pominę cały aspekt trwającej rozmowy; dość że pan W. wyszedł z galerii, niosąc pod pachą wypatrzone i już ukochany obraz).

Mimo późnej pory oraz obawy przed obudzeniem żony i dzieci, pan W. używając młotka i ślicznego, miedzianego gwoźdźnika, zawiesił obraz na głównej ścianie salonu. Potem rozsiadł się w ulubionym fotelu i jeszcze przez dwie godziny kontemplował swój zakup, racząc się lampką przedniego, reńskiego wina (wino było bułgarskie, ale dla pana W. stanowiłoby to dysonans estetyczny w stosunku do klasy obrazu, który oglądał, stąd w opowieści wino reńskie).

Rano, pana W. obudziła wrzawa dochodząca z salonu. Ciężkim krokiem poczłapał w miejsce, z którego dochodził harmider. Oto jaki zastał widok: obie jego córki leżały na podłodze i pokazując palcem obraz, ryczały ze śmiechu; żona, pani J., siedziała na skraju kanapy i nerwowo popijała napoczęte przez męża poprzedniego wieczoru wino.

– Co to jest? – wystękała, wskazując na wiszące płótno.

– Obraz – odparł nad wyraz rozsądnie pan W. i w duchu pochwalił się za rzeczowe podejście do pytania.

– To jest obraz? To kicz, nie obraz! – wykrzyknęła jego małżonka. – Jelonek? Na łączce? Czyś ty zdurniał na starość – krzyczała dalej, a śmiech córek towarzyszył jej wymówkom i podsyczał w panu W. gniew. I ten gniew, który zaczął się w czubku jego głowy, zaczął powoli wędrować przez gardło, aż dotarł do serca, wrażliwego na niesprawiedliwość. Oczy pana W. zaszyły mgłą. Cofnął się w stronę kominka, ujął drżącą dłońią pogrzebac i wkładając wszystkie swoje siły, wbił go w oko swojej żony. Pierwszy cios położył ją trupem, dwa następne stanowiły tylko satysfakcjonującą rekompensatę za wypowiedziane przez nią niepochlebne słowa. Tego samego dnia pan W. dokonał jeszcze dwóch zbrodni, ale tak jak w pierwszym przypadku, nie poczuł żadnych wyrzutów sumienia.

Po miesiącu od tych zdarzeń sąsiedzi, zaniepokojeni niezwykle ciszą oraz nieobecnością pani J. na trzeciej z kolei mszy świętej, wezwali policję. Policjanci, stosując wszelkie dozwolone prawem procedury, weszli do domu. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie i nic nie wskazywało, że w mieszkaniu doszło do tragedii. Po przeszukaniu pomieszczeń, ekipa dochodzeniowa wysnuła wniosek, że właściciele opuścili dom, na przykład z powodu nagłego wyjazdu, i fakt ten uszedł uwadze wścibskim sąsiadom. Policjanci zebrali się w salonie i zmęczeni usiedli na kanapie. Dopiero wtedy zauważyli wiszący na ścianie obraz.

Płótno przedstawiało łąkę, na której stał jelonek i pochylał się nad rwącym strumieniem. Obok, na trawie, leżał mężczyzna i z błogim wyrazem twarzy spoglądał na jelonka. W tle obrazu było widać jeszcze trzy kobiece postaci, które leżały równo ułożone obok siebie, ale znajdowały się zbyt daleko od centralnej części obrazu, żeby można było dostrzec, czym się zajmują. Na horyzoncie obrazu majaczyły budynki bliżej nieokreślonego miasteczka.

– Rany, co za kicz – rzucił rozbawiony jeden z funkcjonariuszy, a reszta zawtórowała mu gromkim śmiechem.

Minęło jeszcze kilka chwil i policjanci opuścili dom, opieczętowując drzwi wejściowe żółtą taśmą.

Kiedy mieszkanie opustoszało i zaległa cisza, stała się rzecz niesamowita: mężczyzna z obrazu poruszył się i wstał z trawy. W ręce trzymał długi, podłużny przedmiot. Ruszył przez łąkę, minął trzy leżące kobiety i skierował się w stronę majaczących na horyzoncie płótna budynków. Tylko bardzo wprawne oko mogłoby dostrzec, że jednym z nich był budynek komendy policji, i tylko bardzo wprawne oko mogło rozpoznać w idącym sylwetkę pana W.

Jelonek uniósł głowę znad potoku i bezgłośnie zaryczał. Oddalająca się postać, nie oglądając się, pomachała dłonią na pożegnanie, ale nawet niewprawnym okiem było widać, że jest to gest radosny, który wskazywał, że rozstanie nie będzie zbyt długie.

Kicz II

Obudził się we mnie krytyk. Tak, tak, właśnie krytyk. Rozsiadłem się więc w fotelu i zacząłem krytykować. Na pierwszy ogień poszły wierszyki o „ptaszkach i kwiatkach” – schlaście je niemiłosiernie. Potem na warsztat wzięłem ambitne rymy i dałem upust swojej złośliwości – płynęła jak rwący potok, zalewając pustostowie. Po dwóch godzinach poczułem się wykończony. „Takie krytykowanie to jednak ciężka praca” – pomyślałem i napisałem wiersz, tak dla odreagowania złych emocji:

a kiedy łąką będziesz
w trawy się twoje wtulę
i całując pąki twych kwiatów
zacałuję
falowanie twych traw uciszę
dając ci miłość nad życie
aż na niebie zabłyśnie
księżyc nad księżycem

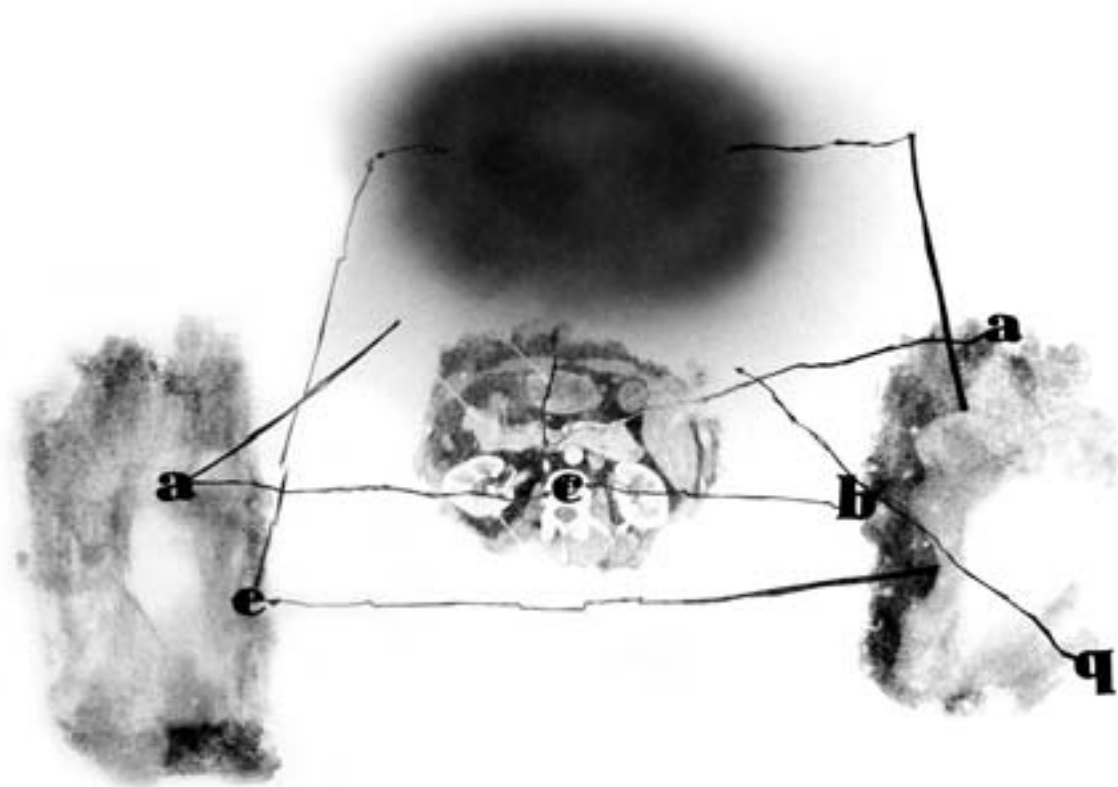
No to mam wiersz – stwierdziłem w myślach i poczułem, jak rozpiera mnie duma. Oczami wyobraźni widziałem, jak wszyscy oponenci pochylają głowy nad moim dziełem i w eter idzie opinia: mamy prawdziwego poetę, nareszcie jest wybitne dzieło. Wystąpiłem ten wiersz w sieć. Niech sobie tam pobędzie i niech inni poobcują z moim geniuszem – tak sobie wykombinowałem. Z niecierpliwością czekałem na pierwsze komentarze.

Po godzinie bezowocnego czekania zacząłem się denerwować. Po dwóch godzinach tłumaczyłem sobie, że brak komentarzy oznacza tylko tyle, że czytelnicy są olśnieni i w tym olśnieniu-upojeniu nie są w stanie wykrztusić-napisać ani słowa. Po trzech godzinach złamałem się i napisałem pod swoim wierszem: „proszę się nie obawiać i komentować”.

I nagle jakbym odetkał zatłoczony syfon: jeden po drugim zaczęły pojawiać się wpisy.

Jest wieczór, siedzę w fotelu, ale już się nie rozpieram, tylko tak jakoś „milczkiem” siedzę. Komentarze nadal płyną, a ja nie mogę nic zrobić, bo we wszystkich obudzili się krytycy i każdy postanowił mi dokopać. Chce mi się płakać, ale nagle, ku mojemu zdumieniu i dla pocieszenia mojego złośliwego ego, pojawia się wpis: „bardzo fajny wiersz, czy mogę go wykorzystać do celów prywatnych?”. Odpowiadam natychmiast: „dziękuję”, dodaję „oczywiście!!!” i dopytuję z ciekawości: „a co to za cel prywatny?”, i kiedy już nie mogę doczekać się odpowiedzi, licząc, że to na pewno jakiś wydawca dostrzegł tę „perełkę pośród wieprzy”, pojawia się wpis: „no, bo pani w szkole kazała nam napisać coś na temat kiczu i ja bym chciał wykorzystać twój wiersz, on się tak fajnie nadaje”.

Zamknąłem rozdział „poeta” w swoim życiu, z krytyką też pożegnałem się na zawsze. Postanowiłem wyciszyć się i zapomnieć o doznanej porażce, ale któregoś dnia, siedząc samotnie i beczynnie, ni stąd, ni zowąd wymyśliłem zdanie, bardzo ładne zresztą zdanie: „W piękny wiosenny poranek młoda dziewczyna udała się na spacer podpatrzeć, jak przyroda budzi się do życia”, i kiedy je zapisałem na kartce, poczułem w sobie bezgraniczną moc geniuszu. Wtedy właśnie postanowiłem, że zostanę wielkim pisarzem.



Choroba Noego

Przed oberwaniem się nieba
pogodzone
z ogniem wodę

Ocalałych z pożogi
powódź zabrała na łodowiec
łaski Bożej

Potop zelżał
po wybuchu
pierworodnego gromu cywilizacji

Tylko Noe
na zawsze zapadł
na trąd popromienny

Ocalenie

Wynany z arki raju
sam sobie
rzuciłem koło ratunkowe
żeby nie utonąć
w wodach płodowych
potopu

Z kotwicą tęczy
pójdę na dno
grzechu pierworodnego

Stworzenie

Przed niestworzonym światem
kryję się we własnym ciele
Znam je na wylot
gdyż nigdy
nie miałem go na sobie

Ten stan trwa od moich urodzin
w czasie przyszłym
dokonanym

Teraz przede mną
zgodnie z porządkiem chronologicznym
czas przeszły
o którym nic pewnego
nie mogę powiedzieć

I wszystko muszę zacząć od końca
Wielkiego Wybuchu
jeszcze nie przeżywanego
kropi krwi

Na zamknięcie kopalni

Ostatni urobek rozmnożył jak chleb
żeby wszystkich nasycić ciepłem

Kilof hełm lampę
na wieczną pamiątkę
zawiesił na wieży szybu
który ziemię połączył z niebem

I pod zaranną gwiazdą adwentu
zamknął na amen
księgę liturgiczną kopalni

Begegnung mit der Ewigkeit

Kippstein bewundert Leute, die, wie er, irgendwo sein können, und, wenn man sie denn läßt, einfach und schnell einschlafen.

So passierte es ihm kürzlich in Madame Tussauds Wachsfiguren-Kabinett, daß er, da er sich in eine Ecke gelehnt, Müdigkeit empfindend, im Stehen einschlief und sich, als er wieder erwachte, eingeschlossen fand.

Es herrschte totale Finsternis, und Kippstein knipste seine kleine Stifttaschenlampe an, die er stets mit sich führt, um sich zu orientieren. Nach einigen Minuten vernahm er ein tiefes Seufzen, schaltete seine Lampe wieder aus und wartete ab. Kurz darauf hörte er eine Stimme, sie konnte sowohl weiblichen als auch männlichen Ursprungs sein, fragen:

– Wie ist es eigentlich so da draußen?

– Mal so mal so – antwortete Kippstein lakonisch, wenig überrascht. Er fühlte sich angesprochen und besaß Verantwortungsbewußtsein.

– Und? Macht's Spaß?

– Was soll Spaß machen?

– Das Leben.

– Doch. Jaja. So ziemlich.

– Unsereiner kommt ja nicht mehr unter die Leute.

– Schade eigentlich.

Spotkanie z wiecznością

Kippstein podziwiał ludzi, którzy tak jak on, gdziekolwiek będąc, po prostu szybko zasypiają.

I oto znajdując się niedawno w gabinecie figur woskowych madame Tussaud, trafił do miejsca, w którym poczuł się znużony, dlatego zasnął na stojąco, a kiedy się przebudził, stwierdził, że go w nim zamknęto.

Panowały egipskie ciemności, więc Kippstein zapalił miniaturową latarkę, którą zwykle nosił, aby móc się w każdej sytuacji orientować. Po kilku minutach usłyszał jakieś głębokie westchnienie, zatem zgasił latarkę i czekał. Wkrótce usłyszał głos, który mógł należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny, zwracający się do Kippsteina z pytaniem:

– Jak to tam na zewnątrz właściwie jest?

– Tak różnie – odparł lakonicznie Kippstein, prawie niezdziwiony. Czuł, że chciano z nim porozmawiać i był świadom swej odpowiedzialności.

– I co? Może zabawnie?

– A co ma być zabawne?

– No, życie.

– Aha, życie. Owszem. Da się wytrzymać.

– My już nie możemy przebywać wśród ludzi.

– Właściwie to szkoda.

– No tak – jest się tu w pewien sposób związanym.

- Ja – man ist hier so angebunden irgendwie.
- Ja irgendwie traurig.
- Sehr traurig!
- Was machen Sie denn so im Leben, wenn ich das mal unverblümt fragen darf?
- In erster Linie leben.
- Ach!

Was hätte Kippstein auch sagen sollen? Etwas anderes als dies? Er ließ sich nie gern ausfragen, wenigstens er, falls es eine Situation zuließ, leicht redselig zu werden vermochte.

– Was haben Sie denn so gemacht zu Lebzeiten? – Er fühlte sich verpflichtet das Gespräch fortzusetzen. Es konnte zudem, das spürte er, neue Erkenntnisse bringen.

- Ich war Mätresse.
- Oh!
- Hatte auch viel mit Leben zu tun. Ich war stets beschäftigt.
- Das kann ich mir denken.
- Na, schließlich ließ man mich köpfen. Die Gründe will ich lieber nicht nennen.

So ging das Gespräch hin. Schließlich wurde die Dame müde und verfiel wieder in ewigen Schlaf.

Kippstein bemühte sich seinerseits um ein Nickerchen. Er hatte ja noch Stunden vor sich, bis er die Sammlung wieder verlassen konnte.

Als er am Tag nach dieser Nacht durch den allgemeinen Betrieb geweckt wurde, erwies sich das Personal als vollkommen uneinsichtig. Man verlangte von ihm schlicht erneut den Eintrittspreis. Es gab eine lange Diskussion. Die Rettung erfolgte, als Kippstein seinen Presseausweis vorlegte und erklärte, er habe ein Mal in seinem Leben testen wollen wie das so ist nach dem Tode.

Vielleicht nicht von Welt

Ein Rabe saß plötzlich vor Kippsteins Arbeitszimmerfenster und rief: „Gespenster! Gespenster!“. Gesponnen! dachte Kippstein und achtete nicht weiter auf das Getue des Tiers.

Nach etwa einer Viertelstunde, das Gekrächze war mitnichten verstummt, blickte Kippstein

- To smutne.
- Bardzo smutne!
- A co pan właściwie w życiu porabia, jeśli wolno mi tak bez ogródek spytać?
- Po pierwsze, żyję.
- Rozumiem.

Co innego miał Kippstein powiedzieć jak nie to? Kippstein nie lubił, gdy go wypytywano, ale chętnie wdawał się w rozmowę, gdy tylko taka okazja się nadarzyła.

– A co osoba w życiu robiła? – Kippstein czuł się zobowiązany do kontynuowania rozmowy. Ponadto mógł zdobyć nowe doświadczenie.

- Byłam metresą.
- Och!
- Moje życie było bardzo urozmaicone. Byłam ciągle zajęta.
- To oczywiste.
- No tak, ale w końcu ścięto mi głowę. O przyczynach wolę nie mówić.

Na tym rozmowa się skończyła. Dama poczuła się zmęczona i zapadła w sen.

Kippstein także się zdrzemnął. Do momentu, w którym będzie mógł opuścić gabinet, brakowało jeszcze paru godzin.

A kiedy minęła noc i przebudził go odgłos dziennej krzątany, personel zupełnie nie rozumiał, o co chodzi i zażądano od niego, by ponownie zapłacił za wstęp. Doszło do ożywionej wymiany zdań. Wreszcie Kippstein pokazał legitymację prasową i wyjaśnił, że chciał raz w życiu sprawdzić, jak to jest po śmierci.

Możliwe, że nie ze świata

Kruk usiadł znienacka za oknem pracowni Kippsteina i wołał: „Upiory! Upiory!”. Zwariował! pomyślał Kippstein i nie zwracał na krakanie ptaka więcej uwagi.

Niemal po kwadransie krakanie zamilkło, Kippstein mimo woli spojrzął przez okno i to, co ujrzał, tak go zaskoczyło, że omal się nie zachłysnął. Otóż w miejscu, gdzie znajdował się kruk, przycupnął polarny miś!

angelegentlich zum Fenster hinaus und hätte sich vor lauter Überraschung fast verschluckt. Anstelle des Raben hockte dort draußen nämlich ein Eisbär!

Wie kommt, fragte sich Kippstein zu Recht, ein Eisbär auf einen Lindenast?

Er muß sich, gab sich Kippstein als Antwort, verlaufen haben. Soetwas kommt ja mitunter vor, nur befand sich der nächstgelegene Zoo elf Kilometer entfernt von Kippsteins Wohnung. In der Arktis vielleicht keine Entfernung, aber in der Zivilisation, inmitten eines dichtbesiedelten Gebiets, eine gehörige Strecke.

Kippstein beschloß, das Tier ganz einfach nicht zu beachten. Nach weiteren fünfzehn Minuten jedoch übermannte ihn die Neugier. Al er dezent hinausschaute, gewahrte er anstelle des Bären einen Elephanten. Der Ast der Linde bog sich haarsträubend nach unten.

Das kann doch einfach nicht wahr sein, sagte sich Kippstein. Jetzt wird mir die Angelegenheit zu bunt! Der Elephant sah aber grau aus, und es schien, als lache er. Auch das noch! moserte Kippstein, suchte im Telephonbuch die Nummer der Tierparks, rief an und erhielt als Antwort: „Nein. Nicht, daß wir wüßten. Unsere Elephanten, drei an der Zahl, sind einmütig vereint beim Duschen“. Kippstein legte auf. Gott, der Gerechte, murmelte er, ich mach' mich am Ende ja noch lächerlich.

Es klingelte. Kippstein stand auf, öffnete die Wohnungstür und ließ seine Putzhilfe ein. „Als erstes“, bat er Sophia, „putzen Sie mir bitte das Fenster im Arbeitszimmer“. Sophia ging spornstreichs, wie es ihre Art war, ans Werk.

Konturenscharf, kontrastreich und lieblich in den Farben, zeigte sich der Lindenbaum. Es war eine Offenbarung.

Von einem Elephanten keine Spur.

W jaki sposób, zadawał sobie Kippstein słuszne pytanie, niedźwiedź polarny mógł się znaleźć na konarze lipy?

Z pewnością pomylił drogę, odparł sobie Kippstein. Coś takiego się zdarza, tylko że najbliższy ogród zoologiczny znajduje się w odległości jedenastu kilometrów od mieszkania Kippsteina. Być może, iż na Arktyce nie stanowi to żadnej odległości, ale w cywilizacji, pośród gęsto zasiedlonego terenu, taka odległość ma znaczenie.

Kippstein postanowił, że po prostu nie będzie zwracał na zwierzę uwagi. Ale po dalszych piętnastu minutach przeważała w nim ciekawość. Teraz, kiedy spojrział ukradkiem, zauważył na miejscu niedźwiedzia słońia. Konar lipy zgiął się w zatrzważający sposób.

To jest po prostu niemożliwe, powiedział do siebie Kippstein. To przechodzi już wszelkie granice! Słoń, zdaje się, był szary i jakby się śmiał. Jeszcze i to, gderał Kippstein, szukając w książce telefonicznej numeru do ogrodu zoologicznego, zadzwonił i usłyszał odpowiedź: „Nie. O niczym takim nie wiemy. Nasze słońie, a mamy ich trzy, biorą właśnie zgodnie wspólny prysznic“. Kippstein odłożył słuchawkę. Na miły Bóg, mruknął, w końcu tylko sam się ośmieszam.

Zadzwoniono do drzwi. Kippstein wstał, otworzył i wpuścił sprząającą. Poprosił Zofię, aby zaczęła od oczyszczenia okna w pracowni. Zofia, jak to miała w zwyczaju, wzięła się z miejsca do dzieła.

W wyraźnych konturach, w bogatych kontrastach i w miłych barwach prezentowała się lipa. To było objawienie.

Po słońiu nie pozostał nawet ślad.

tłumaczenie – Eugeniusz Wachowiak



Wietrzyk zawadiaka

Potargał liście
i gałązki wierzb

Poruszył wodę w stawie
Załopotał w grązelach

Zaszeleścił w tataraku
i w trzcinach

Pofalował
w trawach
i w kłosach zbóż

Zawirował
Podniósł kurz z polnej drogi

Poniósł
i
już

Tyle go było widać

Echo

Mieszkam w mchach
i porostach
czasem w dziuplach
w jałowcach
Wędruję po pagórkach
wśród stuletnich sosen
w jagodnikach, młodnikach
w świetle poręb i polan

Przystaję w buczynach
nad brzegami jezior
i przy zwinnych strumieniach
czasem chowam się w świerkach
Gubię się w matecznikach
w duktach
i przesiekach

kiedy tylko zawołasz
przybywam

echem lasu jestem

Tańczymy

Jeszcze tańczymy płomieniu
otuleni zielenią
i cieniem lasów

Wiatr nuci melodię
niesie zapach dymu z ogniska

Nocą gwiazdy
kąpią się w strumieniu
dzień budzą ptaki

Jeszcze ziemia łaskawa
przyjacielu
póki w nas światło
muzyka i słowa

Przed zachodem

Ostatni
przebłysk światła
w łuskach
to w nurcie
pstrąg

Z gęstniejącego
cienia olch
wychodzę
w stronę słońca

A ono mówi:

Wracać pora

bo zaraz
mnie
nie będzie

Trzydzieści koszul

Mężczyzna w kapeluszu z małą dziewczynką. Trzyma ją za rączkę. Podwinięte rękawy białej, może błękitnej, koszuli, szerokie nogawki spodni nadmuchane przez wiatr. Za nimi, w tle, kadłub wojennego okrętu „Burza”. Hanka pamięta tę wycieczkę. Z zakładu pracy, z cegielni. Mogły jechać dwie osoby, ojciec zabrał ją. Odwraca stary, brzegami pożółkły kartonik. „Gdynia, lipiec 1962 rok”. Rozpoznaje zamaszyste pismo. Pierwsza Komunia. Ona w środku, rodzice po bokach. Za nimi olbrzymie krzaki bzu na przykościelnym podwórzu. Piaszczysty, spokojnie schodzący do wody brzeg rzeki. Kilkoro dzieci na przybrzeżnej płyciźnie. Z trudem rozpoznaje w tych małych, drobniutkich dziewczynkach swoje koleżanki. Wraca do zdjęcia z Gdyni. Czuje do niego jakiś niewytłumaczalny sentyment. Jego kopia w antyramie wisi w jej sypialni. Przygląda się. Kosmyk zaczesanych do góry falujących włosów wiatr zwiął na czoło. Żyłaste, ogorzałe od słońca, silne przedramiona. Chwytały ją pod pachy i wyrzucały w górę. Piszcząca ze strachu, potem chciała jeszcze. Hanka wyciąga garść czarno-białych zdjęć z drewnianej szkatułki; przerzuca je, wyłuskuje to z koniem. Okazały, na wysokich nogach kasztan, z białą łąką wzdłuż łąba. Ojciec stoi przy nim, trzymając go za kantar. Ona siedzi na wierzchu. Drobne dłonie wbite w jasną grzywę. W kadrze, z lewej strony, zmieściła się jeszcze połowa betonowego kręgu studni na korbę. Ocynkowane wiadro. Wpatruje się w drobną twarzyczkę. Tak, z pewnością się bała.

Hanka ogląda stare fotografie i patrzy na deszcz. Przez uchylone okno wpływa wilgotne powietrze, wypełnia salon. Zawsze była i jest pomiędzy. Małym domkiem ze starej czerwonej cegły a okazałym, z przestronnymi wnętrzami, murowańcem. Tamtą wsią nad graniczną rzeką a swoim miastem, może nie przygranicznym, ale nieopodal granicy. W domu cisza. Jerzy śpi jeszcze. Spogląda na zegarek. Dziewięta. Tak długo?

Jerzy, Jerzy – powtarza w myślach. Wczoraj dzwoniła Karolina. Jak zawsze późno.

Wie, że do mamy można. Wyjeżdża do Chorwacji. Ciągłe w biegu, w pracy, w domu. Zawsze coś. Wreszcie odpocznie, myśli, ale nie mówi. Karolina reaguje alergicznie na jej uwagi, rady. Nawet długo rozmawiały. Już kończyły, gdy matka napomknęła, niby przypadkiem:

– Nie zapytasz, gdzie się wybieram na wakacje?

– A wybierasz się?

– Czy uważasz, że jestem przywiązana do domu jak wiejski pies do budy? – zaczęła czupurnie, może nazbyt, pomyślała po chwili, lecz było już za późno. W słuchawce milczenie. – Jesteś tam? – spytała.

– Jestem... jestem – zabrzmiało głucho, bez wcześniejszej wesołości. – W ubiegłym roku zapytałam, też nie było dobrze. „Gdzie ja się mogę ruszyć?” – powiedziałaś. Więc gdzie się wybierasz?

– Do Johana, wspominałam ci, że go spotkałam. Ma ładny domek letniskowy nad jeziorem.

– A co z tatą?! – zabrzmiało jak nagana. Właśnie. „Co z tatą?” Sama chciałaby wiedzieć.

– Opiekuję się nim. Nic mu więcej nie potrzeba, prócz opieki. Opieki i życzliwości. Ja mam dopiero czterdzieści osiem lat... – urywa, bo czuje, że zaczyna się tłumaczyć. Jest zła na siebie.

Jak mogła?! Hanka odkłada słuchawkę i siada przybita. Cała Karolina. Użądli boleśnie, zniecka, patrząc w oczy. Będzie udzielać rad. To ona, nie córka, ma już „z górki”. Przecież wie, że przed trzema laty, kiedy Jerzy opuścił szpital, zmieniła całe swoje życie. Przy granicy zatrudniła dwie osoby, sama zajęła się nim. Szukała dojść, kontaktów, koperta tu, koperta tam. Teczka z wynikami pod pachą i od jednych drzwi do drugich. Lekarze czytają i kręcą głowami. Nie jest dobrze. Mówią, że źle. Jednak zawsze pozostawiają cię nadziei. Ona chwytą się go i nie poddaje. Ściąga najlepsze leki, cena nie gra roli. Nieustannie rosnące konto teraz topnieje z każdą wizytą, z każdą wypisaną receptą. Nie zważa jednak na nic. Tworzy domową apteczkę, tylko dla Jerzego. W niej specjalny notatnik z precyzyjnie określonymi nazwami i dawkami leków, i nazwiskami lekarzy je przypisujących. I trzykrotny w ciągu dnia rytuał ich podawania. Jerzy kaprysi, buntuje się. W kalendarzu zaplanowane na rok terminy pobytu w sanatoriach, szpitalu; rehabilitacje, rehabilitacje... I żadnej nadziei na lepsze. Brakuje jej ojca. On zawsze wysłuchał, poradził. Powiedział kilka ciepłych słów. Jeździ na wiejski cmentarz, niedaleko, może dwadzieścia kilometrów. Zapala znicz, patrzy na fotografię. Miał tyle lat, co ona teraz. Oblicza w pamięci nawet mniej, poprawia w myślach. Wyrzuca z siebie rozpacz i żal. Dlaczego ja? Dlaczego mnie to spotkało? Słyszysz, jest przekonana, głos z głębi: „Masz tyle siły, dasz radę”. I wierzy w to – tu na cmentarzu, nie w kościele, do którego nie chodzi.

Telefon od córki irytuje ją jeszcze następnego dnia. Rozmawia z przyjaciółką.

– Nad czym ty się zastanawiasz? – mówi bez namysłu Jolka, przyjaciółka z bazaru, kiedy słyszy o propozycji Johana. – Że nie jesteś wolna? Że zobowiązania? No i co z tego? Tak. Formalnie jesteś mężatką. Pierzesz męskie gacie, koszule, skarpety, które śmierdzą męskim potem. I jeszcze gotujesz – wyrzuca jednym tchem niczym zagorzała feministka. – Ale śpisz sama w zimnym łóżku, może zapomniałaś już, jak to się robi, jak to kręci, jak krew szybciej krąży? – uśmiecha się rozpustnie. – Nad czym się zastanawiasz? – powtarza. – Drugi raz, być może, „nie zaproszą nas wcale”. Nawet gdyby tylko na tym wyjeździe miało się skończyć... Załatwisz jakąś opiekunkę. Odpoczniesz od tego kieratu. A on, no, ten Niemiec – puszcza oko, uśmiecha się – jeszcze krzepki facet i całkiem do rzeczy – znowu ten sugestywny uśmiech – będziesz zadowolona.

Przyjaciółka, powierniczka jej dylematów i sekretów – „budę” ma po przeciwnej stronie alejki – jest wtajemniczona w domowe sprawy Hanki. Podziwia jej sprawność, kiedy tamta obskakuje klientów zza Nysy. Przejdą most i wpadają w jej ramiona, jakby tylko ona handlowała. Spojrzy na gościa i już zna rozmiar koszuli dla niego, i podaje kilka. Obraca nim jak manekinem to w lewo, to w prawo. Podstawia lustro. Klient krzywi się. Nie ma sprawy, podaje dwie następne z tym samym, przyklejonym tylko dla nich, uśmiechem. Dobrać koszule to nie wszystko. Tak łatwo jej się nie wymysknie. Jeszcze krawat. Podsuwa pod oczy wachlarz w kolorach tęczy. Oczywiście brak zdecydowania. Spogląda na koszulę, na wachlarz, zdecydowanym ruchem wyjmując właściwy, według niej. Zanim gość się zorientuje, kolorowa taśma wisi na jego szyi. Ona patrzy mu w oczy, szczerzy te swoje ładne zęby i wiąże główkę. Zgrabnie wsuwa taśmę pod kołnierzyk i formuje pod szyją. Dobre perfumy drażnią jego nozdrza. Jest zadowolony. Ale to nie wszystko. Jeszcze pasek. Skórzany. A skarpety? Nauczyła się i szprecha z nimi po ichniemu. Śmieją się, klepią po ramionach, zadowolone są towarzyszące im żony. Udały zakupy. Ona pakuje do reklamówki. Już są następni... Marki spływają strumieniem do saszetki przytroczonej do pasa.

Odwiedza ojca.

– Dałam radę – mówi półgłosem – szkoda, że nie możesz zobaczyć naszego domu. Jest duży, ładny. Tobie też by się podobał. Tak myślę – dzieli się radościami od samego początku. Od ślubu. Nie zapomina o urodzinach dziewczynek, chrzcinach, komunii. O szkole jednej, drugiej. Spieszy z wiadomością o zdanej maturze, o przyjęciu na studia. Ojciec jest informowany na bieżąco.

Z Jerzym widzą się wieczorem, w domu. On ciągle w drodze. Od jednego producenta do drugiego... Już niedługo to oni, na telefon, będą dostarczać towar. A on? On zacznie zaglądać do kieliszka. Kompanów sporo, bo pełny portfel wypycha tylną kieszeń w spodniach. Ściąga wzrok złodziei i amatorów darmowego napitku. Knajpy zmienia jak skarpetki... może i częściej. Ma szybki samochód. Są i dziewczyny – te łatwe. Jest ich dużo. Śniade, w kusych spódnicach, przy drodze do granicy – bo na inne Jerzy nie ma czasu, za dużo zachodu. Zobowiązania. A tych nie potrzebuje. Świat należy do niego, bynajmniej ten przygraniczny. Chłonie życie, tak mu się wydaje, garściami.

Hanka jest w swoim żywiole, jakby nic innego w życiu nie robiła. Trudniej jest zimą. Śnieg. Zaspy. Mróz. Lecz nie narzeka. Saszetka z markami pęcznieje i w zimie. Grzejnik przy nogach, gorąca herbata, wzmocniona. Dzień w dzień, od listopada do lutego. Asortyment wzbogaca o kurtki, czapki, koszulki z flaneli. Pewnego dnia pomaga klientowi zapiąć kurtkę: guziki duże czy małe dziurki, nie może sobie poradzić. Przykucnęła. Podnosi się, przypadkiem jej dłoń dotyka ciepłej dłoni mężczyzny i wpada w szaro-błękitną toń wpatrzonych w nią oczu. Jakby znajomych. Niezrozumiałe ciepło podąża od nóg w górę, po chwili pieką policzki. Cofa się pół kroku. Przygląda uważnie czerstwej, zadbanej twarzy. On stoi skonfundowany. Tak. Hanka już jest prawie pewna. Prawie.

– Johan? – mówi i czeka w niepewności na reakcję.

Mężczyzna mruży oczy. Patrzy uważnie.

– Hanna? – Zbliża się do niej. Wpadają sobie w ramiona.

I wszystko staje się nagle bliskie. Tamte wakacje w domu rodziców, nad graniczną rzeką. Po sąsiedzku mieszkała Berta. „Autochtonka” – mówili wszyscy. Hanka bawiła się z Ulą, jej córką. Nie wiedziała, dlaczego we wsi tylko jej mamę nazywają „autochtonką”. Trochę niewyraźnie mówiła, ale rodzice Hanki i inni we wsi też mówili inaczej niż pani w szkole. Ot, ludzie ze wsi – myślała z początku, potem już się nie zastanawiała, a może tamta nabrała wprawy i mówiła tak samo jak inni? Któregoś dnia na podwórzu autochtonki zajeżdżał szary, duży, zagraniczny samochód. Wieść, że do Berty rodzina z NRF-u przyjechała, szybko rozniosła się po wsi. Co bardziej ciekawscy znaleźli powód, by przyjść do sklepu – był w pobliżu, po drugiej stronie drogi – zajrzeć na podwórze, zagadać, spytać. Zaspokoić ciekawość. Przez pierwsze dni było to wydarzenie, o którym wszyscy mówili. Potem, jak inne, spowszedniało na tyle, że ciekawscy stali się mniej natarczywi.

Została wtajemniczona jako jedna z pierwszych i to od razu u źródła. Koleżanka zapoznaje ją z jej kuzynem, Johanem.

– Po naszymu Janek – dodaje, widząc, że Hance imię to nie przypadło do gustu.

– Hanna – mówi nieśmiało, podając dłoń trochę starszemu od niej chłopakowi.

Od tej pory jest częstym gościem u sąsiadów. Porozumiewa się nieporadnie. Ze szkoły pamięta pojedyncze wyrazy i trochę zwrotów. W trójkę kąpią się w rzece, spacerują trawiastym brzegiem. Rozmawiają najczęściej o szkole. Janek, tak do niego się zwraca, mieszka w mieście; opowiada jak jest u nich. Ona słucha z otwartymi ustami. Gdy mijają ich żołnierze z paskiem pod brodą i karabinami na plecach, milkną, na wszelki wypadek. Wakacje się kończą i Johan wyjeżdża.

Ulka spostrzega, że koleżanka stała się z dnia na dzień, mało rozmowna, zamknięta w sobie.

– Ty się pewnie zakochałaś – ni to stwierdza, ni pyta któregoś razu, gdy są same na tym samym kawałku plaży.

Hanka spłonęła rumieńcem. Nieporadnie usiłowała zaprzeczać, lecz koleżanka nie dała się zwieść.

Listy krążą w obie strony. Hanka gromadzi je w kartoniku po czekoladkach, które dostała na pożegnanie. Píše wieczorami, ze słownikiem pod ręką, zarywa noce – nikt wtedy nie przeszkadza, nie pyta, choć i tak wszyscy wiedzą.

Johan przyjeżdża w kolejne wakacje. Prawie się nie rozstają, zawsze razem. I Ulka nie zawsze jest im potrzebna. Rodzice to widzą. Matka się martwi. Żeby tylko szkoły nie zawałiła. Ojciec bardziej ufa córce. Jest przekonany, że da radę. Mówi, że choć niemieckiego się nauczy. Myśli inaczej: że może ich córce pisany jest inny świat. Niechby. Mamie nie podoba się ten Johan. Wyszukuje jakichś felerów. A to taki chudy, a to że włosy ma trochę rude, w końcu że tam, w tych Niemczech, to takich jak Hanka, to on ma... – zawiesza głos – jak snopków w polu. Znalazłaby sobie tutaj chłopaka. Ot, choćby Jurek, robi w mieście, motor kupił, przyjeżdża raz po raz, niby do starszego syna, a coraz częściej w jej stronę spogląda. Hanka swoje wie. Ona też będzie w mieście. Myśli o studiach, takich Jurków, wyrывa się jej pewnego razu, to ona może mieć... ilu zechce – tylko po co? – No, no, żebyś nie zgrzeszyła pychą – przepowiada babka. – Żadnego możesz w końcu nie mieć.

To były ostatnie wakacje z Johanem. Jeszcze piszą do siebie, lecz coraz rzadziej przychodzi listonosz. Potem Hanka zawiąże czerwoną wstążką listy, upcha jakoś w ten kartonik po czekoladkach i schowa do kanapy, na której śpi. Później przeniesie na strych. Aż o nich z czasem zapomni, kiedy wyjedzie na stałe do miasta.

Piją kawę. Ustępuje początkowe onieśmienie, odkrywają siebie, lecz ta dawna bliskość i to dawne zrozumienie jest jednak odległe, zbyt odległe, by je pokonać w kilka spotkań. Hanka nie chce się przyznać przed sobą, że oczekuje tych niedziel i jego wizyt czy odwiedzin – jakkolwiek by to zwał. Zapomina wtedy o pustym domu – Karolina i Magda są już poza – domu, którego nie ma kto i dla kogo sprzątać. O awanturach. O nocnych powrotach Jerzego. Zamroczony, ledwo się trzyma na nogach, gdy wysiada z samochodu. Ona musi na to patrzeć. Dobrze, że dziewczyny nie widzą. Różnie bywało. Nawet i burzliwie. Wybaczała. Starła się zapomnieć – nie potrafiła. Teraz jakby zbliżał się koniec. Tylko jaki? Jaki koniec? Gdy się tak napatrzy, naawanturuje – wciągnięta w utarczki słowne, wyprowadzona z równowagi – nie może spać. Drży na widok radiowozu i sygnału karetki. W soboty przychodziła pomoc. Sprzątała cały dom. Ale jej wymówiła. Żal było kobiety. Dorobiła sobie. Dlatego zapłaciła jej miesiąc z góry. Więcej nie mogła dla niej nic zrobić. Obiecała, że będzie o niej pamiętać. Nie chciała, żeby ktoś obcy widział bałagan, złachane ubrania rozrzucone po kątach, puste butelki – jego... a i jej też by się znalazły – za kanapami, komodą.

Znowu w domu wraca wszystko na swoje miejsce, z wyjątkiem Jerzego. On ciągle jest gościem.

Ojcu nie mówi o Johanie. W tamte wakacje, pamięta, on nie był, w przeciwieństwie do matki, niechętny ich znajomości. Ale to już tyle lat. Może miał jakieś plany z nim związane? Teraz to już dojrzały mężczyzna, pewnie ma rodzinę, ona też... Jednak czuje, jakby ojca oszukiwała.

Niedziele są takim miłym przerwaniem między tygodniami. Johan przyjeżdża co tydzień, kupuje koszule, skarpetki, paski, krawaty.

– Co robisz z tyloma koszulami? – śmieje się Hanka.

– Raz w miesiącu chodzę do pralni. Potrzebuję trzydzieści – żartuje.

– Nie masz nikogo, kto by ci robił pranie?... I nie tylko – pozwala sobie na dwuznaczność. Znają się, już można, dołącza uśmiech, że niby to żart. Tak naprawdę, to jest ciekawa odpowiedź. Wpatruje się w niego. Widzi spływające z twarzy rozbawienie.

– Nie mam – mówi ze spokojem. – W ubiegłym roku, przed świętami, żona odeszła. – Hanka czuje, jak uśmiech jej gaśnie. Brak słów. Chce zapytać: „Jak to, odeszła?”. Johan ją wyręcza. – Na zawsze – znacząco spoglądając w błękit.

Ona go przeprosza. Za niezręczność. Za ciekawość. Nie wiedziała. Wracają do poprzedniej rozmowy, lecz już nie do beztroskich żartów. Nie teraz.

Innym razem rozmawiają o korespondencji. Tej sprzed lat, niespodziewanie przerwanej. Bez żadnych wyjaśnień. Robi się sentymentalnie. Jednak to już nie ma żadnego znaczenia. „Rozbitego lustra nie da się skleić”. A gdyby nawet jakimś sposobem się udało, gdy w nie spojrzeć – widzi się już kogo innego. Nie ma ich – tamtych. Są tu i teraz, za dorośli, za dojrzały, oni, którym – są przekonani, każde z osobna – wszystko już wymyka się z rąk.

Wtedy, gdy listy ze znaczkiem Schillera i Adenauera na kopercie, spięte czerwoną tasiemką i wciśnięte w kartonik, aż pękaty od ich nadmiaru, jeszcze nie spoczęły w kanapie. Gdy pamięć jeszcze nie ostygła, szarość wokół zdawała się coraz większa.

Jerzy czekał. Śmieiej zbliża się do Hanki. Zabiera ją na zabawy. We wsi tylko on ma motor z białymi siodełkami z dermy. Niemiecki. To nic, że z tych bliższych Niemiec – zawsze to zagraniczny. Ona się pogodziła, a może chciała zapomnieć? I Johana, i ojca. Nie ma ich obu, choć każdego inaczej. Matura. Zdaje egzamin na studia, polonistykę. Będzie nauczycielką. Cieszy się, a Jerzy się boi, że ona już nie wróci. A nawet jeśli... to na niego nie spojrz. Chodzą ze sobą. Dla nikogo nie jest to już tajemnicą. Koniec września. Hanka przygotowuje się do wyjazdu, ma miejsce w akademiku. Pewnego dnia, po obiedzie wstając od stołu, mdleje. Napędma wszystkim strachu. Nic się nie stało. W tajemnicy przed matką jedzie do lekarza. Niestety, cięża, Niedośzłe koleżanki studentki zaliczają pierwszą sesję egzaminacyjną. Ją Jerzy wiezie na porodówkę do miejskiego szpitala.

Myśli kłębią się w głowie. Tamten Jerzy – daleki, obcy, trudno uwierzyć, że kiedykolwiek istniał, i ten – fizycznie bliski, lecz nieobecny. Zamknięty w swoim świecie; posłuszny i obojętny. Trudno się dziwić. Aplikowane leki robią swoje – Hanka znowu wpada w myślowe tory do nikąd. Jeździ z nim wszędzie, jest przy nim, wraca z nim do domu. Nawet jej nie podziękuje, czasami się uśmiechnie. Ona nie wie, co jest powodem tej radości. Nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Przyszedł jego bliski kolega, a on woła od drzwi, że to jakiś pan do niej. Nie poznaje swojej siostry ani brata. Dopiero jak trochę się oswoi z ich widokiem. Córki chyba pamięta, lecz z czasu, gdy mieszkali jeszcze na wsi u jej rodziców. Jednym razem nie chce opuścić swojego pokoju, siedzi zapatrzony w jakiś, jemu tylko wiadomy, a może i nie, punkt na ścianie. Innym – chodzi za nią krok w krok. Gdzie ona, tam i on: w ogrodzie, w pokoju, w kuchni podczas gotowania obiadu, nawet do toalety usiłuje za nią wejść. Wtedy jest zazdrosny. Pamięta, wziął ją kiedyś za rękę, idąc przodem, zaprowadził do salonu, posadził na kanapie, sam usiadł w fotelu. Patrząc naiwnymi oczami chłopca, zapytał, kiedy będzie mógł z nią spać. Była zaskoczona. Potrzebował jej bliskości czy czegoś więcej? Wiedziała, że on tego nie powie. Położyła dłonie na jego kolanach i głęboko spojrzała mu w oczy.

– Bierzesz lekarstwa, jesteś chory. Kiedy wyzdrowiejesz, to będziesz mógł ze mną spać.

Myśli.

– A skąd będę wiedział, że jestem już zdrowy? – pyta rzeczowo.

– Pójdziemy do lekarza, on cię zbada i wtedy będzie wiedział, czy jesteś zdrowy. I dopiero wtedy Rozumiesz?

Jerzy zatrwożył się. Jakie myśli błędzą w jego głowie? Czy może zrozumieć? Kto może to wiedzieć?

Zaskakiwał ją od samego początku. Od kiedy się nim opiekuje, od powrotu do domu. Skończyły się sanatoria, pobyty w szpitalu, rehabilitacja. Starciła nadzieję, że będzie lepiej. Oby nie było gorzej! Pogodziła się. Oby nie było gorzej. Wszystko na jej głowie. Jego konto zablokowane. Należność z ubezpieczenia samochodu. Bariera nie do pokonania – podpis ubezpieczonego. Jak?! On nie rozumie, co to znaczy się podpisać. Pyta prawników. Jedyna możliwość – ubezpieczyciel. Nie może pojąć. To przecież okrutne. Potwierdzenie na papierze, że tak naprawdę to go nie będzie. Mijają dni. Rozmawia z córkami. Rozumieją. Tak trzeba. Wcześniej przygotowuje Jerzego. Tłumaczy mu. Jak małemu chłopcu. Że pójdzie z nim do takich panów. Ładnie ubranych, będą siedzieć za takim dużym stołem... – ręce jej

pracują, pokazuje, kreśli w powietrzu jakieś figury – zapytają go, jak się nazywa, gdzie mieszka, ile ma lat. Jerzy patrzy i potakuje. Hanka nie wie, czy rozumie. Ma tylko nadzieję.

Są w sądzie. On się rozgląda. Ona niepokoi się, co Jerzy powie i jak. Niepotrzebnie. On odpowiada jak grzeczny chłopiec; spokojnie, powoli. Z boku wygląda to nawet śmiesznie. Tak myśli Hanka. Teraz kolej na nią. Standardowo: imię, nazwisko, wiek... Gdy mówi, że ma czterdzieści osiem lat, Jerzy, stojący spokojnie obok, nagle odzywa się podniesionym głosem, nie kryje zaskoczenia:

– To ty masz tyle lat? Ja myślałem, że chodzisz jeszcze do szkoły.

Śmiech. Hanka nawet nie usiłuje ukryć rozbawienia, sędziowie zasłaniają dłońmi usta, ale widać ich śmiejące się oczy. Jerzy przygląda się zdumiony.

Dzwoni telefon. Spogląda na zegarek. Boże! Ta godzina. Co z Jerzym? Bierze słuchawkę i idzie po schodach do jego pokoju. Słyszy głos córki. Przeprasza ją za wczorajsze słowa. Za późno. Są już przetworzone na stres, żal, wspomnienia. Hanka przez uchylone drzwi, bez zamka i klamki, zagląda do środka. Jerzy jeszcze w łóżku, choć nie śpi. Patrzy w sufit. Ona nie wie, czy ją widzi. Matka Jerzego krząta się w łazience. Tak, opiekuje się i jego matką. „Ta niedobra synowa”, słyszała nieraz. Z tą opieką to niedostojnie, bo choć dobiega dziewięćdziesiątki, jest sprawna. „Na chodzie” – jak mówią znajomi. Hanka siada w korytarzu na chodniku i opiera się o ścianę.

– Już dobrze, dobrze – uspokaja córkę. – Przecież wiesz, że zrobię tak, jak będę uważała. Ale dziękuję za ciepłe słowa. – Wchodzi do pokoju. – Dlaczego nie wstajesz? – Żadnej reakcji. Jerzy patrzy niewidzącym wzrokiem, gdzieś obok, poza nią. Ona rozpoznaje takie zachowanie. Jest niezadowolony. Buntuje się. Wczoraj mówiła mu o swoim wyjeździe. Kiwnął głową, że tak, że zostanie z mamą. Zmarkotniał. Jakby pod przymusem się zgodził. Może potem przemysłał? Albo coś mu się śniło? Skąd może wiedzieć? Siada na brzegu łóżka, bierze jego dłoń, głaszcze, mówi ciepłym głosem. O opiekuncie. Chyba nie rozumie. Mówi, że pani do niego dzisiaj przyjdzie. Skutkuje. Wstaje. Ona pomaga mu się ubrać i umyć. Przygotowuje śniadanie. Bierze tackę z przegródkami, wąską a długą. Dwadzieścia jeden dokładnie. Z jednego boku jest ich trzy (jak posiłków – śniadanie, obiad, kolacja), z drugiej siedem (jak dni tygodnia). W każdym kwadracie jednorazowa dawka leków. Przygotowuje na cały tydzień według recept, zawsze w niedzielę po południu, gdy Jerzy ucina sobie drzemkę, lub wieczorem, gdy już śpi. Rozkłada je na stole, czyta uważnie, potem wycina z listków – z buteleczek nie wyjmuje, dopiero tuż przed podaniem – pojedyncze drażne i wkłada do odpowiedniej przegródki. Gdy skończy, zatrząskuje na pudełku plastikową przykrywkę, umieszcza w apteczce i zamyka na klucz. Wiesza go z tyłu szafki. Sięga tam ręką na wyczucie. Dzisiaj po obiedzie, zanim jeszcze przyjdzie siostra PCK, przygotowuje na kolejny tydzień.

Jerzy, trzymając się poręczy, ostrożnie schodzi po schodach. W przedpokoju zatrzymuje się przy rozbebeszonej torbie. Ona widzi jego zdziwione spojrzenie.

– To mój bagaż. Mówiłam ci wczoraj, że wyjeżdżam na kilka dni.

On usiłuje sobie przypomnieć. Spogląda to na Hankę, to na jej bagaż. A co z nim?! Nie chce. Nie zgadza się. Wymachuje rękami. Krzyczy. Ona do niego podchodzi. Ostrożnie. Na odległość wyciągniętych rąk. Widzi w jego oczach błyski. Zbliża się. Tuli go do siebie. I zaczyna od początku. Mama z nim będzie i pani, która zaraz przyjdzie... Tłumaczy, że wszystko będzie dobrze, że szybko do niego wróci. Daje się obłaskawić.

Może dokończyć pakowanie. Jerzy wychodzi do ogrodu. Dookoła siatka, zamknięta bramka – jest bezpieczny. Nawet pies, stara Aza, ma swoje ogrodzenie. Zastanawia się, co zabrać. Strój kąpielowy, tak, na pewno, ręczniki, kosmetyki. I żeby kremów z filtrami nie zapomnieć. Jakąś kurtkę ciepłą – pogoda taka zmienna. Wyjmuje z szafy sukienkę. Jedną. Drugą. Ogląda. Pakuje obie. Po chwili dokłada kolejną. Przecież gdzieś wyjadą, na spacer, do kawiarni. Wybiera buty. Z tym idzie jej łatwiej. Chce wyglądać jak

kobieta. Nic więcej. Wyciąga szufladę z komody. Przegląda zawartość, choć zna ją na pamięć. Wsuwa dłonie w jedwabie. Szeleszczą te nierozpakowane, zakupione ostatnio, na ten właśnie wyjazd.

– Kup sexy bieliznę, pamiętaj – podpowiadała przyjaciółka. Spłonęła nawet rumieńcem, jakby przygotowywała się na „pierwszy raz”. Tłumaczyła jej, że to zbędne. – Kto to wie? Kto wie, moja droga? Kobieta wolna zawsze powinna być gotowa. Zawsze.

Kupiła. Teraz nowe wątpliwości. Zastanawia się, przegląda. Może te czerwone z falbankami, może czarne, skromniejsze...? Bierze kilka kompletów.

Dzwoni Jolka. Sprawdza, czy Hanka się nie rozmyśliła. Od początku ją namawiała. Obiecuje, że zajrzy do domu, podczas jej nieobecności. Jakby co, pomoże. Będzie pod telefonem.

Jest i opiekunka. Bożena – przedstawia się. Hanka widzi ją pierwszy raz. Całkiem atrakcyjna czterdziestka, ocenia szybko. Nie wygląda na siostrę miłosierdzia (w okularach ze szklami jak denka butelek), której obraz – nie wie, dlaczego taki – tkwi w jej pamięci. Wchodzi Jerzy. Przywołuje go do siebie. Obejmuje po przyjacielsku ramieniem.

– Pani będzie się tobą opiekować.

On ocenia ją po męsku, uśmiecha się.

– Piękna paani – przeciąga słowa. – Z wesołością w oczach spoglądają na siebie, czują się zakłopotane.

Hanka oprowadza przybyłą po domu. Wchodzą na piętro, otwiera każdy pokój, łazienkę.

– Oddaję pani swoją sypialnię. Pościel wymienię. – Podaje jej klucz. – Będzie się pani zamykać. Też tak robiłam... Żeby nikt nie zakłócał spokoju. W drzwiach do sypialni Jerzego nie ma zamka. Tylko uchwyt i zatrzask. – Chodzą, a Hanka opowiada, tłumaczy. – Najważniejsza sprawa, leki. – Pokazuje przygotowany na najbliższy tydzień ich zestaw. I kartkę z rozpisanymi dawkami na pozostałe trzy dni jej nieobecności. Zapewnia, że Jerzy jest spokojny i zachowuje się poprawnie. – Jeśli ma lekarstwa – dodaje. – To bardzo ważne. Babcia będzie gotować obiady – kieruje spojrzenie na filigranową, z krótkimi, siwymi włosami, staruszkę. Ona słyszy, słuch ma dobry, że o niej mówią, uśmiecha się bezzębnymi ustami. Przechodzą do ogrodu. Jerzy za nimi. Przy warzywniku wyprzedza je.

– Widzi pani – wyciągniętą ręką wskazuje warzywa – mamy wszystko: buraki, marchew, pietruszkę, sałatę, cebule... – Zachłystuje się ich dorodnością. – Nawet kalafior. I do sklepu nie musimy chodzić. Mamy wszystko, co potrzeba. Prawda Hanka? – szuka potwierdzenia. Pani Bożena wyraża swoje uznanie. Pyta, kto tutaj pracuje.

– To wszystko Hanka... – oczy mu błyszczą. – Ona to potrafi – podsumowuje. Wracają. Przy samochodzie zmienia temat. – Wie pani, że mamy dwa samochody. Jeden jeszcze w garażu – wskazuje zamkniętą bramę. – Hanka, a jak się nazywają?

– Jerzy, daj pani spokój. – A do kobiety: – On, gdy kogoś widzi pierwszy raz, zawsze staje się męczący. Ale tylko na początku – uspokaja. Dzwoni telefon. Spogląda na wyświetlacz. Tak myślała. To Johan. Pyta, kiedy wyjedzie. Ona zapewnia, że w przeciągu godziny. Gdy potem wynosi bagaże do samochodu, Jerzy znowu jest zaniepokojony. Ma strach w oczach.

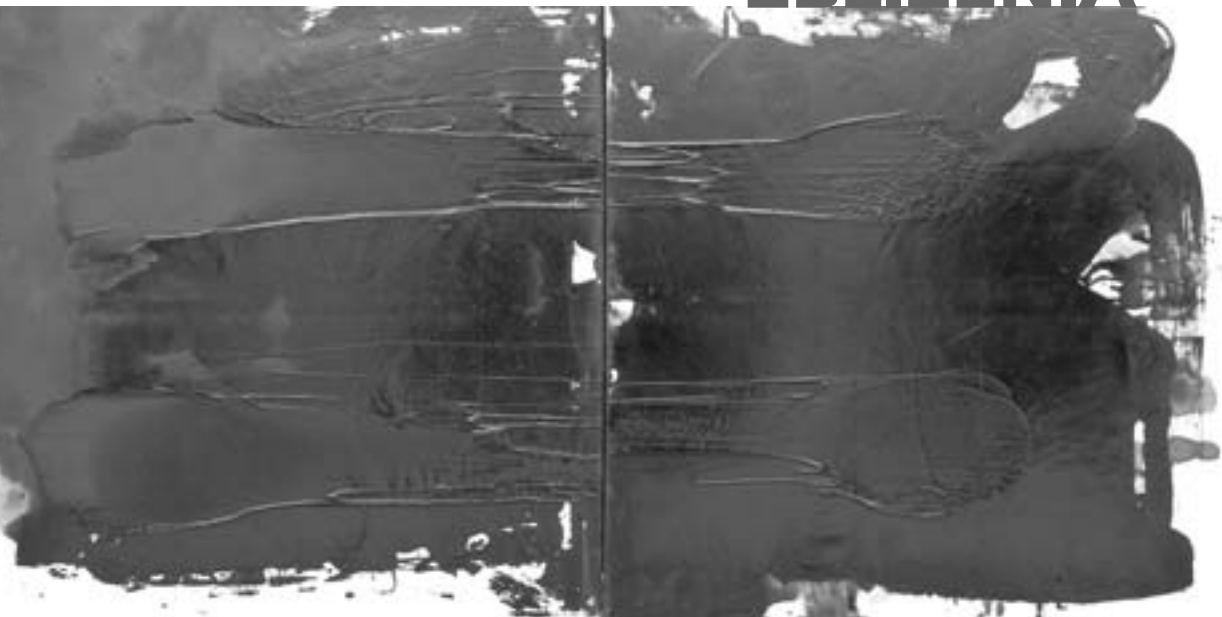
– Gdzie ty jedziesz? – pyta drżącym głosem, z niepokojem. Znowu mu tłumaczy. On słucha z uwagą. Lecz strach nie znika.

– Za kilka dni do ciebie przyjadę – zapewnia kolejny raz. – Przez ten czas będziesz z panią.

– Tylko przyjeżdż – mówi cicho i kieruje spojrzenie na nieznaną. Wykonuje krok w jej stronę. – Piękna paani będzie ze mną?

sierpień 2010

(Opowiadanie uhonorowane II nagrodą w XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksztzy „Małe ojczyzny – pogranicze kultur i narodów“.)



Małgorzata Mikołajczak

„Biała plama”? Twórczość lubuska w perspektywie nowego regionalizmu¹

„Białą plamą” na kulturalnej mapie powojennej Polski nazwał twórczość lubuską jeden z polityków w drugiej połowie lat 50. Od tamtego czasu wiele się zmieniło i to nie tylko w sferze polityki. Przemiany dokonywały się na scenie literackiej i – na Ziemi Lubuskiej. Powstawały pisma, tworzyły się artystyczne grupy, do głosu dochodziły kolejne pokolenia, publikując antologię, powieści, poetyckie tomiki. Dziś twórczość ta, którą nazwać by trzeba mianem regionalnej, domaga się retrospektywnego, syntetycznego spojrzenia, ale zarazem domaga się też nowej perspektywy. Ponad dziesięć lat temu pisał Erazm Kuźma: „Określenie: *regionalna* w odniesieniu do literatury czy: *regionalny* w odniesieniu do pisarza wywołuje tyle nieporozumień, a nawet urazów, że warto do tych spraw wrócić” – i w tym samym miejscu wyrażał pesymizm – „bez

¹ Zawarte w tym szkicu tezy i propozycje badawcze rozwinięte zostały w artykule zatytułowanym *Tropy topografii. Związki między regionalizmem i miejscem w twórczości lubuskiej*, opublikowanym na łamach „Ruchu Literackiego” 2010, nr 13.

nadziei wszakże, że próba innego ich ujęcia zmieni coś w dotychczasowych praktykach nazewniczych”². Tymczasem taką nadzieję niesie nowy regionalizm, związany ze zwrotem topograficznym w nauce o literaturze. A uwzględnić trzeba również pozaliterackie zmiany i przeobrażający się współcześnie status peryferii: w Europie regionów to lokalność staje się miejscem centralnym. Owo przesunięcie pozwala pytać o nowe miejsce regionalnej lubuskiej literatury. Poniższe refleksje wyrastają właśnie z takiego pytania.

Twórczość lubuska...

W tym określeniu zawarte jest przeświadczenie, że o kształcie lubuskich utworów decydują przesłanki pozaliterackie; że istnieją geograficzne, historyczne i inne czynniki, wobec których wartość artystyczna schodzi na plan dalszy. I że to miejsce determinuje sposób uprawiania literatury – miejsce tworzące kulturowo określoną przestrzeń. To przekonanie ściśle łączy się z regionalizmem czy raczej, należałoby rzec, z regionalizmami. Kierunek ten, podobnie jak różne inne „izmy”, ma bowiem wiele (w ostatnich latach coraz więcej) definicji, których zakres semantyczny pozostaje szeroki i niesprecyzowany³. Regionalizm często bywa utożsamiany z peryferyjnością, lokalnością, prowincjonalizmem. Stołeczny krytyk, Tomasz Burek, recenzując wydane w roku 1963 na Ziemi Lubuskiej arkusze poetyckie, sugerował:

któs mógłby powiedzieć, że otrzymaliśmy małą antologię liryki „prowincjonalnej”. Prowincjonalnej, a zatem myślowo zacofanej, formalnie zapóźnionej, gorszej w swym modelunku od przeciętnego kształtu poezji stołecznej⁴.

I choć ta konstatacja (zaraz w kolejnym zdaniu zaprzeczona) to tylko prolegomena do opinii, że poezja lubuska właściwie niewiele różni się od ogólnokrajowej, ów głos jest, nie tylko dla tamtego okresu, charakterystyczny, podobnie jak

wpisane weń deprecjonowanie i niska ocena twórczości regionu. Tak zresztą myślą o swoim piarstwie sami zainteresowani – lokalni poeci i prozaicy. „Kompleks miejsca” jest niejako znakiem rozpoznawczym pisarza lubuskiego regionu. I rzadko spotkać się można z „pochwałą prowincji”⁵ bądź też z opinią, podobną do tej, którą w kontekście twórczości lubuskiej wyraził autor *Słowa peryferyjnego*:

słowo z peryferii (słowo peryferyjne) należy do literatury w sposób bardziej intensywny, aniżeli słowo definiujące literaturę, a więc usytuowane w sferze literackości. Słowo peryferii ma bowiem szansę odtworzenia procesu narodzin słowa literackiego w ogóle⁶.

Szansę nie tylko taką. Właśnie o szansach i perspektywach otwierających się przed twórczością lokalną mówi – zyskujący coraz większe znaczenie w humanistyce –

nowy regionalizm.

Nowy regionalizm zdecydowanie różni się od tego, który był uprawiany w czasach PRL-u – od wersji etnograficznej, reprezentowanej przez sklepy Cepellii i zespół Mazowsze. O ile tamten, upodobawszy łowickie wycinanki, próbował zamysłać kulturę regionalną w folklorystycznym skansenie i pasować na strażnika ludowych pamiątek⁷,

2 E. Kuźma, *Współczesny regionalizm jako rodzaj komunikacji literackiej*, „Region Lubelski” 1987, R. 2/4.

3 Najszerzy przegląd znaczeń tego terminu w nauce o literaturze znaleźć można w haśle słownikowym, które definiuje Erazm Kuźma (*Regionalizm*, [w:] *Słownik literatury polskiej XX wieku*, pod red. A. Brodzkiej i in., Warszawa 1992, s. 925–930).

4 T. Burek, *Wyobraźnia jeszcze onieśmielona*, „Nadodrże” 1964, nr 8.

5 Przywołując to określenie, nawiązuję do książki Andrzeja Zawady zatytułowanej *Pochwała prowincji* (Wrocław 2008).

6 C. P. Dutka, *Słowo peryferyjne. Eseje, szkice literackie i recenzje*, Zielona Góra 1999, s. 12.

7 Por. K. Kossakowska-Jarosz, *Edukacja regionalna w kształceniu polonistycznym*, „Polonistyka” 2005, nr 4, s. 206.

o tyle dla regionalizmu współczesnego region to miejsce podobne do wszystkich innych miejsc. W Europie bez granic, która staje się dziś Europą regionów, jego modelem jest już nie obraz peryferii usytuowanej daleko od centrum, ale wizerunek wielowymiarowego plastra.

Nowy regionalizm najwięcej zawdzięcza procesom globalizacji z jednej strony, z drugiej – przemianom w naukach humanistycznych, które zaczęły się pod koniec wieku dwudziestego. Symptomaticznie zmian był odwrót od wielkich społeczności miejskich do wspólnot lokalnych, osadzonych w alternatywnej lokalnej przestrzeni. „Przebudzenie etniczne”, „powrót do korzeni”, „zakotwiczenie w małej, lokalnej ojczyźnie” łączyło się z wzmożonym zainteresowaniem regionem. Współcześnie rozwój tego ruchu inspirowany jest głównie dyskursem mniejszościowym.

Lokalne czy regionalne narracje traktuje się bowiem jako strategię emancypacyjną i krytyczną odpowiedź na wielkie Opowieści Narodowościowe z jednej strony, a z drugiej jako reakcję na globalizacyjne atocie i nie-miejsca.

– pisze na łamach „Tekstów Drugich” Elżbieta Rybicka⁸. Badaczka umieszcza nowy regionalizm w ramach dokonującego się zwrotu topograficznego, za sprawą którego topografia, czyli geograficznie określona przestrzeń zakreśla spektrum oglądu literaturoznawczego. W tym ujęciu ważne są nie tylko miejsca charakterystyczne, „osobliwości regionu” i nie tylko literatura, w której poprzez symbole i metafory materializuje się i przemawia egzystencja mieszkańców, ale i nowe miejsce, z którego można tę literaturę badać. Z tej perspektywy przyjrzyjmy się sytuacji lubuskiej literatury.

W wypadku regionu lubuskiego miejscu przyznać trzeba znaczenie szczególne. W odróżnieniu bowiem od kultur wielu innych regionów

kultura lubuska

zaczęła się rozwijać dopiero w PRL-u, najintensywniej po roku 1956. Wtedy też po zmianach w polityce kulturalnej ugruntowywać się zaczęła lubuska tożsamość. „Ugruntowywanie się” nie jest tu tylko czczym frazeologizmem, powstająca lubuskość nie posiadała bowiem systemu korzeni. I jeśli istniał tutaj jakiś punkt zaczepienia (zaświadczał o nim niewielki procent ludności autochtonicznej), to raczej słaby i nieumocniony. Nietrudno się domyślić, jakie zadanie stanęło przed uprawiającymi kulturę lubuską: wytworzenie systemu rozrośniętych pędów i tyleż odtworzenie, co konstrukcja regionalnych korzeni. W to zadanie zaangażowani zostali przybysze z różnych, geograficznie nie raz bardzo odległych rejonów. Wybierzmy przykładowe metryki – miejsca urodzenia literackich nestorów: Kafusz koło Stanisławowa (Janusz Werstler), Koropiec koło Tarnopola (Michał Kaziów), Ostrów koło Poznania (Zbigniew Ryndak), Sosnowiec–Niwka (Janusz Koniusz), Aleksandrów Kujawski (Zdzisław Morawski), Anińsk na Witebszczyźnie (Włodzimierz Korsak), Kijów (Irena Dowgielewicz), Weldirz koło Stanisławowa (Zygmunt Trziszka), Telikpol koło Nowogrodu (Bronisław Suzanowicz), Stanisławów (Romuald Szura), Sieńkańce na Wileńszczyźnie (Witold Niedźwiedzki), Santoka (Henryk Szyłkin), Inowrocław (Bolesław Soliński) etc. W katalogu, który reprezentuje przesiedleńczą statystykę, dominują Litwa oraz Ukraina (przybywający stamtąd pożegnali na zawsze swoje dawne domostwa). Ale też spora część pisarzy przybyła tu ze Śląska, Wielkopolski, Mazowsza i to tylko nieliczni mieli szczęście wywodzić się stąd, jak np. Henryk Ankiewicz (Andabata), który przyszedł na świat w Obrze koło Wolsztyna. Ich wszystkich, o odmiennej przeszłości, innym bagażu tradycji, określanych dziś mianem „pisarzy lubuskich”, miało połączyć przede wszystkim miejsce. Miejsce

8 E. Rybicka, *Od poetyki przestrzeni do polityki miejsca. Zwrot topograficzny w badaniach literackich*, „Teksty Drugie” 2008, nr 4. Przedstawiona tu charakterystyka nowego regionalizmu odwołuje się do refleksji zawartych w tym artykule.

szczególne w tym sensie, że jego wyróżnikiem był... brak szczególności.

Niewyrzistość okazała się, paradoksalnie, najbardziej wyrazistą cechą lubuskiego regionu, który od samego początku stanowił przestrzeń słabo określoną: niestabilną, płynną, o ruchomych granicach⁹. Tak było w historycznych czasach, gdy Ziemia Lubuska jako *res nullius*, obejmowała tereny nienależące ani do Śląska, ani do Brandenburgii, ani do Wielkopolski, ani do Pomorza Zachodniego, usytuowane na styku tych prowincji. Tak stało się również po zakończeniu wojennych działań i w nowych granicach, kiedy tereny te miały już swego gospodarza: kolejne zmiany związane z ustanowieniem województw, decyzje administracyjne kilkakrotnie modyfikowały kształt lubuskiego regionu.

Owa nieokreśloność zdeterminowała także życie literackie. Przed wojną obszar dzisiejszego województwa lubuskiego zdominowany był przez przyległe obszary i przez sąsiedztwo wielkich miast (Wrocławia, Poznania, Berlina, Szczecina), i być może dlatego w dziejach literatury nie miał większego znaczenia. Tak jest i dzisiaj – na mapie powojennej literatury pisarstwo lubuskie stanowi białą plamę. Andrzej K. Waśkiewicz, badacz i krytyk, który poświęcił wiele uwagi twórczości regionu, spoglądając retrospektywnie na życie literackie Ziemi Lubuskiej charakteryzuje je w takim właśnie fatalistycznym duchu:

Nie było to nigdy środowisko duże. Nigdy też nie posiadało w swym składzie reprezentantów wszystkich gatunków literackich, a także autorów mogących spełniać różnorakie środowiskowe funkcje – od autorytetów (obojętnie jakich opcji) po dyżurnych wrogów ludu. Nie uformowały się tu żadne szkoły literackie, promieniujące

na sąsiednie ośrodki. Krytycy, jeśli byli, to funkcjonowali samotnie, bez większego na miejscu, rezonansu. [...] Moc przyciągania ten ośrodek też miał raczej niewielką¹⁰.

Tak sytuacja ta zarysowuje się na progu XXI wieku. Powróćmy jednak do pierwszej powojennej dekady. Dla przybywających tu w drugiej połowie lat 40. i w latach 50. region ten stanowił przestrzeń kulturowo dziewiczą, był niczym *tabula rasa* przygotowana do zapisywania. Po wojnie zaczęto więc intensywnie pokrywać ową „kartę” znakami, które miały budować kształt nowej tożsamości spajającej zespół nieprzystających, różnych elementów. Paralelnie do procesów integracyjnych odbywało się kulturowe „oswajanie”, które później zyskało miano „lubuskiego eksperymentu”¹¹, a które z dzisiejszej perspektywy nazwać można

„kolonizacją” Ziemi Lubuskiej,

dokonywaną w podwójnym: historycznym (wymiar głębi) oraz aktualnym (wymiar powierzchni) planie. Elementem, który okazał się podstawowy dla budowanej na tych ziemiach tożsamości i który posłużył do legitymizacji Ziemi Lubuskiej jako „odzyskanej”, była jej przynależność do państwa polskiego do połowy XIII wieku. W nawiązaniu do tego okresu konstruowano mit założycielski, oparty na idei Polski Piastowskiej, wzorowany na micie wschodnim Polski Jagiellonów. Ów mit tworzyć miał nową historyczną mitologię – Kresów Zachodnich i uprawomocnić obecność Polaków na terenach, które po wielowiekowym oderwaniu wróciły do macierzy. Jego powstawanie odpowiadało zatem na ściśle określone polityczne wezwanie, ale nie można zapominać, że uwarun-

9 Por. na ten temat m.in. J. Łukasiewicz *O życiu literackim na ziemi lubuskiej i niektórych perspektywach badawczych*, „Pro Libris” 2001, nr 1, s. 14-15; S. Kufel, *Lubuska tożsamość*, „Pro Libris”, dz. cyt., s. 8.

10 A. K. Waśkiewicz, *Cztery dekady literatury lubuskiej – z perspektywy po trosze osobistej*, [w:] *Cztery dekady. 40-lecie Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze (13 X 1961 – 13 X 2001)*, Zielona Góra 2002, s. 42.

11 Na temat tego „znanego w całym kraju” eksperymentu, owocującego modelem lubuskim życia kulturalnego pisze Zygmunt Dulczewski *Tworzenie się nowych społeczności regionalnych na Ziemiach Zachodnich*, [w:] *Mój dom nad Odrą. Problem autochtonizacji*, Poznań 2001, s. 140).

kowe też było innymi czynnikami: przede wszystkim psychiczną i społeczną potrzebą przybywających na te ziemie osadników. Tak w książce zatytułowanej *Mitologia Kresów Zachodnich* pisze o tym Halina Tumolska:

Na terenach historycznych ziem polskich, uzyskanych po wojnie, miała powstać nowa kwitnąca cywilizacja budowana rękami Polaków, zadająca kłam szowinistycznym teoriom uczonych niemieckich o niezdolności narodu polskiego do tworzenia własnej kultury i sprawnego państwa. Nowy mit, nierzadko wbrew woli tych, którzy mieli go współtworzyć (publicystom, uczonym, literatom, reżyserom filmowym, twórcom kultury masowej), w określony sposób upolityczniony, a granicę na Odrze i Nysie wpisano w oficjalną doktrynę ustrojową państwa i podniesiono do rangi racji stanu. Powołane zostało specjalne Ministerstwo Ziem Zachodnich i inne formy instytucjonalnie służące organizacji życia na nowo przyłączonych ziem Zachodnich i Północnych, Zachodnia Agencja Wydawnicza itp. Zaczęto wydawać specjalne pisma promujące tematykę ziem odzyskanych. Nowa mitologia stała się potrzebna, zarówno władzy, jak i zwykłym Polakom [...] ¹².

Jak twórczość lubuska włączyła się w tworzenie tego mitu? Kierunek wskazały prace historyków, dając historyczne podwaliny lubuskiej tożsamości. Największe zasługi miał w tym zakresie poznański Instytut Zachodni, ale podobne ujęcia ukazywały się także na gruncie lubuskim, by wspomnieć choćby *Z dziejów polskości na Ziemi Lubuskiej* – pracę opublikowaną w roku 1966 m.in. pod red. Tadeusza Kajana. Owe publikacje, z założenia tendencyjne, często stawały się ilustracją politycznych haseł, tak np. *Ziemia Lubuska wolna* – ogłaszała inna książka Kajana. Po nich przyszły beletryzowane dzieje. Wiesław Sauter pisał o walkach o polskość

Babimojszczyzny (*Z walk o polskość Babimojszczyzny*) i o powrocie na ziemie piastowskie (*Powrót na piastowskie ziemie*). Tadeusz Jasiński opowiadał o dziejach Ziemi Lubuskiej w książkach *Dymy wyższe nad dęby* oraz *Mieczem i krzyżem*. W tym nurcie mieściły się też beletryzowane biografie Polaków, historycznie związanych z terenem Zielonej Góry, jak np. *Taddeo Polacco z Zielonej Góry* Janusza Koniusza. Pierwsze były jednak opublikowane w roku 1954 *Kartki z Ziemi Lubuskiej* Eugeniusza Paukszty, zawierające treści na poły historyczne, na poły baśniowe. One też, można przypuszczać, odegrały rolę wzorca literackiego, z którego czerpali późniejsi autorzy. Funkcję instruktażową z powodzeniem mogło pełnić także słowo wprowadzające do tej książki, dobrze obrazujące nastawienie charakterystyczne dla piszących w tamtym okresie autorów. Oto fragment:

Powracający na ziemię ojczystą repatrianci mało wiedzieli o tych uporczywych zmaganiach rodaków z Nadodrza, o bronionej tradycji, o przywódcach, których losy zawarto w pieśniach ludowych. Niełatwo było uchować język polski, ustrzec słowiańskie obyczaje, wytrzymać nacisk nienawiści i pogardy. Wielowiekowy trud chłopca i robotnika był niezauważony. Zapomniano o postaciach, które stały się tutaj symbolem wierności i męznego trwania. Więc słusznie dziś o wydobywie tej chlubnej przeszłości dopominają się rodzimacy ¹³.

„Rodzimacy”, jak nazwani zostali napływowi mieszkańcy regionu, otrzymywali zatem lubuskie „kartki”, niebezpiecznie nasuwające analogię ze stronami uczniowskiego zeszytu, były to bowiem wypisy z historii, barwnie podane dzieje, pisane tyleż ze społecznej (psychicznej, lokalnej) potrzeby, co na polityczne, uzasadnione „momentem historycznym” wezwanie. Na Ziemi Lubuskiej

12 H. Tumolska, *Wstęp*, [do:] *Mitologia Kresów Zachodnich w pamiętnikarstwie i beletrystyce polskiej (1945-2000). Szkice do dziejów kultury pogranicza*, Toruń 2007, s. 11-12.

13 W. Zukrowski, *Przedmowa*, [do:] E. Pauksta, *Kartki z Ziemi Lubuskiej*, Warszawa 1954, s. 6.

powstało kilka takich książek, utrzymanych w konwencji powieści historycznej i opowiadania historycznego (i biograficznego) albo też – baśni, podania, legendy. Dużą popularnością cieszyły się, i cieszą nadal, te ostatnie. Literatura lubuska liczy dziś ponad kilkanaście publikacji, kwalifikowanych tymi określeniami. Poprzestańmy na wskazaniu kilku najbardziej znanych tytułów: *Złota dzida Bolesława, Królewska pieczęć. Z baśni i podań Nadodrza, W Babimoście na moście. Z legend i baśni Środkowego Nadodrza, Żelazny diabeł oraz inne podania i baśnie lubuskie, O skarbach w bytomskim zamku oraz inne podania i baśnie lubuskie, O zbójcach, kacie i strasznych mieszczanach. Z baśni i podań Środkowego Nadodrza*.

Ale twórcy „lubuskiego mitu” bazowali nie tylko na treściach, które miały historyczne udokumentowanie. Produktywny w ramach budowanej *ex nihilo* swojskości był również wątek, odwołujący się do istniejących opowieści, tych np. które mówiły o momencie stworzenia. „Wydaje się, że ziemi tej bardzo blisko do czasów, kiedy powstawał świat; znaczy bliżej jej tam niż innym ziemiom [...]”¹⁴ – pisał o Ziemi Lubuskiej Zygmunt Trziszka, a jego narracja wpisywała się w topos, znany dobrze choćby z poematu Hezjoda. W *Narodzinach Bogów* czytamy: „[...] najpierw powstał Chaos, a zasię po nim / Ziemia o piersi szerokiej, wszystkim bezpieczna siedziba”¹⁵. I ów pierwotny chaos, owo miejsce, jawiące się, wedle określenia Andrzeja K. Waśkiewicza jako „obce i wrogie”¹⁶ przemieniało się – pod piórem lokalnych pisarzy – w obszar przyjazny i objawiał jako Matka Ziemia przygarniająca przybyszów wracających na „ojczyzny łono”.

W funkcji adaptacyjnej równie nośne były greckie mity, m.in. historia Argonautów oraz Odyseja. W ramach homeryckiego wątku eksplo-

towano zwłaszcza motyw powrotu do Itaki. Cytowane wyżej słowa Trziszki pochodzą z książki zatytułowanej właśnie *Podróże do mojej Itaki*, a kilka zdań dalej jej autor wyznaje:

W tym, co wyszło spod mojego pióra jest zawsze próba odysei i odwołania do Itaki Noteckiej, bo tylko tam widzę stały ład. Dzisiejsze podróże do Gorzowa i pod Gorzów, wypadu do Zielonej Góry i do zachodnio-kresowego Lubuska nad Nysą prawie, gdzie teraz mieszka matka i rodzeństwo, to dla mnie cała celebra, symbol powrotu do p r a w d z i w e j I t a k i [podkr. M.M.]¹⁷.

To tylko jeden z przykładów, ukazujących, jak kształtowała się lubuska mitologia. Literacki „ruch w głąb” odkrywał wielowiekowe historyczne pokłady i dawał podwaliny dla regionalnej, w założeniu autorów rdzennie polskiej, tożsamości. Był także sięganiem w obszary pamięci archetypowej, utrwalonej w najstarszych opowieściach – dzięki niej powstawała tyleż odwieczna, co nowa lubuska genezis.

Obok zakorzenienia w historii istotna była realizowana *hic et nunc*

adaptacja i oswajanie miejsca,

które pierwotnie jawiło się jako „obce i wrogie”¹⁸. Dla powracających do Itaki osadników rolę legitymacji – matrycy pieczętującej stanowiła grupa przymiotników: „lubuski”, „lubuska”, „lubuskie”. Posługiwanie się nimi było elementem socjotechniki zmierzającej do konsolidacji nowego regionu. Owej konsolidacji służyła także literatura sygnowana regionalnymi nazwami, czego najlepszym przykładem są „lubuskie” (w nagłówku albo

14 Z. Trziszka, *Podróże do mojej Itaki*, Warszawa 1980, s. 7.

15 Por. Hezjod, *Narodziny Bogów (Teogonia)*. *Prace i dni*. Tarcza, przeł. J. Łanowski, Warszawa 1999, s. 36.

16 A. K. Waśkiewicz, *Cztery dekady literatury lubuskiej...*, s. 27.

17 Z. Trziszka, s. 9. W kolejnym szkicu zawartym w tej książce autor rozwija mit o zdobywcach złotego runa (*Tryptyk lubuski*, [w:] *Podróże...*, s. 19-20).

18 A. K. Waśkiewicz, *Cztery dekady literatury lubuskiej...*, s. 27.

w podtytule) antologii, powstające tu w skali nieporównywalnej do żadnego innego regionu.

Inna grupa określeń zaangażowana w tworzenie lokalnej społeczności eksploatowała geografię rzek – wodny krwioobieg organizującego się na Ziemi Lubuskiej lokalnego życia. Warto pamiętać, że po roku 1975, właśnie rzeczna nazwa, Środkowe Nadodrze, pretendowała do nazwy całego regionu. Dziś „lubuskie” i „nadodrzańskie” w funkcji patronimicznej egzystują wymiennie; tych drugich jest tak wiele, że trudno byłoby przywołać wszystkie nazwy odnoszące się do rzek tego regionu. Poprzestańmy na wskazaniu przykładów, związanych z ważną nie tylko strategicznie Odrą, do niej m.in. nawiązywały regionalne pisma, przede wszystkim „Nadodrze”, ale też „Nowe Nadodrze”, „Komunikaty Nadodrzańskie”, „Nad Odrą”, a o żywotności tego rzecznego nurtu świadczą dwa opublikowane niedawno tomiki: *Odrą pisane* Zdzisława Morawskiego (2005), *Odrzańskie* Mieczysława Warszawskiego. Na czym poległ ów „rzeczny fenomen”? Uzasadniając jego atrakcyjność, należałoby pewnie zacząć od jońskich filozofów przyrody, od Talesa z Miletu, zdaniem którego woda jest źródłem życia, z niej powstały wszystkie inne żywioły. W tym wypadku jednak decydujący okazał się proces zadamowienia w dorzeczu – w nawiązaniu do archetypowo utrwalonej topiki domu, czego przykładem może być zbiór opowiadań Trziszki zatytułowany *Dom nadodrzański*. W procesie adaptacji najważniejszą rolę odegrał jednak cykl wspomnieniowych pamiętników ukazujących się pod egidą Lubuskiego Towarzystwa Kulturalnego, zebranych pod wspólnym tytułem *Mój dom nad Odrą*. „Osadnicze pamiętnikarstwo”, propagowane przez poznański Instytut Zachodni, stworzyło wyjątkowo bogatą literacką dokumentację dotyczącą lat powojennych na Ziemiach Zachodnich, przy czym należy podkreślić, że LTK wydało pamiętnikarstwo niepowtarzalne w skali żadnego innego regionu, liczące bowiem aż siedem sygnowanych tym samym tytułem tomów.

Budowanie „domu nad Odrą”

trwało do późnych lat osiemdziesiątych. W roku 1988 ukazuje się siódmy, ostatni tom tak zatytułowanych wspomnień. Dwa lat później przestaje wychodzić „Nadodrze”, które po przemianach październikowych współtworzyło scharakteryzowany pokrótce model literatury, a już w roku kolejnym zaczęto wydawać miesięcznik „Nad Odrą”, propagujący zgoła odmienną wizję lubuskiej kultury. Ta wymiana tytułów lubuskich czasopism symbolicznie obrazować może przemianę regionalnie profilowanych treści. Decydujące były czynniki *stricte* polityczne, ale nie tylko. Zmieniła się bowiem sytuacja mieszkańców regionu, zmienił status niegdyśiejszych „idących na Zachód osadników”. Teraz o kształcie regionu decydować mieli już nie przybysze, ale urodzeni na Ziemi Lubuskiej „tuziemcy”.

W latach 70. do głosu dochodzi pokolenie pisarzy urodzonych w nadodrzańskim domu. Dla autorów debiutujących w tym czasie słowo „region” posiada desygnat tradycyjny: oznacza miejsce, w którym przyszli na świat, szkołę, w której się uczyli, park czy las będący miejscem ich pierwszych spacerów, wreszcie cmentarz, na którym są groby najbliższych. Twórczość literacka tego pokolenia siłą rzeczy mocniej (rdzennie) wiąże się z regionem, będącym prawdziwie rodzinną ojczyzną. A jednak dla lubuskiej literatury przełomowy był dopiero rok 1989. Zachodzące wówczas przemiany wpisywały się w transformację polityczną, choć ich katalizatorem były nie tylko sprawy polityki. Jednym z sygnałów, wyznaczających punkt zwrotny lubuskiej literatury i regionalizmu lubuskiego (wyraz tendencji już wcześniej dochodzącej do głosu w polskiej literaturze), było zainteresowanie przedwojenną historią polsko-niemieckiego pogranicza. Przywracanie pamięci o niemieckich noblistach, żyjących niegdyś na lubuskich terenach, badania nad winiarską tradycją Zielonej Góry, odkrywanie tradycji w dziedzinie gospodarczej oraz przemysłowej – przykłady docenienia niemieckiej kultury, które wymienia Czesław Osękowski¹⁹, znajdują

19 Por. Cz. Osękowski, *Regionalna tradycja na pograniczu polsko-niemieckim*, „Pro Libris” 2002, nr 1, s. 10.

odpowiednik na gruncie literatury, np. w tomiku *Ocalone w słowie* Janusza Werstlera. Wydana w roku 2002 książka *Dawno temu nad Odrą* nie opowiada już piastowskich dziejów, ale... bajki dla dzieci z Frankfurtu nad Odrą i Słubic. Po roku 1989 do głosu dochodzi też „nowa” pamięć wcześniejszych generacji czy raczej, należałoby rzec, pamięć dotąd zamrożona. W ramach prywatnych „przeciw-historii” dokonują się powroty do „miejsc utraconych”, do ojczyzn dzieciństwa pozostawionych przede wszystkim na Kresach Wschodnich. Dzięki temu lubuski regionalizm zostaje wzbogacony – o przedwojenny regionalizm niemiecki oraz wschodni.

Scharakteryzowane zjawiska zapoczątkowują nowy intensywny rozwój idei regionalnej i nowy okres w dziejach lubuskiej literatury. Szczegółową charakterystykę tych zjawisk przedstawiam w innym miejscu²⁰, tu proponuję przyjrzeć się twórczości lubuskiej pod kątem zagadnień, które zakreśla

topografia tropów.

„Tropów”, gdyż w proponowanym ujęciu hasłem wywoławczym regionalnych treści będą metafora, metonimia, synekdocha oraz (traktowane łącznie) litota i hiperbola; „topografia”, bowiem tropy te dotyczą miejsca ujmowanego w perspektywie regionu i indeksują cztery aspekty miejsca, dochodzące do głosu w twórczości lubuskich autorów. W literackiej praktyce owe aspekty są z sobą ściśle powiązane, a wyodrębniam je dla potrzeb badawczej charakterystyki – każdy z nich stać się może punktem wyjścia do badania literatury lubuskiego regionu. Oto skrótowe charakterystyki:

(1) Metafora. Ten aspekt dotyczy obrazowania i ewokowania przestrzeni regionalnej za pomocą metafor, alegorii, symboli. Zacząć trzeba od metaforyzacji, dokonującej się w ramach tworzenia lubuskiej mitologii oraz centralnego dla niej – mitu założycielskiego. Jak literatura lubuska kreuje retrospektywny mit? Jak funkcjonuje w niej

wzorzec Polski Piastowskiej, a także wywiedzione stąd opowieści: baśnie, legendy, podania? W tej perspektywie mieści się również adaptacja powszechnie znanych opowieści i mitów, oraz transponowanie na obszar lubuskiego literackiego terytorium motywów i toposów dotyczących przestrzeni. Wśród tych ostatnich centralny byłby topos Arkadii oraz związane z nim metaforyczne idealizacje przestrzeni, a także – jako ich dopełnienie – ujęcia, w których terytorium jawi się jako obce i wrogie. Krąg metaforycznych figuracji wymagałby ponadto zbadania specyfiki (o ile taka istnieje) regionalnego obrazowania przestrzeni, określenia jego funkcji w powiązaniu z analogicznymi, występującymi w literaturze wyobrażeniami.

(2) Metonimia. Ujęcie regionalizacji w aspekcie metonimii częściowo mieści się w obszarze wyżej omówionym, akcentuje jednak inny wymiar literackiego przedstawiania miejsca – dotyczy tych sposobów obrazowania, w których przestrzeń pojawia się jako metonimiczny ekwiwalent regionu. Wskażmy na przykładzie: O ile w charakteryzowanym wcześniej aspekcie Ziemia Lubuska funkcjonować może jako Matka Ziemia (alegoryczna personifikacja regionu), o tyle tu ważniejsze są jej topograficzne wyróżniki. Ten krąg zagadnień obejmowałby literackie ujęcia lubuskich krajobrazów (ich funkcje i rodzaje) i sposoby ukazywania miejsc znaczących na mapie regionu (w tym również sposoby ukazywania miejsc nowych, nieznanych). „Lubuskość” jako metonimiczna jakość miejsca byłaby tyleż jego elementem konstytutywnym, co akcydentalnym, związanym z obecnością bądź brakiem przestrzennej specyfiki. Jak lubuska literatura absorbuje przestrzenne wyobrażenia, jakie realizacje przyjmują ich lokalne odpowiedniki? Jakie matryce identyfikacyjne uczestniczą w prezentacji lubuskiego regionu? Oto niektóre z pytań, na które – pozostając w tym kręgu – szukać by można odpowiedzi.

20 W artykule *Tropy topografii...*

(3) Synekdocha. Odmienne spektrum badawcze wyznacza synekdocha. W jej obrębie sytuują się relacje zogniskowane wokół dychotomii przynależności (inkluzyj) i odrębności (opozycji), w tym relacja podstawowa: literatura ogólnopolska – literatura regionu, ujmowana jako *pars pro toto* ogólnokrajowej, ale też jako reprezentacja negatywna, akcentująca kulturową niezależność (np. kreowanie prywatnych ojczyzn jako wyraz tendencji separatystycznych). Tu mieściłoby się przeciwstawienie małej historii (jej ludzkich wartości) anonimowym, wyobcowanym prawom oficjalnych dziejów. W ramach tych relacji uwzględnić by należało także udział regionu w wielogłosie europejskiej kultury, w tym – w regionalizmie kreowanym, mającym tu charakter wtórny, adaptowany (wzbogacony o element wspomnieniowy) i wziąć pod uwagę „przeciw-historie” lubuskich pisarzy, kształtujące się w opozycji do narzuconej oficjalnej wersji regionalnej kultury. W tle tych zagadnień pozostawałaby Ziemia Lubuska ujmowana poprzez konfrontację negatywną (miejsce wygnania, przymusowego pobytu, pustki) bądź pozytywną (azyl, duchowe centrum) z większą lub z inną przestrzenią. Odmienny w tym aspekcie zestaw pytań dotyczy kwestii, na ile twórczość regionalna stanowi odzwierciedlenie istniejących literackich haseł, programów, idei, a na ile kulturowana jest peryferyjna odrębność regionu. Tu opisać by należało sferę postulowanych literackich założeń regionu, ich stosunek do centrum, poddawanie się/bądź nie wpływowi kulturowych „centrali”.

(4) Litota i hiperbola. Obie figury wiążą się z regionalną postawą autora, z jego relacją wobec idei regionu. Z jednej strony stosunek ów określa hiperbola i ideologia lokalizmu, streszczająca się w hasło „pochwały prowincji”, z drugiej – litota, sytuująca region na drugim biegunie i będąca figurą lokalnych kompleksów. W obu wypadkach punktem wyjścia jest ujawniany w literaturze status pisarza jako mieszkańca prowincji, przy czym

zabiegi hiperbolizacji wyrastają z potrzeby dowartościowania, docenienia regionalnych kwestii (tu pod uwagę należałoby wziąć samoświadomość przynależności do danego obszaru, ujmowanego w kategoriach „małej ojczyzny”, identyfikację z krajem ojców, umiławianie tego, co swojskie i różne formy „patriotyzmu lokalnego”). Z litotą natomiast związane byłyby wszystkie te zabiegi, w ramach których dokonuje się deprecjonowanie, umniejszanie znaczenia regionu postrzeganego w kategoriach zaścianka i negatywnie wartościowanej peryferii.

Oto zarys wybranych problemów, które dochodzą do głosu na kartach regionalnej literatury i które mogą być wprowadzeniem do głębszych analiz, syntez, ujęć przekrojowych, poświęconych

twórczości lubuskiej.

W określeniu, które otwiera ten szkic, skrywa się największa słabość i siła tej literatury. „Słabość”, bowiem cokolwiek byśmy o niej powiedzieli, epitet regionalny jest dlań najbardziej charakterystycznym wyróżnikiem. I w tym paradoksalnie tkwi siła powstających tu utworów (jej symptodem jest choćby literacka produktywność określeń regionu), w wypadku pisarzy lubuskich ani tradycja, ani historia nie mają bowiem mocy scalającej. Nic oprócz miejsca nie połączyło tu-tejszych autorów. I dlatego miejscu przypisać trzeba moc szczególną.

Zarysowana wyżej „topografia tropów” ustala jedynie punkty orientacyjne w badaniach nad regionalizmem, który wymaga szerszego i głębszego spojrzenia. Takiego ujęcia skorelowanego z przeobrażeniami idei regionu domaga się także historia literatury lubuskiej, na mapie literaturoznawczej funkcjonująca ciągle jako „biała plama”. „Biała” pozornie: w tyglu tradycji, czerpanych z dziejów piastowskich, niemieckich oraz powojennych polskich, w splocie różnych pamięci – objawia się przecież niczym barwny i wielogłosowy palimpsest.



Andrzej Bembenek

Urodzony w 1973 w Lubaczowie. 1994-1999 studia: Wydział Pedagogiczny, kierunek wychowanie plastyczne, WSP, Zielona Góra. 2002-2005 studia; Wydział Artystyczny UZ, kierunek malarstwo. Od 2004 członek ZPAP i TPSW w Zielonej Górze. 2007-2008 asystent na Wydziale Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej w pracowni rysunku prof. Elżbiety Kalinowskiej-Motkowicz. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Wystawy indywidualne: 1998 – Spermistywy, Galeria Na Strychu, Zielona Góra; 1998 – Rysunek, Galeria Cafe Bumerang, Zielona Góra; 1999 – Dyplom, Galeria BWA, Zielona Góra; 2001 – Drogi, Galeria Na Balkonie, Zielona Góra; 2004 – Obrazy, Galeria Stara Winiarnia, Zielona Góra; 2005 – Kondensacje, Instytut Sztuk Pięknych, Zielona Góra; 2010 – Malarstwo, BWA, Zielona Góra.

Wybrane wystawy zbiorowe: 1998 – Książka jako obiekt artystyczny, Instytut Sztuki i Kultury Plastycznej, Zielona Góra; 1999 – I Biennale Grafiki Studenckiej, Galeria Arsenał, Poznań; Galeria Sztuki, Toruń; BWA, Łódź; Galeria BWA, Gorzów Wlkp.; Galeria BWA, Przemyśl; Bunkier Sztuki, Kraków; 1999 – Dyplomy 99, Galeria BWA, Zielona Góra; 2001 – Obrazy małe i duże, Galeria Polony, Poznań; Obrazy małe i duże, Galeria PWW, Zielona Góra; I Ogólnopolskie Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej, Gdańsk, Sopot, Gdynia; Mój pejzaż – V Ogólnopolski Konkurs Malarski, Galeria C, Ciechanów; 2002 – Salon Jesienny, Galeria BWA, Gorzów Wlkp.; Duch, dusza Wrocławia, Galeria BWA, Wrocław; 2003 – Wystawa dla podróżnych, Dworzec PKP, Zielona Góra; II Ogólnopolskie Biennale Malarstwa i Tkaniny Unikatowej, Gdańsk, Sopot, Gdynia; Pokolenie, Galeria ProArte, Zielona Góra; Pokolenie, Galeria Młodych Gazety Antykwarycznej, Kraków; Gallery Dymlingen – Jonkoping, Szwecja; Grand Prix Młodej Grafiki Polskie, Bunkier Sztuki, Kraków (finalista); 2004 – IconData – Młoda Grafika Polska, SMTG Kraków; Cytaty ze Sztuki, Trafgalery, Łągow Lubuski; 2005 finalista konkursu Fundacji im. Franciszki Eibisch, CFP Warszawa; Salon Jesienny, BWA Zielona Góra; zaproszenie do V Edycji Polish Print „Directory of Print 2005” przy SMTG w Krakowie. Prezentacja prac na nośniku CD w około 500 galeriach na całym świecie; 2006 – Polskie Orły 2005, Młoda Grafika Polska, Korea Foundation Cultural Centre Joong Ang Ilbo Building, Seul; Imiennie zaproszony na Icon Data 2006 – Grafika Polska, SMTG Kraków; Międzynarodowe Triennale Grafiki – Kraków; 2007 – Malarstwo, Galeria Stara Prochownia – Warszawa; Kolekcja Starej Winiarni, Galeria Arsenał, Poznań; Galeria Wieża Ciśnień, Konin; Polskie Orły, Pekin; Nowa figuracja – komentarz rzeczywistości, Pekin; Instytut Komunikacji Graficznej; Polskie Orły – Pekin 2007 Granice nierzeczywistości. Galeria Jin Tai, Pekin; 2008 – imiennie zaproszony do udziału w międzynarodowym projekcie ICON DATA; Grafika Polska, SMTG Kraków; 2009 – zaproszenie do II etapu Międzynarodowego Biennale Grafiki Kraków 2009; 2010 – imiennie zaproszenie do udziału w międzynarodowym projekcie ICON DATA 2010 – Grafika Polska, SMTG Kraków.



Martwe morze, olej, płótno, papa, 200x150, 2007



Śpiące ryby, olej, płótno, papa, 200x160, 2007



Malarstwo, Andrzej Bembenek, Galeria BWA Zielona Góra, 2010



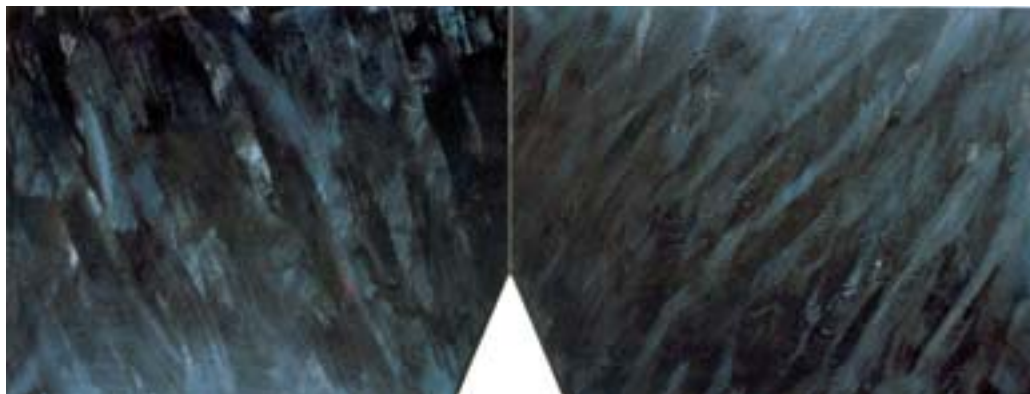
Pejzaż błękitny II, olej, płótno, 200x160, 2009



Malarstwo, Andrzej Bembenek, Galeria BWA Zielona Góra, 2010



Pejzaż II, olej, 200x150, 2009



Droga, olej, płótno, 240x100, 2007



Nocna droga, olej, płótno, 200x200, 2007

Wyobraź sobie...

Wyobraź sobie białą, czystą przestrzeń, wprowadzającą raczej rodzaj spokoju niż zadumy. Biel wygaszona, czekająca na to, co na niej się wydarzy. Wyobraź sobie, że ktoś ponadludzkich rozmiarów trzyma pędzel lub innego rodzaju narzędzie i zostawia ślad, nie na ścianie, ale na podstawionym ukradkiem prostokacie płótna.

Dla Andrzeja Bembenka malowanie to ciągłe poszukiwanie miejsca dla pozostawienia po sobie śladu, to określanie obszaru umożliwiającego postawienie pytania wynikającego z samego stosunku do rzeczywistości, która to nieustannie się zmienia, tworząc nową perspektywę widzenia. Świat stanowi dla niego sieć informacyjną, która nieustannie ewoluuje, nie jest dla niego czymś niezmiennym, jest w ciągłym ruchu, i właśnie ten ruch, tę zmienność Bembenek próbuje uchwycić, zatrzymać, przeanalizować. Jest „poszukiwaczem” własnych środków wyrazu i ich kontekstów interpretacyjnych. Obraz dla niego różni się od przedmiotu, należy do świata wyobraźniowego i uczestniczy w różnych formach aktywności umysłu, jest nośnikiem informacji o świecie, naturze i o nim samym.

Bembenek żyje w rzeczywistości, która go otacza, chociaż ze względu na siebie właściwy krytyczny sposób jej widzenia niekoniecznie ją akceptuje i daje temu wyraz w swoich kompozycjach malarskich, a przeczuwanie jest dla niego najbardziej pociągające. Z jednej strony musi w niej żyć, a z drugiej – czerpać inspiracje do tworzenia,

niezależnie od tego, czy rzeczywistość jest wokół, czy w nim samym. To rozdarcie czyni jego działanie, a czasem sposób patrzenia, graniczącym z mentalną destrukcją, negacją wszystkiego. Patrząc na te obrazy, ma się wrażenie, iż dokonały się przed chwilą i przez chwilę, ale sposób dochodzenia miał długotrwały przebieg, „malowane są krótkimi sesjami”. Raczej bez szkieletów, aby w „najbardziej skondensowany, a jednocześnie naturalny sposób oddać w obrazie nagromadzone emocje i wrażenia. Po to, by to doświadczenie było jak najbardziej *dziewicze*, szczere, naładowane energią”.

Malowanie obrazu Andrzej może rozpocząć od najprostszej inspiracji, która jest fragmentem dostrzeżonej rzeczywistości; „inspiracją jest codzienne doświadczenie, poszukiwanie miejsc i odczytywanie ich znaczeń na nowo” – mówi. Czasem jest to talerz, ściana, odrapany fragment muru, a czasem wręcz potrzebuje wkleić gotowy przedmiot do obrazu. Skupiona teraźniejszość i ukryta energia przyszłości. Jego wola, siła i chęć działania kreacyjnego, dają początek uzewnętrznieniu się jego przeżyć i przemyśleń. Poszukiwanie nowości dawno już przestało być dla niego najważniejszym elementem, kwestia pierwszeństwa jest mało istotna, każdy artysta jest w jakimś sensie ostatni lub pierwszy. Każdy artysta jest czymś dłużnikiem, skądś przychodzi... Andrzej od obrazu dowiaduje się kim jest, pragnie tego, co od życia – prawdy i miłości.

comploratio – oplakiwanie

I

Dzwoni telefon: ojciec nie żyje. Pilno mu było usłyszeć historię Szangri-La. Miasta pajaków zatrzymujących czas na swoich delikatnych krocach. Tak bladych jak jego gołe stopy, na których wybrał się w drogę. Wszystko tam jest zamknięte: *zawsząd góry, glazy, z nisko na nich wiszącym niebem*. Dużo wolnego czasu. Wolność wolno płynąca jak proces wietrzenia skał, a może

raczej gliny, bo teren pod miastem nieurodzajny. Jest nisko na dwa i pół metra. Bez codziennej gazety, choć na upartego można przynosić świeże wieści. Ktoś przecież postawił pozytywkę. W końcu bateria się wyczerpie i będzie spokój, a z nim niechętne starzenie, może nawet odpoczynek. Muszę tylko pamiętać: nie wolno wrywać chwastów. To idzie z korzeniami.

II

Przyjęło się, że worek jest czarny, a tobie wybrali jasny w odcieniu mleka z miodem. Właśnie takie lubiłeś koszule, jak ta na zdjęciu w dowodzie. Wolno mi go zatrzymać, bo górny prawy brzeg nacięty. Formalności bołą, ale w końcu są trąbki i organista. Wyjątkowo ładnie. Zupełnie nie tak jak w innych polskich miastach. Piętnaście minut i po sprawie. Zupełnie nie tak jak w innych zagranicznych miastach, choćby w *Eden Memorial Park* w Los Angeles, gdzie nieboszczykom przeszkadzają kosiarki. Normalnie.

Zimno jest czasem tak mocne, że nie sposób go opisać. Welinowy puder ma zakryć zmianę koloru, ale paznokcie zdradzają wszystko. Umarłeś.

exordium – wyjawienie przyczyny bólu

I

Zaczyna się dzień, w którym coś powinno się stać. Barometr w górnych rejestrach, a moje trzydzieści cztery jest inne niż twoje trzydzieści pięć, choć lata są sercem każdego kadłuba. Nie żyje Czesław, nie żyje Zbychu, Rysiek i nie żyje wielu, wielu innych. Szalonego Fredka nikt z nas dawno nie widział. Pewnie nie żyje. Jesteśmy materia, dlatego lepiej jest malować latem, gdy płaszczyzny są rozgrzane i farby też, a umierać zimą. *Kto kocha*

kobiety, Bóg jest w nim, więc na YouTube podglądam Bellucci. W moim scenariuszu spaceruje żaróżowiona w promieniach niewidzialnego jeszcze słońca. Pramatka i kochanka przyszłości. Nie wiem co ewentualnie wypada, lub czego nie wypada pisać, ale im wolniej rozstawia nogi, tym szybciej oddycham. Wysysam jej miękkość, jak pasożyt skorupę ślimaka. Kończy się dzień, w którym coś powinno się stać. Dzwoni telefon: ojciec nie żyje.

II

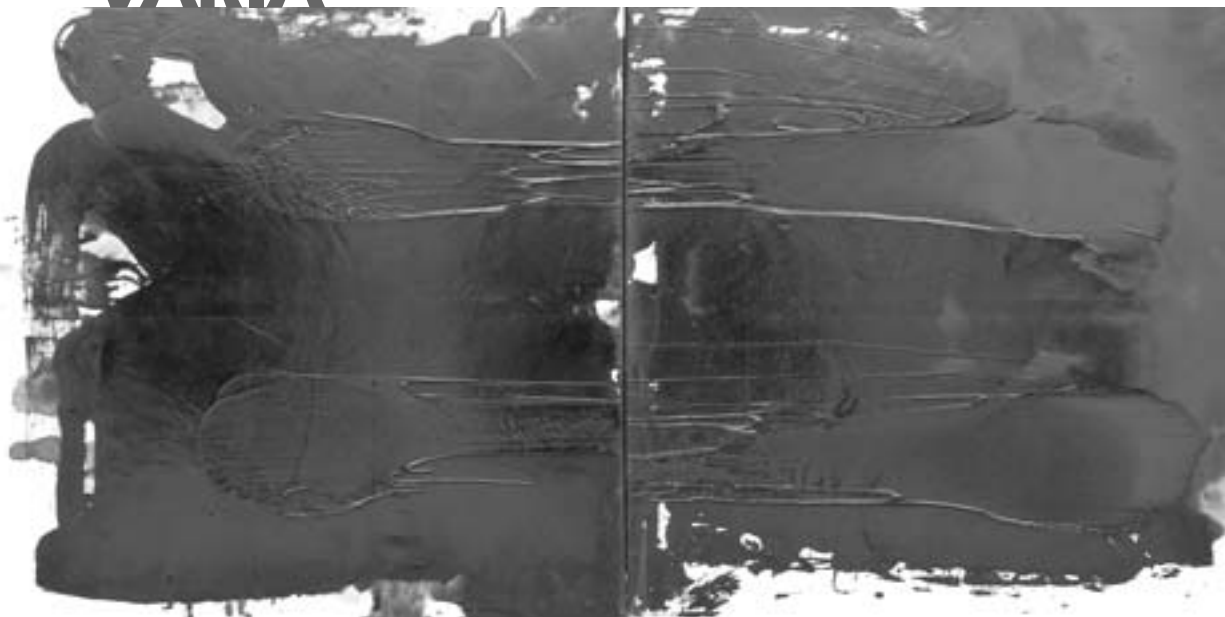
Zegar spada ze ściany. *Oby tylko nikt nie umarł* – mówi najbliższa z rodziny o dwudziestej pierwszej z minutami. Wszystko wraca na swoje miejsce, tylko niepobita szybka zastanawia. Dzwonek w telefonie tym razem jest niepokojący. Zaraz potem krzyk, pogotowie, taksówka. Przekładają ciebie z linoleum na łóżko. Przykrywam kocem, choć mówią, że to bez sensu, ale światła nie pozwalają zgasić. *Później już zawsze będziesz leżał w ciemnym*.

Nie mam siły na świecę, przecież jesteś w swoim ulubionym podkoszulku. Najspokojniej z nas przyglądasz się zamieszaniu, a my nie wiemy dlaczego. Zgaszony telewizor, odłożone okulary i ślady walki z samym sobą. Zdaniem doktora przybliżony czas zgonu dwudziesta pierwsza z minutami. Czteryście kilometrów dalej niepobita szybka zastanawia. Nic jeszcze o tobie nie wiedzą. Zadzwoń rano. Niech śpią. I ja przecież jeszcze nie wiem o pożegnaniu.

III

Gdyby chociaż jakaś szpitalna epikryza. *Carcinoma solidum* zatwierdza pewien wyrok i można się wtedy przygotować, choć i tak wiadomo, że przygotować się nie da. Dobry obiad, jeszcze lepsza kawa i: Przypomnij mi, żebym jutro zadzwonił do Zosi. Przecież to zimna zośka, a potem

będzie już ciepło. Kraciasty koc – uparcie do tego wracam – przytula. Ja nie mam śmiałości. Przeczesałam jedynie włosy, jakbym już była pewna, że to i tak nie ma znaczenia. Nic innego nie mogę zrobić. Rano zanoszę wyprasowany garnitur, buty i różaniec, żebyś miał coś tylko ode mnie.



Andrzej Buck

Dzieje spektaklu istotnego (II)

Fabryczna 13. Głomb i Pilch na początek (w świetle prasy)

Fabryczną odkryła i zauważyła Maria Idzikowska, sytuując tam swoją Galerię ART. Przenieśli się tutaj z placu Pocztowego po wielu latach. Kilka lat temu swoje miejsce znalazł tam Jerzy Nowak, emigrując z centrum miasta, gdzie prowadził początkowo Cichą Kobietę (Westerplatte), a później Blues Express (Niepodległości). Teraz Stowarzyszenie Przyjaciół Piekarni Cicha Kobieta zaprasza m.in. na kolejne Wieczory Mistrzów.

Potem przyszedł czas na Lubuski Teatr i pomysł na spektakl w tym miejscu. Wszystko zaczęło się od przygody z Pilchem i Głombem, i spotkania z legendami polskiego teatru i polskiej literatury.

Jacek Głomb pracuje w legnickim teatrze. Dyrektor Teatru Modrzejewskiej w Legnicy, a zarazem jego główny reżyser, absolwent historii na UJ oraz Wydziału Reżyserii PWST w Krakowie. W jego dorobku znajdziemy zarówno inscenizacje klasyki polskiej i obcej, jak i spektakle oparte na współczesnych polskich tekstach, pisanych specjalnie dla legnickiej sceny; tak pełne scen batalistycznych wielkie widowiska plenerowe, jak i kameralne dramaty; tak Szekspirowskie kroniki historyczne, jak i wieczory z wierszem. Do ważniejszych wyreżyserowanych przez niego spektakli należą: *Pasja* wg Mieczysława Abramowicza (1995) wystawiona w zabytkowym legnickim Kościele Mariackim,

a następnie grana w świątyniach na terenie całego kraju; *Zły* wg Leopolda Tyrmanda (1996) wystawiony w poniemieckiej fabryce amunicji; *Don Kichot Uleczony* Krzysztofa Kopki (1997); *Koriolan* (wspólnie z Krzysztofem Kopką) wg Williama Szekspira (1998) zrealizowany na terenie byłych pruskich, a następnie radzieckich koszar wojskowych; *Ballada o Zakacławiu* Jacka Głomba, Krzysztofa Kopki i Macieja Kowalewskiego (2000) grana w nieczynnym kinie Kolejarcz; *Hamlet, książę Danii* (wspólnie z Krzysztofem Kopką) wg Williama Szekspira (2001) grany w zrujnowanej sali teatralnej; *Obywatel M. – historia* Macieja Kowalewskiego, sztuka inspirowana życiorysem byłego premiera Leszka Millera; *Wschody i Zachody Miasta* (2003) i *Szawel* (2004) Roberta Urbańskiego oraz *Otello* wg Williama Szekspira (2006). Jacek Głomb za swą działalność reżyserską był wielokrotnie nagradzany. Otrzymał nagrodę za reżyserię *Złego* na III Ogólnopolskim Konkursie na wystawienie polskiej sztuki współczesnej (1997). Zainscenizowany przezeń *Koriolan* został uznany przez Fundację Theatrum Gedanense za najlepszy spektakl szekspirowski w sezonie 1998/1999. *Ballada o Zakacławiu* wygrała VII Ogólnopolski Konkurs na wystawienie polskiej sztuki współczesnej, a za jej reżyserię Głomb uzyskał w 2002 roku najbardziej prestiżowe w Polsce wyróżnienie reżyserskie: Nagrodę im. Konrada Swinarskiego, przyznaną przez miesięcznik „Teatr”. Reżyserię *Otella* uhonorowano nagrodą na X Międzynarodowym Festiwalu Szekspirowskim w Gdańsku w 2006 roku. Trzy z przedstawień Głomba – *Pasja*, *Ballada o Zakacławiu* oraz *Wschody i Zachody Miasta* – zostały przeniesione do telewizji. W 2006 roku debiutował jako reżyser filmowy *Operacją Dunaj*. A w teatrze – spektaklem *Iwony Kusiak Zapach żużla*.

Obecność w Zielonej Górze. Bywał tu ze swoim teatrem wielokrotnie. Podczas kolejnych edycji Przeglądu Współczesnego Dramatu wystawił *Balladę o Zakacławiu*. Później Teatr im. H. Modrzejewskiej z Legnicy pokazał spektakle Przemysława Wojcieszka *Made in Poland*

i *Osobisty Jezus*. W ramach Festiwalu Off – Teatr natomiast pokazano sztukę Roberta Urbańskiego *Szawel* (reż. Jacek Głomb).

Zaczyn. Sam mówił o genezie współpracy:

„Gdy ojciec i pan Trąba postanowili zabić I sekretarza Władysława Gomułkę, panowały niepodzielnie upały, ziemia trzeszczała w szwach, rozpoczynała się udręka mojej młodości” – tak zaczyna się entuzjastycznie przyjęta przez krytykę powieść Mistrza Pierwszego Akapitu, Jerzego Pilcha pt. *Tysiąc spokojnych miast*. Rzecz dzieje się latem 1963 roku. Głównym, bohaterem powieści (i narratorem) jest nastoletni Jerzyk. Wkrótce o pomysle zabójstwa dowiaduje się miejscowy komendant milicji Jeremiasz, a w efekcie cała wspólnota ewangelicka (rzecz dzieje się na ziemi cieszyńskiej) poddaje ów pomysł publicznej dyspucie... W *Tysiącu spokojnych miast* autor (i narrator) po raz kolejny „wraca do domu”: do swojego ojca, dzieciństwa i lat młodości spędzonych na ziemi cieszyńskiej, która ciągle jest wyspą protestantyzmu w katolickiej Polsce. Poza wątkiem sensacyjnym jest to powieść o dojrzewaniu i o mękach dorastania. To także (jak to u Pilcha) powieść o picu i sensie życia w świecie, który jest obcy: być protestantem w Polsce – znaczy być innym, być dzieckiem – znaczy patrzeć na świat inaczej.

[...] Na pomysł zrobienia dramatu z powieści Pilcha wpadłem parę lat temu, miałem zgodę na adaptację, bo przed laty taki spektakl był w planach naszego teatru. Ale my robimy tak różne inne rzeczy, że... nie wyszło. Teraz wracam do tego pomysłu, bowiem dyrektor Teatru w Zielonej Górze Andrzej Buck poprosił mnie o współczesną opowieść. Dla mnie, tak jak dla Pilcha, to także będzie „podróż sentymalna”. W 1992 roku debiutowałem spektaklem o takiej „dziecięcej krainie” – nazywał się *Miasto*, był adaptacją wspomnieniowej powieści o Tarnowie Jana Bielatowicza. I teraz spektaklem *Zabijanie Gomułki* wracam w tamte, rodzinne rejony...

– objaśniał motywy swojego projektu reżyser i dyrektor legnickiego Teatru Modrzejewskiej, Jacek Głomb.

Zgoda Pilcha. Jerzy Pilch się zgodził. Robert Urbański wziął się za adaptację. Wówczas rozpoczęła się współpraca z drużyną Głomba: Robertem Urbańskim (dramaturg), Bartkiem Strabuzińskim (muzyka) i oczywiście Małgorzatą Bulandą (scenografia).

Inspiracje literackie. Zastanawiać się należy, co urzekło Głomba w niepozornej książce Pilcha *Tysiąc spokojnych miast*. To jego tajemnica. Ale niewątpliwie miał nosa. Pilch, dzięki tej inscenizacji, stał się teatralny.

Ból przestrzeni i opór zespołu. Katarzyna Borek w „Tygodniku Zielonogórskim” (12-13.05.2007) opisywała legendę Fabrycznej. Dyrektor (ówczesny) Lubuskiego Teatru relacjonował powstanie sceny:

Stworzyliśmy scenę przy Fabrycznej, bo już od czasu korzystania z tzw. starej winiarni wychodzimy poza budynek teatru. Po drugie – wraz z reżyserem *Zabijania Gomułki* Jackiem Głombem szukaliśmy przestrzeni, w której ten spektakl mógłby zaistnieć – klimat strychu. Jacek słysze z tego, że ma w Legnicy piękny teatr, ale bardzo mało na tej klasycznej, pudełkowej scenie gra. Wyremontowany magazyn na dziedzińcu teatru był za mały na te potrzeby. I nagle okazało się, że takie miejsce jest przy Fabrycznej. Było przedmiotem przetargu, ale na szczęście dla teatru i sztuki – nie został rozstrzygnięty. Zwróciliśmy się do Urzędu Miasta o zgodę na wynajęcie budynku. Był w opłakanym stanie, przez lata nieużytkowany czekał na pomysł. Zawiozłem tam reżysera i nawet on – który jest znany z tego, że ma najlepsze pozateatralne przestrzenie – stwierdził, że takiej to nie ma.

To miejsce niezwykle zagrało. Myślę, że po części i dzięki niemu przedstawienie znalazło się

w finale konkursu na wystawienie polskiej sztuki współczesnej oraz jest znakomicie odbierane przez widzów i krytyków. Nawet najwybitniejszy scenograf nie wymyśliłby takiego klimatu.

Na pewno będziemy tam grać do końca czerwca, a może i dłużej, jeżeli zgodzi się na to urząd. Chciałbym wystawiać tam przedstawienia wiosną, latem i jesienią. Do wykorzystania jest też piękny dziedziniec, który daje niezwykłą swobodę twórczą. Wiem, że wokół sceny buduje się przestrzeń gastronomiczno-artystyczną Marii Idzikowskiej i Jerzego Nowaka. Znamy się, lubimy i potrafimy współdziałać, co będzie z korzyścią także dla tej ulicy. Tak dzieje się w dużych ośrodkach miejskich, które adaptują budynki i nagle okazuje się, że one wpływają przyjaźnie na otoczenie. Bo zdarzenia, jak przedstawienie teatralne, zobowiązują do pewnego zachowania. W tej materii korzystałbym z doświadczeń Jacka, który próbuje oswoić w pozytywnym sensie – mieszkańców, zapraszając ich na przedstawienia. U nas też byłaby taka możliwość. Jeśli będziemy traktować sąsiadów z atencją, to myślę, że nawet przypilnują tej sceny, by ponownie nie została zniszczona. Włożyliśmy dużo pracy, by ją oswoić. W momencie, gdy ją dostaniemy na dłużej, otworzą się perspektywy skorzystania z dofinansowania ministra. Z Fabrycznej powstałaby dzielnica kojarząca się z działalnością artystyczną. [Andrzej Buck]

Wybór przestrzeni był istotny. Pisał o tym Zdzisław Haczek („Gomułkę zabijają może nieskutecznie, ale spektakl mamy wyśmienity”):

[...] Strych tak naprawdę nie jest strychem, tylko dawnym magazynem, z podłogą na metr od gruntu, w podwórku przy ul. Fabrycznej 13 w Zielonej Górze. To tu dyrektor Lubuskiego Teatru Andrzej Buck znalazł szefowi teatru w Legnicy i reżyserowi Jackowi Głombowi – scenę poza sceną (tą oficjalną, z miękkimi fotelami, szatnią...). I nazwał to miejsce Sceną Na strychu. To tu Jacek Głomb – za kartami

powieści *Tysiąc spokojnych miast* Jerzego Pilcha – przywołuje klimat lat dziecięcych autora, dorastającego gdzieś w domu, w Wiśle, na Ziemi Cieszyńskiej, w rodzinie luteriańskiej... Od tych wysmaganych kiedyś przez ogień ścian, desek, belek trzeba zacząć pisanie o spektaklu. Bo to one pierwsze budują klimat domu Jerzyka A.D. 1963 (Świętyni Wojciech Brawer, w szkolnym mundurku, naprawdę zdaje się mieć lat naście). One i prawdziwe kompoty, pięcioletówka z rybakiem, strony „Trybuny Ludu”, radio „z okiem”... Ten dom pachnie tamtą epoką. Do czego jeszcze przyczynia się muzyka Bartka Straburzyńskiego. Ale odbywamy wyprawę w tamten świat prowincji Polski Ludowej nie po to, by utonąć w rzewnych łzach. Wszak ta prowincja sielska jest z pozorów! Wstrząsa nią żywioł! Nie, nie huragan... A Pan Trąba! Ten, co to od pokoleń nałogowi alkoholowemu służy. Ten, który nagle, licząc się z nadejściem rychłej śmierci, zapisać się w historii chce bardzo. Jak? Musi dokonać zamachu na tyrana. Trąba planuje zabić przywódcę ludowych Chin. Barwnie snuje wizję podróży do Pekinu i samego pościgu za gołym Mao, a my... pękamy ze śmiechu! Bo, Zbigniew Waleryś jako Pan Trąba to trzęsienie ziemi. Ale że do Chin będzie za daleko, trzeba będzie zlikwidować I sekretarza partii w PRL-u. – Zadusić? Gołymi rękami? Neeee! Ja się jego ciała brzydzę – wyznaje Trąba, wciągając do spisku kolejnych mieszkańców. *Zabijanie Gomułki*, przepraszam za skojarzenie, przywołdzi na myśl najlepsze dokonania kina czeskiego: dawne filmy Mentzla i Formana, współczesne Zelenki, Sveraka, Hrebejka. To humorystyczno-sentymentalne osławianie przeszłości! Ta galeria postaci! I ta już typowo polska tradycja powstańcza: zamach, co wiemy z historii, udać się nie może. Ale nie efekt jest tu najważniejszy. W teatralnej soczewce oglądamy tę małą społeczność, której polityczne zawieruchy zmieść nie potrafią. Nawet poróżnić nie mogą, bo zawsze znajdzie się chwila na kielicha po służbie. I stół świąteczny z religijną pieśnią. Że przy stole głównie protestanci, a nie „prawdzi-

wie polscy” katolicy? Oj, to najmniejsza szkoda, by czytać.

(„*Zabijanie Gomułki*” jako rzecz bardzo na czasie, „Gazeta Lubuska” 2007, nr 100, 28.04.2007).

Obsada. Zaczęło się od castingu. Szukano początkowo odtwórcy roli Jerzyka. Potem okazało się, że tę rolę zagra Wojciech Brawer. Z chłopców jednak Głomb nie zrezygnował. Zbigniew Waleryś w obsadzie to strzał w dziesiątkę (potem Jacek Sieradzki wyróżnił go w swoim Subiektywnym spisie aktorów teatralnych 2007). Aktor rozpoznawalny teraz (serial *Na dobre i na złe*), wówczas może nieco mniej.

Ostatecznie obsada wyglądała następująco: Wojciech Brawer, Zbigniew Waleryś, Wojciech Czarnota, Tatiana Kołodziejska, Marta Frąckowiak, Janusz Młyński, Andrzej Nowak, Robert Gulaczyk, Karolina Honchera, Jacek Krautforst, Patryk Bator/Kamil Nahorski (gość.).

Scenografia. Scenografia tylko pozornie napisała się sama. Tak naprawdę pisała ją Małgorzata Bulanda, inspiratorka legnickiej koncepcji teatru w przestrzeni postindustrialnej, na co dzień żona Głomba i wybitny scenograf.

W drodze. Od premiery Lubuski Teatr był nieustannie w podróży teatralnych. Zaczęła się festiwalowa passa. Każdy wyjazd był poprzedzony poszukiwaniem przestrzeni teatralnej, w której mógłby odbyć się spektakl. Przestrzeni zbliżonej do Sceny na Fabrycznej 13 zwanej „Sceną na Strychu”.

Festiwale. M.in: Warszawa: Festiwal Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Zielona Góra: IX Festiwal Współczesnego Dramatu REWIZJE. Bydgoszcz: VI Festiwal prapremier. Nowa Huta/Kraków: Festiwal Genius Loci. Tarnów: XI Festiwal Komедии „Talia”. Łódź: to zaproszenie na XIV Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Olsztyn: XVI Olsztyńskie Spotkania Teatralne.

Szczególnie ważny był Konkurs na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, do którego bram LT stukał wielokrotnie, wreszcie się w pełni

udało. Choć sukces ...*Gomułki* to nie pierwsze zdarzenie. Wcześniej znalazł się tam *Powrót* Jerzego Łukosza w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej oraz *Spuścizna* Ireneusza Koziola w reżyserii Piotra Łazarkiewicza.

Recenzje. Recenzenci lokalni padali na kolana przed charyzmą Głomba: m.in. Zdzisław Haczek „Gomułkę zabijają może nieskutecznie, ale spektakl mamy wyśmienity” („Gazeta Lubuska” nr 100, 28.04.2007). Dorota Żuberek „Precz z tyranem w wersji »na śmiesznie«” („Gazeta Wyborcza” nr 96, 24.04.2007. Joanna Curzytek-Kapica „Świat dużych chłopców” (Akademickie Radio INDEX, 24.04.2007). I najważniejsze: ks. dr Andrzej Draguła wreszcie nie musiał pielgrzymować do teatru w Legnicy.

Prasa krajowa wiele uwagi poświęciła spektaklowi. M.in.: Jacek Sieradzki *Odstrelić Gomułkę* („Przekrój” nr 22-23/31.05.2007); Łukasz Drewniak *Oto jest polskie Macondo* („Dziennik” nr 109, dodatek „Kultura”, 11.05.2007); Jacek Wakar *Groteskowa wizja Polski według prozy Jerzego Pilcha* („Dziennik” nr 230, 2.10.2007). Pisali też: Paweł Sztarbowski („Newsweek”) i Janusz R. Kowalczyk („Rzeczpospolita”).

Nagrody. Nagroda dla Lubuskiego Teatru (30 tys. zł) od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zabijanie Gomułki i *Pokropek* w finale XIII Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej. Lubuski Teatr otrzymał nagrodę za *Zabijanie Gomułki* w trzech kategoriach: za reżyserię – Jacek Głomb, scenografię – Małgorzata Bulanda, adaptację powieści Jerzego Pilcha – Robert Urbański.

Zabijanie Gomułki na Festiwalu Prapremier w Bydgoszczy – nagrodę za scenografię i rolę Pana Trąby.

Na Festiwalu Komедии „Talia” w Tarnowie – nagroda główna oraz nagroda dla odtwórcy roli męskiej Pana Trąby, Zbigniewa Walerysia.

Spektakl znalazł się w Złotej Dziesiątce przedstawień teatralnych 2007 Jacka Wakara ogłoszonej w dodatku „Kultura” do „Dziennika”.

I najważniejsze: Legnica zdobyta. Dyrektor Głomb rzadko wpuszcza do swojego teatru obce zespoły. Z Zieloną Górą nie miał zahamowań. Tak komentowano pojawienie się zespołu Lubuskiego Teatru, szczególnie, że był to *Strumień* Leszka Mądziaka i *Kopciuszek* w reżyserii Czesława Sieńki. Dopiero potem Głomb zaprosił *Zabijanie Gomułki*.

Po sukcesie. Po niewątpliwym sukcesie miejsca Fabryczna, wiceprezydent Zielonej Góry, pani Violetta Haręźlak zaprosiła szefów instytucji kultury na spotkanie w Galerii Marii Ildzikowskiej aby przekazać informację:

„To będzie miejsce dla artystów, Fabryczna 13, coś na kształt Zaułku sztuki”.

Był rok 2007.

A co tam będzie (rok 2010)?

W dzielnicy fabrycznej, w dawnych siedzibach firm, miasto chce stworzyć Zaułek Artystów. Czyli połączenie domu kultury z domem twórczym. Kiedyś była tu tkalnia Eichmanna, potem budynek magazynowo-biurowy. Teraz wpisany jest do rejestru zabytków razem z całą zabudową fabryczną w tej części miasta.

[...]

Każde piętro ma swoich gospodarzy. I po co to wszystko? Dla zielonogórskich artystów i miłośników ich twórczości. – Na piętrze budynku będą pracownie plastyczne. Tam zarządzać będzie związek artystów plastyków – zapowiada wiceprezydent Krzysztof Kaliszuk. – Parter oddajemy teatrowi, który współpracować będzie z kabareciarzami. Piwnicę dostaną stowarzyszenia winiarskie. W małym budynku obok głównego będą z kolei pomieszczenia szkoły tańca. W planach jest też scena letnia teatru na dziedzińcu [...]. (Z artykułu Alicji Bogiel *W Zielonej Górze w dawnej tkalni zamieszkają artyści*, „Gazeta Lubuska”, 21.05.2010)

Konferencja naukowa

Fantastyczność i cudowność. Mityczne scenariusze: od fikcji do mitu, od mitu do fikcji

W dniach 24-25 maja 2010 roku już po raz czwarty odbyła się konferencja naukowa na temat fantastyczności i cudowności w literaturze. O ile w zeszłym roku, w czasie trzeciej edycji spotkania, dyskutowano o mitycznych scenariuszach (*Fantastyczność i cudowność. Mityczne scenariusze: od fikcji do mitu, od mitu do fikcji*, Zielona Góra, 26-28 kwietnia 2009 r.), o tyle w tym roku przedmiotem obrad uczyniono mit oraz tajemnicę w literaturze.

W konferencji wzięło udział kilkudziesięciu prelegentów z polskich ośrodków akademickich. Po raz pierwszy obrady toczyły się w gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze, w dwóch sekcjach. Mieliśmy zaszczyt gościć literaturoznawców, kulturoznawców, językoznawców, anglistów, psychologów, teologów i filozofów z kilkunastu ośrodków badawczych, m.in. z Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Opolskiego, Uniwersytetu Rzeszowskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Szczę-

cińskiego oraz Akademii Pomorskiej w Słupsku. Ich wystąpienia poświęcone były m.in. konkretnym utworom polskiej i zagranicznej fantastyki, zagadnieniom teoretycznoliterackim oraz lingwistycznym tej literatury, a także problematyce religioznawczej.

Znany badacz fantastyki i autor podręczników o retoryce prof. Jakub Lichański przedstawił artykuł *Epos jako fundament mitu*, którym rozpoczął obrady plenarne. Prof. Anna Gemra, badaczka wampiryzmu w kulturze popularnej, mówiła o dyskursie z relatywizmem w twórczości Terry'ego Pratchetta. Problematykę psychologiczną poruszyła prof. Wanda Zagórska w referacie *„Homo mythicus” w psychologicznej refleksji nad rozwojem człowieka dorosłego*. Ks. prof. Andrzej Draguła w swoim wystąpieniu zapoznał zgromadzonych z tematyką misterium i tajemnicy. Omawiano różne przejawy mitu w kulturze popularnej, o czym świadczą wystąpienia dr Bernadetty Żynis (*Anioł – symbol, mit, tajemnica, pragnienie*), dra Bogdana Trochy (*Miedzy śladami obcości a modelowaniem tożsamości. Mit w strukturach narracyjnych fantasy*), dra Arkadiusza Kaliny (*Mit mesjański w kontekście apokaliptycznej mitologii*

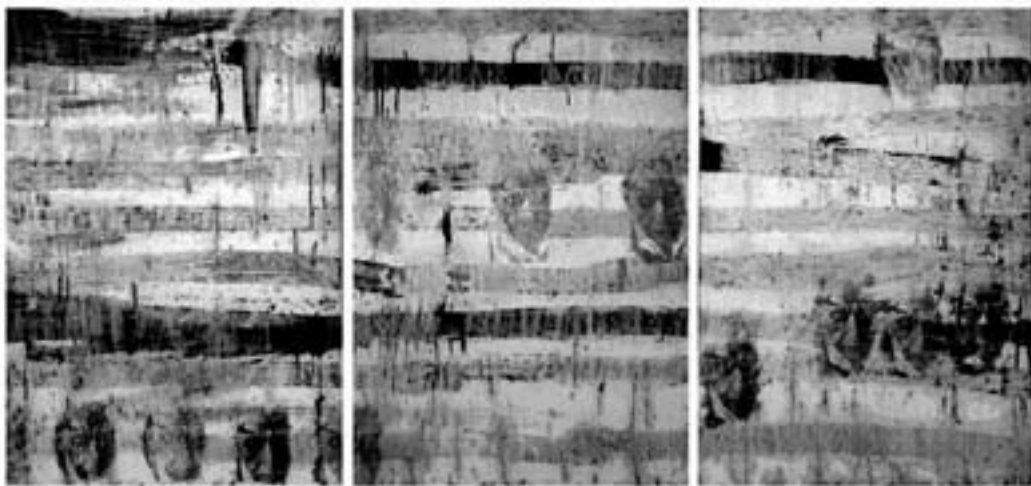
chaosu – „Weiser Dawidek” Pawła Huelle) czy mgr Karoliny Golinowskiej (*Mit jako przejaw upolitycznienia*). Nie zabrakło interesującego artykułu o popularnych obecnie powieściach Stephenie Meyer, który wygłosiła dr Grażyna Lasoń-Kochańska (*Śmiertelne zaślubiny. Mit i tajemnica w cyklu „Zmierzch” Stephenie Meyer*). Inne referaty dotyczyły nowel francuskiego pisarza André Pieyre de Mandiarguesa, powieści noblistki Doris Lessing oraz cyklu „Miecz prawdy” Terry’ego Goodkinda. Wśród referatów odnoszących się do twórczości polskich pisarzy wypowiadano się na temat prozy Jacka Piekary, Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Micińskiego, Edwarda Stachury i Janusza Meissnera.

Konferencja spotkała się z zainteresowaniem studentów i pracowników Uniwersytetu Zielonogórskiego, czytelników oraz pracowników WiMBP, jak również publiczności spoza zielonogórskiego środowiska akademickiego. Zostały wygłoszone ciekawe prace wybitnych znawców przedmiotu średniego i młodszego pokolenia. Dwudniowe obrady dały kolejny dowód na fakt, iż literatura

popularna, „ta trzecia”, jak określa ją prof. Anna Martuszevska, autorka jedynej w Polsce monografii na temat poetyki powieści popularnej (*„Ta trzecia”. Problemy literatury popularnej*, Gdańsk 1997), jest obszarem wielu ciekawych, inspirujących i odkrywczych badań naukowych.

Warto odnotować, że do Zielonej Góry przybyła większość autorów liczących się monografii na temat literatury *fantasy* oraz krytyki mitograficznej w polskim literaturoznawstwie. Całość przebiegła bardzo sprawnie i spotkała się z uznaniem tak społeczności UZ, jak i przybyłych gości.

Pomysłodawcą i organizatorem konferencji był dr Bogdan Trocha z Pracowni Mitopoetyki i Filozofii Literatury przynależnej do Zakładu Teorii i Antropologii Literatury Instytutu Filologii Polskiej UZ. Zapowiedziano kolejną, piątą już, edycję spotkania. Współorganizatorami wszystkich odbytych konferencji z cyklu „Fantastyczność i cudowność” były dwie instytucje: Instytut Filozoficzno-Teologiczny im. E. Stein w Zielonej Górze (Seksja Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego) oraz Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra.



Wyjście z sieci

Wystawa zielonogórskich użytkowników digartu

14 stycznia br. otwarto w salonie wystawowym Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. C. Norwida pierwszą wystawę prac artystów zrzeszonych w grupie Zielona Góra. Grupa, założona w otchłaniach digartu, po raz pierwszy przekroczyła granicę między światem wirtualnym a rzeczywistym.

Przypomnijmy, że Digart.pl to największy polski wortal prezentujący szeroko pojętą sztukę współczesną. Założony w 2002 r. skupia na swoich łamach kilkadziesiąt tysięcy artystów, zarówno amatorów, jak i profesjonalistów. Jednak nie posiadany dyplom jest tu wyznacznikiem, a jedynie jakość prac. Początkowo dedykowany sztuce cyfrowej wortal prezentuje dziś pełną paletę dyscyplin plastycznych. Digart jest też przede wszystkim miejscem dyskusji i wzajemnej nauki.

Jest także potężnym środowiskiem twórczym, niemającym dotąd (z oczywistych powodów – internet też jest tu nowy) odpowiednika w dziejach sztuki. Środowiskiem wciąż się kształtującym, ewoluującym, świeżym.

Być może to tu bije prawdziwy puls sztuki współczesnej?...

Grupa zielonogórskich użytkowników Digartu liczy sobie dziś 387 dusz (oczywiście na wystawie

pokazano prace wąskiej reprezentacji). Są to zarówno zawodowcy, artyści z dorobkiem twórczym, uczący się i studiujący adepci sztuki, jak i amatorzy. Niniejsza wystawa prezentuje wybór różnych aspektów twórczości.

W salonie wystawowym króluje (choć nie niepodzielnie) malarstwo. Uwagę zwracają wielkoformatowe płótna Karola Nienartowicza, utrzymane w charakterystycznej dla tego autora stylistyce – nowoczesne, a zarazem delikatnie nawiązujące do amerykańskiego malarstwa lat trzydziestych. Akryle Andrzeja Troca, bardzo osobiste, prezentujące makabryczny surrealizm, sąsiadują z infografiami Mariusza Kowalskiego – również surrealisty, choć preferującego inny niż Troc sposób i nastrój wypowiedzi...

W ogóle klimaty nadrealistyczne zdają się dominować na wystawie, nie zawsze jest to jednak surrealizm „kanoniczny”. Osobiste podejście do konwencji proponują obrazy Anny Nabel-Myszkiewicz, półabstrakcyjne, zderzające różne gradacje struktur. Również obraz Roberta Tomaka (na co dzień bardziej znanego ze swych rzeźb) mieści się w pojemnych ramionach surrealizmu... Klimat sennego marzenia przepełnia też prace Adama Andrearczyka – Zielona Góra i Bydgoszcz w jego

niezwykle malarskich fotografiach to miejsca metafizyczne, baśniowe... Podobnie wysmakowane akwarele Agnieszki Kujawy-Bartosik – i tu pejzaż jest tylko punktem wyjścia do orgii form i kolorów.

Wiodący do salonu wystaw łącznik mieści drugą połowę ekspozycji. Tu znajdziemy głównie fotografię i grafikę. I również surrealizm – w ilustracyjnych pracach Szymona Teluka, bazujących na rejestracji „dosłownej” propozycjach Uli Teluk, grafikach i komiksach Igora Myszkiewicza, rysunkach Sławomira Sznajdera. Stylizowane, oniryczne motywy zobaczymy w fotografiach Tamary Kretowicz-Dobrychłop, z kolei zdjęcia Patryka Cieleńskiego to surrealizm „zaobserwowany”, fragmenty niemodyfikowanej rzeczywistości rejestrowanej w niecodzienny sposób. Odrealnione pejzaże zielonogórskie powracają w fotogramach Tomasza Daikslera; Igor Władyka również wychodzi od krajobrazu, on jednak go upraszcza, syntetyzuje, czyści...

Pośród onirycznych klimatów znalazło się również miejsce na konwencję realistyczną. Warto

tu zwrócić uwagę na subtelne fotograficzne akty i portrety autorstwa Joli Łaskarzewskiej. Po portret sięga również Krzysztof Adykowski, w jego polu zainteresowania znajduje się również fotografia krajobrazu...

Wystawa *Digart Zielonogórski* jest dla zielonogórskiej grupy przełomowa – przełomowa, bo pierwsza. Środowisko kształtowane w sieci wkracza w świat realny, bestia wypęła z oceanu na ląd.

Co będzie dalej? Jakie miejsce w polu sztuki wywalczą sobie grupy, środowiska i osobowości zawiązane w otchłaniach internetu, digartu i podobnych miejsc prezentacji i kreowania sztuki?

Nie wiem. Ale jestem potwornie ciekaw.

W wystawie udział wzięli: Szymon Teluk, Ula Teluk, Igor Myszkiewicz, Anna Nabel-Myszkiewicz, Andrzej Troc, Agnieszka Kujawa-Bartosik, Tamara Kretowicz-Dobrychłop, Patryk Cieleński, Tomasz Daiksler, Jola Łaskarzewska, Sławomir Sznajder, Krzysztof Adykowski, Adam Andrearczyk, Karol Nienartowicz, Mariusz Kowalski, Igor Władyka i Robert Tomak.



Wspomnienie o Kaiserbergu, czyli Górze Cesarza koło Łazu

W podróży przez krainę,
gdzie krzyż żelazny lśni,
wymawiam Twoje imię
Z radością, po wsze dni!

(tłumaczenie – Izabela Taraszcuk)

Taki tekst widniał na tablicy na Kaiserberg – najwyższym wzniesieniu w dawnym państwie stanowym Zabór/Saabor. W jednym z tekstów źródłowych o Saabor znajduje się taki wyjątek:

Wzgórza wznoszą na swojej południowej stronie szereg winnic, przy ich podnóżach rosną morwy i są używane do produkcji jedwabiu. Te wysokości ciągną się na zachód do Łazu/Loos i wznoszą się za tą miejscowością w najwyższy szczyt, Górę Cesarza (Kaiserberg), która jest wysoka na 505 stóp ponad poziomem Morza Bałtyckiego, i 335 stóp ponad poziomem Odry. Z tego punktu rozkoszować się można dalekim widokiem na Śląsk, granicę i Poznań. Przy sprzyjającej

Erinnerung an den Kaiserberg bei Loos/Łaz

In dieser weiten Runde,
Dein Nam' und Kreuz allein,
funkelt all' Zeit und Stunde
des kann ich fröhlich sein!

Diese Inschrift war auf der Gedenktafel auf dem Kaiserberg, der höchsten Erhebung in der Herrschaft Saabor, zu lesen. In einem weiteren Quellentext kann man folgenden Ausschnitt finden:

Die nördliche Hügelkette trägt auf ihrer Südseite eine Reihe von Weinbergen, an ihrem Fusse zur Seidenzucht verwendete Maulbeerranlagen. Diese Höhen ziehen sich nach Loos gen West hin, und erheben sich hinter diesem Orte in ihrer höchsten Spitze, dem Kaiserberge, 505 Fuss hoch über die Ostsee, 335 Fuss über die Oder. Von diesem Punkte genießt man eine weite Umsicht nach Schlesien, der Mark und Posen hinein. Bei günstigem Wetter ist sogar die Schneekoppe mit unbewaffnetem Auge zu erkennen. (Alexander Duncker, *Die ländlichen Wohnsitze, Schlösser und Residenzen der ritterschaftlichen*

pogodzie bez żadnych przyrządów można nawet rozpoznać Śnieżkę /Schneekoppe.

(Alexander Duncker, *Die ländlichen Wohnsitze, Schlösser und Residenzen der ritterschaftlichen Grundbesitzer in der Preußischen Monarchie, 1857-1883*; tłumaczenie – J. Simonjetz i K. Fedorowicz)

We wznowionej przez Ernsta Claußa książce *Stadt und Landkreis Grünberg in Schlesien* (1967) jest sporo informacji o Kaiserbergu. Czytamy tutaj między innymi, że górę nazwano tak na pamiątkę Napoleona I, który miał tutaj stacjonować podczas odwrotu z Rosji. A sam krzyż wzniesiono 31 lipca 1883 roku w rocznicę stuletniego panowania w Saabor rodu Schönaich-Carolath. I ten pomnik to kawał historii tej ziemi. Podobnie jak stara winnica u podnóża tej góry.

Tymczasem pomnik został zniszczony przez jednego ze współczesnych mieszkańców Łazu. Po prostu ściął krzyż i wywiózł na złomowisko. I zastanawiam się tylko, dlaczego policja nie szuka sprawców tej haniebnej kradzieży z mitycznej góry w Łazie/Loos?

No bo kto przejmowałby się jakimś kawałkiem Heimatu? Tymczasem dla wielu, dawnych i dzisiejszych mieszkańców tej wsi leżącej obok Kaiserbergu, także dla mieszkańców Zaboru/Saabor, to część ich własnej tożsamości: ten krzyż i ta góra. Fragment ich małej ojczyzny.

Dla mnie Heimat to ta góra, ale przede wszystkim winnica.

I o tej górze mówię nie bez powodu, bo pod nią właśnie rozciągała się jeszcze do lat 50. ubiegłego wieku wspiana winnica. Winnic zresztą nigdy tutaj nie brakowało. Jest taka pieśń, *Das Saaborer Heimatlied*, w której pojawia się magiczne słowo 'Reben', oznaczające winorośl:

Znam małe miasteczko
w powiecie zielonogórskim,
gdzie na starą nutę
śpiewają taką pieśń.

Leży w sąsiedztwie jeziora
pięknie położone w dolinie.

Grundbesitzer in der Preußischen Monarchie, 1857-1883)

Das von Ernst Clauß im Jahre 1967 erneut herausgegebene Buch *Stadt und Landkreis Grünberg in Schlesien* enthält mehrere Angaben zum Kaiserberge. Unter anderen liest man an einer Stelle, dass der Berg Napoleon I. seinen Namen verdankt. Der französische Kaiser hat sich hier während seiner Rückkehr aus Russland aufgehalten. Das Kreuz wurde am 31. Juli 1883 zum Gedenken an die 100jährige Herrschaft des Adelsgeschlechts Schönaich-Carolath in Saabor errichtet. Das Denkmal erinnerte an die Geschichte dieser Region, ebenso wie der alte Weinberg am Fuße des Kaiserbergs.

Inzwischen wurde das Denkmal von einem Bewohner des heutigen Łaz zerstört. Der Unbekannte zersägte einfach das Kreuz und brachte es zum Schrottlager. Ich stelle mir die Frage, warum die Polizei nach Verursachern dieser schändlichen Tat auf dem mythischen Berg in Loos kaum gefahndet hat? Wer hätte sich überhaupt irgendwelche Gedanken über ein Stück Heimatgeschichte gemacht? Man soll bedenken, dass viele ehemalige und heutige Bewohner des Dorfes in der Nähe der Erhebung, auch die Saaborer, sich mit diesem Kreuz und dem Kaiserberge identifiziert haben. Das Denkmal und der Berg sind zu einem Teil ihrer kleinen Heimat geworden.

Für mich bedeutet Heimat der Kaiserberg, vor allem ist es aber der Weinberg.

Den Kaiserberg erwähne ich nicht ohne Grund, bis in die 50er Jahre des vergangenen Jahrhunderts hinein hat sich dort ein fabelhafter Weinberg erstreckt. An Weinbergen hat es in dieser Gegend doch nie gefehlt. Das *Saaborer Heimatlied* enthält Versen, die die Schönheit der magischen Pflanzen besingen:

Ich weiß ein kleines Städtlein
Im Grünberger Kreise.
Ihm will ich dieses Liedchen weih'n
Zum Sing'n nach alter Weise.

Otaczają je łagodne wzniesienia
obsadzone szlachetną winoroślą.

Zamek dominuje w okolicy, widoczny z daleka,
wzniesiony pośrodku.

Na dawny zwyczaj
okrążony głęboką fosą.

Jest stary kościół, dumny i czcigodny,
obsadzony starymi lipami,
a każdy, kto tędy przechodzi,
uzna je za piękne.

[...]

(tłumaczenie – J. Simonjetz i K. Fedorowicz)

Wiersz ukazał się drukiem u Otto Höhne z ówczesnego Grünbergu, data pozostaje jednak nieznana. Na początku tekstu poeta zamieścił notkę następującej treści: „Gewidmet meiner lieben Heimatstadt Saabor. Von Ernst Bartsch, Grünberg. Singweise: *Stimmt an mit hellem hohen Klang*” („Dedykuję mojemu drogiemu rodzinnemu miastu Saabor. Autor Ernst Bartsch, Grünberg. Na melodię *Stimmt an mit hellem hohen Klang*” [Zaintonujcie jasnym, wysokim dźwiękiem] – tłum. I. Taraszcuk).

Zachował się również inny tekst:

Powiadają „Saabor w lesie”,
Wśród najstarszych wieść tak niesie.
Niczym fiołek skryty w gaju,
Kwitnie wieś w niemieckim kraju.
Gdzie się Odra z Śląskiem żegna,
Tam jest gniazdko pełne ciepła,
Tamże Grünberg się wynurza,
Winorośle zdobią wzgórza.
Fabryk zgiełk, wagonów stukot,
Ciszy szukać tutaj próżno.

Sosny, świerki, dąb kołysz
Wiatr, „zakłóca” śpiewnie ciszę.
Wytchnij: żdźbła i drzew korony
Dzień Ci dadzą wymarzony.

Im Tale liegt's so wunderschön,
Mit seinem See daneben.
Umrahmt wird es von sanften Höh'n,
Bebaut mit edlen Reben.

Ein Schloß, man sieht's aus großer Weit',
Erhebt sich aus der Mitte.
Ein Wall umgibt es tief und breit
Nach alter Zeiten Sitte.

Die alt-ehrwürd'ge Kirche steht,
Umringt von alten Linden.
Noch jeder, der vorübergeht,
Wird schön sie wieder finden.

Das Lied wurde von Otto Höhne, Grünberg in Schlesien, gedruckt; es war kaum möglich, der vorhandenen Kopie das Erscheinungsjahr zu entnehmen. Gleich unter dem Titel steht eine vom Verfasser angefertigte Notiz: *Gewidmet meiner lieben Heimatstadt Saabor. Von Ernst Bartsch, Grünberg. Singweise: „Stimmt an mit hellem hohen Klang”*.

Erhalten geblieben ist auch ein anderes Gedicht:

„Saabor im Walde” soll es bedeuten,
so hört man von ganz alten Leuten.
Und wahrlich, einem Veilchen gleich,
verborgen liegt's im Deutschen Reich.
Dort, wo die Oder Schlesien fast verläßt,
da find't man das heimliche, trauliche Nest,
nicht weit der Kreisstadt Grünberg eben,
wo man auf Hügeln baut die Reben.
Fabriken - Pfeifen und Rattern der Bahn
Ficht hier nicht Deine Ruhe an.

Das Rauschen der Eichen, Föhren und Fichten
Als „Ruhestörung” gilt's wohl mitnichten.
Wenn, hingestreckt unter Waldesbäumen,
im Grase willst Du den Tag verträumen.
Doch willst Du wandern mal wieder `ne

Stunde

so liegen Schloss und Park in der Runde.
Und See und Oder mit lieblichen Stätten,



Pan Julian Simonjetz urodził się w Zaborze w 1927 roku. Jest autochtonem, prawdziwym dobrym duchem regionu, świadkiem historii i osobą zasłużoną dla miejscowego pożarnictwa oraz okolicy.

Herr Julian Simonjetz wurde in Saabor 1927 geboren. Er ist ein Autochthon, ein wahrer Genius loci dieser Region, Zeitzeuge und eine für die Saaborer Feuerwehr und die Umgebung verdienstete Persönlichkeit.

Gdy wędrówka Cię zawoła
Znajdziesz zamek, park dokoła,
Odrę i jeziora strony,
Na mchu spoczniesz utrudzony.
Perła flory, duma nasza,
Dąb potężny Śląsk okrasza.
Niech świat gna w swym dzikim pędzie –
Tu mój dom i tak już będzie.

(tłumaczenie – Izabela Taraszczyk)

Rękopis utworu odnalazł w latach 70. podczas remontu domu pewien mieszkaniec Zaboru.



Kaiserberg 1962

wo wieder Du kannst ins Moos Dich betten.
Und Schlesiens stärkste Eiche hier,
sie ist unser Stolz, der Gegend Zier.
Lass sausen die Welt mit ihrem Treiben –
das ist meine Heimat und soll es bleiben.

Das Manuskript dieses Gedichts wurde von einem Dorfbewohner während der Hausrenovierung in den 70er Jahren gefunden. Das lyrische Werk bezeugt die herzliche Gebundenheit der ehemaligen Saaborer an ihr Dorf. Was musste ihnen diese Ortschaft mit See, Schloss, Eichen, Kirche und den mit Reben bewachsenen Hügeln bedeutet haben!!

Und wo genau wurden die Weinberge in Loos angelegt? Auf Katasterkarten von Loos, die ich im Staatsarchiv Wilkowo (Wilkau b. Schwiebus) gefunden habe, wurden Grundstücke mit dem Begriff *Garten* markiert. Wie mir einer der Archivare erklärt hat, bedeutet *Garten* - mit hoher

Od lewej: ampelografowie Andreas Jung i Reinhard Antes oraz Krzysztof Fedorowicz (Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa Winnice Lubuskie) szukają krzewów winorośli pod Kaiserberg koło Łazu. W trawie – krzew Pinot Noir.

(V.l.n.r.) Ampelographen Andreas Jung und Reinhard Antes und Mitverfasser des vorliegenden Beitrags, Krzysztof Fedorowicz (Verein Kulturgemeinschaft Lebuser Weinberge), suchen am Kaiserberge b. Loos/Łaz nach Rebsträuchern. Im Gras – Pinot Noir.



Wiersz ten przede wszystkim jest świadectwem związania z Zaborem/Saaborem jego dawnych mieszkańców. Czymże musiał być dla nich ten Saabor z jeziorem, zamkiem, lipami i kościołem, i wzgórzami porośniętymi winoroślą?...

A gdzie dokładnie rosły winnice w Łazie/Loos? Na mapach katastralnych Loos, które znalazłem w archiwum w Wilkowie, są działki oznaczone nazwą *Garten*. *Garten* to najprawdopodobniej winnica, tłumaczy archiwista. Ale żeby mieć pewność, trzeba zajrzeć do ksiąg niemieckiego urzędu rolnego. Gdy idzie o powiat zielonogórski, są one we Wrocławiu/Breslau i w Starym Kisielinie/Altkessel.

Ale w Zielonej Górze/Grünberg in Schlesien, a także w Łazie/Loos i innych miejscowościach, pozostało do dziś sporo starych krzewów winorośli. Zbadali je niedawno dwaj ampelografowie: Andreas Jung z Büro für Rebsortenkunde und Klonzüchtung oraz Reinhard Antes, reprezentujący ANTES Rebenveredlung und Verkauf. Okazało się, że na starej winnicy pod Górą Cesarza rosną tak znaczne szczepy jak Pinot Noir, Pinot Gris, Traminer czy Gutedel. I takie odmiany uprawiamy tutaj nadal, kontynuując niemieckie tradycje winiarskie tego regionu.

Dzięki uprzejmości pana Juliana Simonjetza z Zaboru/Saaboru publikuję dwa zdjęcia z 1962 roku. Kaiserberg i ten krzyż... Ludzie mówią, że przydałoby się go odtworzyć. Wytyczyć ścieżkę, postawić drogowaskazy i tablice informacyjne w języku polskim i niemieckim.

Wahrscheinlichkeit – Weinberg. Aber mit Sicherheit kann dies festgestellt werden, wenn man in Büchern des deutschen Landwirtschaftsamtes nachschaut. Im Fall des Grünberger Kreises befinden sich diese in Breslau (Wrocław) und Altkessel (Stary Kisielin). Alte Rebsorten sind bis heute auch in Grünberg in Schlesien, Loos (Łaz) und in anderen Ortschaften zu finden. Letztens wurden sie von zwei Ampelographen, Andreas Jung vom Büro für Rebsortenkunde und Klonzüchtung und Reinhard Antes von ANTES Rebenveredlung und Verkauf untersucht.

Es hat sich herausgestellt, dass auf dem alten Weinberg am Kaiserberge so edle Rebsorten wie Pinot Noir, Pinot Gris, Traminer oder Gutedel wachsen. Und diese Rebsorten werden von uns kontinuierlich angebaut, denn wir legen großen Wert auf die Erhaltung und Pflege alter deutscher Weintraditionen in der Region in und um Grünberg.

Dank der Freundlichkeit des Herrn Julian Simonjetz von Saabor nehme ich mir die Freiheit, zwei Bilder von 1962 veröffentlichen zu lassen. Sie zeigen den Kaiserberg und das erwähnte alte Kreuz. Die Bewohner unserer Region möchten es nachmachen lassen. Es wäre gut, eine Route festzusetzen, Wegweiser und Informationsschilder in deutscher und polnischer Sprache aufzustellen.

Als Vizevorsitzender des Vereins Kulturgemeinschaft Lebuser Weinberge (Stowarzyszenie

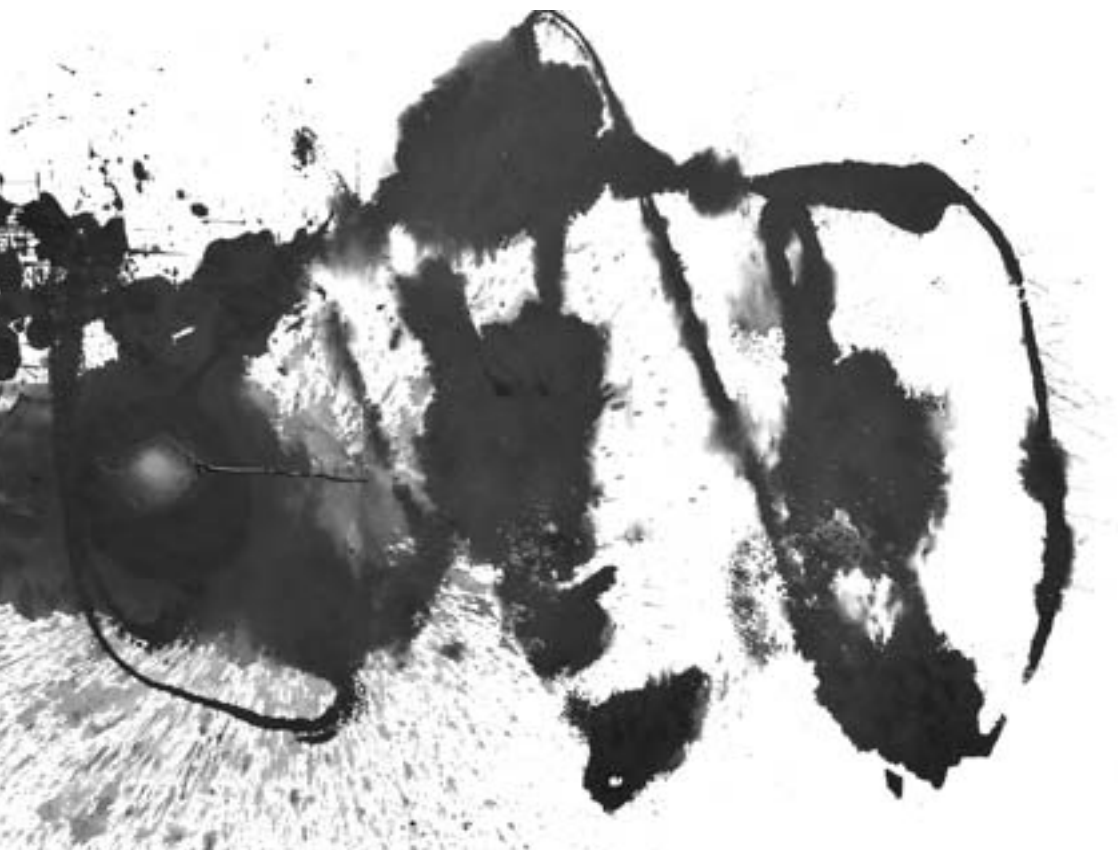
Jako wiceprezes Stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa Winnice Lubuskie poruszyłem te kwestie u odpowiednich władz. Rozmawiałem z nadleśniczym Maciejem Taborskim (Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Zielonej Górze, Nadleśnictwo Przytok) oraz z przedstawicielami Urzędu Marszałkowskiego, który zaopiniuje nasz wniosek. SWK Winnice Lubuskie przygotowało też odpowiednie pismo do pozostałych urzędów w województwie i nadleśnictwa. Tematem tym w najbliższym czasie zajmie się również nasze Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej w Zielonej Górze.

No to do dzieła! W sprawę – myślę, że wielką – trzeba zaangażować także gminę Zabór, konserwatora zabytków i oczywiście Nadleśnictwo Przytok (dawniej: Pritttag), na którego terenie leży góra.

Wspólnota Kulturowa Winnice Lubuskie) habe ich diesen Schwerpunkt bei entsprechenden Behörden hervorheben können. Ich habe mit dem Oberförster Maciej Taborski (von der Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Zielonej Górze – Staatsforstverwaltung Zielona Góra) und mit Vertretern des Urząd Marszałkowski (Marschallamt Zielona Góra) gesprochen. Das Marschallamt wird unseren Antrag begutachten. Die Kultur-gemeinschaft hat auch entsprechende Schreiben an weitere Behörden in unserer Woiwodschaft und die Staatsforstverwaltung vorbereitet.

Auch unsere Sozial-Kulturelle Gesellschaft der Deutschen Minderheit in Grünberg/Zielona Góra wird sich der Problematik annehmen.

Also packen wir es an! Für dieses, glaube ich, große Projekt, sollten auch die Gemeinde Saabor (Gmina Zabór), Restauratoren und natürlich Nadleśnictwo Przytok (Oberforstamt Przytok, Staatsforstverwaltung Zielona Góra) engagiert werden. Der Kaiserberg liegt innerhalb des vom Oberforstamt verwalteten Gebietes.



Festiwal różnaitości

Dni Muzyki nad Odrą

Kolejne Dni Muzyki nad Odrą za nami. Między 5 a 14 marca, w kilku miejscowościach Środkowego Nadodrza po obu stronach granicy (Frankfurt, Zielona Góra, Słubice, Eisenhuettenstadt, Sulechów, Alt Madlitz) odbyło się ponad trzydzieści przedsięwzięć artystycznych: koncertów, spektakli, recitali, form słowno-muzycznych. Wobec takiej obfitości wydarzeń pozostawało dokonywanie wyborów (do czego powinniśmy się już dawno przyzwyczaić, ale to wciąż trudne i... bolesne). Obraz festiwalu, jaki zatem wyłonić się może w recenzenckiej relacji, zawsze będzie fragmentaryczny i już w samym wyborze propozycji – subiektywny.

Koncert inauguracyjny festiwalu odbył się w Sali Koncertowej zielonogórskiego Międzynarodowego Centrum Muzycznego „Wschód-Zachód”. Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Zielonogórskiej poprowadził albański dyrygent Oleg Arapi. Po *Symfonii F-dur* Wq 183 Carla Philippa Emanuela Bacha, w *I Koncercie fortepianowym e-moll* Chopina wystąpiła szwajcarska pianistka Giulietta Koch. Jej interpretację charakteryzowała naturalność, potoczyste prowadzenie frazy, lekkość, płynność i wdzięk – cechy niezbędne dla oddania fantazyjnej stylistyki *brillante*. Drugą część wieczoru wypełniła muzyka albańska: utwory Toma Gaqi (*Taniec symfoniczny nr 2* i *Scherzo na orkiestrę symfoniczną*), Pjetera Gaci (*Taniec sym-*

foniczny nr 1), Kujtima Laro (*Rapsodia nr 2*) i Gjona Simoni (*Suita* z opery *Mirka* na orkiestrę smyczkową). W zaproponowanym układzie, bez odnośnego komentarza (na ile był to wybór reprezentatywny dla muzyki albańskiej?) i w poprawnym jedynie wykonaniu, prezentowane dzieła nie tworzyły jakiegś poznawczej czy dramaturgicznej całości. Utrzymane w dość konwencjonalnie potraktowanej stylistyce postromantycznej (z odwołaniami do rodzimego folkloru) sprawiały wrażenie dobranych przypadkowo zarówno z perspektywy zasadności ich umieszczenia w koncercie (nie tłumaczyła tego osoba albańskiego dyrygenta), w gatunkowym doborze konkretnych utworów (*de facto*: miniatur orkiestrowych), jak i w zestawieniu z Chopinem. Swoją drogą: może warta rozważenia byłaby idea prezentacji w ramach festiwalu mniej znanej i niemal nieobecnej w praktyce koncertowej muzyki z krajów bałkańskich, bałtyckich czy skandynawskich (wykonani kompozytorzy albańscy nie figurują np. w naszej Encyklopedii Muzycznej PWM). Realizacja tego zamierzenia wymagałaby jednak bardziej spójnej programowo formuły.

Pierwszy po drugiej stronie Odry koncert festiwalowy odbył się następnego dnia w Konzerthalle Carl Philipp Emanuel Bach we Frankfurcie. W wieczorne zatytułowanym *Von der freyen*

Fantasie wystąpili: Ana-Marija Markovina (Hammerflügel), Beni Araki (klawesyn), Edward Wolanin (fortepian) oraz Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej pod dyрекcją Czesława Grabowskiego. Koncert – w symbolicznym geście – rozpoczęła wykonana dzień wcześniej *Symfonia F-dur* Wq 183 C.Ph.E. Bacha, a następnie zabrzmiał jego *Koncert podwójny Es-dur na klawesyn i pianoforte* Wq 47 i *Fantasia fis-moll „C.Ph.E. Bachs Empfindungen”* Wq 67. Drugą część koncertu wypełniły: *Polonez-Fantazja As-dur i II Koncert fortepianowy f-moll* Chopina. Ideą koncertu było zestawienie różnych instrumentów, stylistyk i kompozytorskich osobowości. Szeroki – jak na możliwości jednego koncertu – wybór gatunkowy z dorobku Carla Philippa Emanuela i Chopina dał wgląd nie tylko w zasadnicze różnice kształtowania przez nich formy i operowania odmiennymi co do zakresu środkami wyrazowymi, ale ujawnił też pewne pokrewieństwa obecne w subtelnie kreślonych niuansach melodycznych czy harmonicznym. Byłyby one czytelniejsze, gdyby również w wykonaniu przez Anę-Mariję Markovinę *Poloneza-Fantazji* uwzględnić instrument z epoki: dźwięk pianoforte, na którym grała ona w *Koncertcie podwójnym* byłby z pewnością bliższy realnemu brzmieniu z epoki Chopina niż potencjał współczesnego Steinwaya. Założone w idei koncertu porównanie, dzięki wzbogaceniu go o warstwę kolorystyczną, byłoby wówczas bardziej wiarygodne.

Interpretacja Edwarda Wolanina *Koncertu f-moll* mogła zachwycić perfekcją techniczną i spójnym budowaniem dramaturgii wielkiej formy. Zbyt częste jednakże i niezrozumiałe były zabiegi dynamizowania (przyspieszania) gry, niepozwalające na wygranie, a właściwie „wyśpiewanie” fraz w odcinkach lirycznych i przez to burzące naturalność prowadzenia chopinowskiej narracji. Na bis, jakby niwelując ów niedosyt, artysta subtelnie oddał wewnętrzną, muzyczną logikę *Preludium Des-dur* z op. 28 i *Barkaroli Fis-dur* Chopina, ukazując zarazem ich bogate płaszczyzny kolorystyczne.

Jeszcze tego samego wieczoru wystąpiło trio Andrzeja Jagodzińskiego (Andrzej Jagodziński – fortepian, Czesław Bartkowski – perkusja, Adam

Cegielski – kontrabas). Transformowane na konwencją jazzową kompozycje Chopina, znakomicie i z wielkim wyczuciem niuansów chopinowskiego idiomu uchwycone w warstwach melodycznej, harmonicznym czy rytmicznej, stanowiły ciekawe *postscriptum* tradycyjnego koncertu chopinowskiego. Szkoda, iż tak znakomity zespół ograniczył swój występ do jednego seta, z drugiej zaś strony trudno byłoby spędzić więcej czasu – koncert zapowiadano jako „noc jazzową” – na stojąco (dlaczego publiczności zaproponowano jedynie miejsca stojące przy barowych stolikach?). Trio Andrzeja Jagodzińskiego warte byłoby z pewnością indywidualnego potraktowania i osobnego wieczoru.

Tradycyjnie już na estradach nadodrzańskim festiwalu pojawiają się artyści zza wschodniej granicy (to swoiste dziedzictwo Międzynarodowych Spotkań Muzycznych Wschód-Zachód – polskiego składnika dzisiejszych Dni Muzyki nad Odrą). W zielonogórskiej Filharmonii (a dzień później we Frankfurcie) wystąpiło białoruskie trio instrumentów ludowych Liritsa (Trofim Antipow – bajan, Elena Sochnewa – cymbały, Andriej Sochnew – białajka kontrabasowa). W programie (co też jest już niemal zasadą występów tego rodzaju zespołów) znalazła się klasyka (Bach, Rossini, Albeniz, Repnikow) i wyrafinowane stylizacje tanga Astora Piazzolli, które w drugiej części dopełnione zostały efektownymi opracowaniami melodii ludowych (m.in. Kuzniecowa, Smirnowa, Nowikowa, Kowalowa, Soczniewa, Cygankowa). Znakomita, błyskotliwa, wykorzystywana z największą swobodą technika, naturalna muzykalność i spójność gry zespołowej – ujawnione już w części pierwszej, w drugiej poszerzyły się zwłaszcza o równe im co do intensywności i poziomu poczucie humoru członków zespołu. Pozornie z sobą niezwiązane, cechy te skojarzone w konkretnych utworach budowały ich wyraz, wdzięk i oryginalność. W ich orbicie ukazywały się kolejne atuty: aktorskie zdolności Andrieja Sochnewa, umiejętność oddania wyrazistych stylizacji (w suicie *Podróż szarego capa* J. Kukuzenki) czy wręcz zabawa w grę muzycznych skojarzeń w parafrazie mozartowskiej.

Niezwykłą aurę miał recital schumannowsko-chopinowski. Wyobraźni przywołującej atmosferę słuchania muzyki właściwą epoce obu rówieśników sprzyjały bowiem realia koncertu: kilkudziesięcioosobowe grono publiczności (kojarzące się z gośćmi romantycznego salonu muzycznego), wnętrze Kurfürstensaal we frankfurckim Museum Viadrina oraz przede wszystkim pochodzący z lat czterdziestych XIX stulecia fortepian berlińskiej firmy G.Perau (z własnej muzealnej kolekcji instrumentów historycznych Reka). Walorem tego instrumentu było miękkie, pastelowe i wyrównane w skali brzmienie. Jego charakter zupełnie nie sprawiał wrażenia obcowania z „dźwiękiem muzealnym” (co niekiedy bywa przykrym elementem wykonawstwa na dawnych instrumentach klawiszowych). Subtelny, o ograniczonej skali dynamicznej, ale szlachetny dźwięk pozwalał wprowadzić na doświadczenie i uświadomienie odnośnego, historycznego dystansu, ale zarazem umożliwiał zapomnienie o nim, gdy po kilku chwilach następowała pełna akceptacja owej historycznej kolorystyki dźwiękowej i poddanie się jej naturalnemu urokowi. Bohaterką wieczoru była rosyjska pianistka Anna Malikowa. Dysponując doskonałą techniką i grając z niezwykłą muzykalnością, umiała stworzyć wyrazistą i przekonującą formułę interpretacyjną zarówno dla miniatur (walce z op. 34 Chopina, *Karnawał* Schumanna), jak i dla utworów o szerszej zakrojonej formie i dramatycznie złożonej narracji (*Nokturn c-moll* op. 48, *Andante spianato* i *Wielki Polonez Es-dur* Chopina czy *Arabeska* Schumanna). Skwapliwie i w pełnym zakresie artystka wykorzystywała możliwości instrumentu: selektywność dźwięków w błyskotliwych, perlistych epizodach *brillante*, ciepły, miękki ton w prowadzeniu lirycznej kantyleny czy nawet (tu – dzięki precyzyjnej artykulacji – poszerzając potencjał instrumentu) osiąganie sporej przestrzeni dynamicznej. Niekiedy artystka wręcz jakby przekomarzała się z fortepianem, próbując, czy sprostą on jej technicznemu bądź interpretacyjnemu wymaganiom. W każdym przypadku udawało jej się uzyskać tu pełne, techniczno-estetyczne porozumienie. Brzmieniowy klimat recitalu wywo-

ływał wrażenie, iż to nie dawny instrument znalazł się w naszych czasach, by przywołać przeszłość, ale że to my-słuchacze – niesieni „wieloskładnikową” aurą wieczoru – udaliśmy się w muzyczną podróż w czasie. Recital Anny Malikowej był z pewnością jedną z artystycznych kulminacji festiwalu.

Polską część Dni zamykał koncert, w którego programie znalazła się *II Symfonia c-moll „Zmartwychwstanie”* Mahlera. Zespół wykonawców tworzyli: Izabela Matuła (sopran), Anna Lubańska (mezzosopran), Chór Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie przygotowany przez Szymona Wyrzykowskiego, Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej i Orkiestra Kameralna „Wirtuozi Lwowa” wsparte muzykami z Bautzen. Dyrygował Czesław Grabowski. Już samo podjęcie wykonania w Zielonej Górze tego rodzaju dzieła można by uznać za wydarzenie. I takim ono było: muzycy wywodzący się z różnych zespołów stworzyli spójny organizm. Niekiedy jedynie miało się wrażenie, iż bardziej wyraziście brzmiały fragmenty, w których ekspozowane były solistycznie instrumenty orkiestry, niż te, w których wyrazowe i dramaturgiczne kulminacje wynikały ze współdziałania całego zespołu. Dobrze zaprezentował się chór, choć z pewnością jego usytuowanie poza estradą nie sprzyjało uzyskaniu optymalnego brzmienia.

Finałowy koncert Dni Muzyki nad Odrą odbył się we Frankfurcie. Idea koncertu *Jeu de Paris – święte, świeckie miasto*, przyniosła chyba dość przypadkowy wybór kompozytorów i utworów (w ten sposób z Paryżem zwiążać można by bardzo wielu twórców): uwerturę *Faust* i *Chór pielgrzymów z Tannhäusera* Wagnera, orkiestrową wersję cyklu pieśni *Letnie noce* Berlioza oraz *Symfonię psalmów* Strawińskiego. Wystąpili: Friederike Meinel (mezzosopran), chóry frankfurckiej Singakademie, orkiestra Symfoniczna Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy. Całość poprowadził Rudolf Tiersch. Sugestywnie zabrzmiał chór pielgrzymów, wywołując (mimo braku oprawy scenicznej) wrażenia niemal „ilustracyjno-fabularne”, zaś interesujący, bogaty wyrazowo i kolorystycznie

rodzaj głosu, umiejętnie wykorzystany w warstwie interpretacyjnej, zaprezentowała Friederike Meinel.

To jedynie wybór z festiwalowych propozycji. Żal zwłaszcza niemożności zobaczenia kilku: przedstawienia baletowego *Mały Książę* w inscenizacji Gregora Seyfferta, form słowno-muzycznych (*1001 marzeń* z muzyką Stockhausena, Strawińskiego i Rimskiego-Korsakowa czy *Światła księżycy* z muzyką Schönberga i Schumanna) oraz opery Philipa Glassa *Zagłada domu Usherów*. W takiej sytuacji wnioski ogólniejsze będą wycinkowe, ich formułowanie wspiera jednakże fakt, iż ogląd całości dla nikogo z potencjalnych odbiorców nie byłby możliwy. Zatem, po pierwsze: Dni Muzyki nad Odrą to przedsięwzięcie organizowane z wielkim zaangażowaniem i rozmachem, starające się zbudować forum programowo zróżnicowane i atrakcyjne (czytaj: spełniające oczekiwania odbiorców), a zarazem artystycznie ambitne i wyrafinowane (czytaj: mające znaczącą, czy nawet centralną pozycję na kulturalnej mapie polsko-niemieckiego środkowego Nadodrza). Po drugie: festiwal ma odmienny kształt po obu stronach Odry. Po stronie polskiej był to festiwal *stricte* muzyczny (koncerty) i w zasadzie dość konwencjonalny. Po niemieckiej więcej było różnorodności, muzyka wchodziła w relacje z baletem, teatrem i filmem, była obecna w działaniach dla dzieci: paleta propozycji była tu bez porównania szersza (jakie są tego przyczyny: organizacyjne, finansowe, kulturowe?). Po trzecie: w Roku Chopinowskim i Schumanowskim w rozsądnych granicach akcent położono na muzyce obu rówieśników. Po czwarte: cennym elementem festiwali są idee: „muzyka i...” czy „muzyka w kontekstach”, które stanowią podstawę znacznej części programu. To idee niezwykle owocne i trafne z perspektywy oferty kierowanej do szerokiego kręgu odbiorców. Muzyka wpisana tu zostaje w rozmaite związki z innymi dziedzinami

lub tworzy relacje w ramach własnej różnorodności (w bieżącej edycji: Chopin-Schumann i chyba nie do końca udane: zestawienie C.Ph.E. Bacha i Chopina czy *koncert paryski*). Po piąte: w prezentowaniu muzyki o najbardziej wyrafinowanym kształcie i równie wyrafinowanej formie zabrakło niekiedy przysłowiowej „kropki nad i”. Tu bowiem znaczenie mają detale, niuanse i subtelności. Drażniąca była usterka kilku dźwięków na recitalu Anny Malikowej (obecność konserwatora-stroiciela podczas koncertów na dawnych instrumentach klawiszowych jest nieodzowna), zasadniczej konsultacji merytorycznej i korekty językowej wymagałyby polskie tłumaczenia w niemieckiej wersji programu, przy tym zupełnie odmiennie koncepcyjnie, treściowo i graficznie są wersje: polska i niemiecka, co sprawia wrażenie braku wspólnej identyfikacji festiwalu po obu stronach granicy (może rozwiązaniem byłby jeden wspólny, kompletny, dwujęzyczny program-przewodnik festiwalowy?). Po szóste: pytanie, które dotyczy całkiem zasadniczej idei festiwalu i które zadaje sobie chyba wielu organizatorów podobnych przedsięwzięć – czy kolejne edycje mają być każdorazowo swoistymi „mozaikami” propozycji (zgodnie z zasadą: „wszystkiego po trochu”, co jednak może grozić uzyskaniem „grochu z kapustą”), czy ujęciami bardziej sprofilowanymi, ukierunkowanymi repertuarowo i stąd mającymi własną, a zarazem bardziej wyrazistą formułę?

PS

Podczas festiwalu proszono słuchaczy i widzów o wypełnienie ankiet na jego temat. Jak mają się one do powyższych refleksji? Gdyby organizatorzy zgodzili się na ujawnienie choćby części z wrażeń publiczności, byłby to ciekawy materiał porównawczy, a zarazem okazja do wglądu w kulisy współczesnego rynku kultury.

Chopin dla każdego?

Za sprawą Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina¹ i jego przyjaciół obchodzimy w tym roku wielką uroczystość – dwusetne urodziny Fryderyka Chopina, nazwane Rokiem Chopinowskim. I bez wątplenia jest to wydarzenie imponujące, zachwycające i różnorodne... Osobę żądną sprawozdania z tego, co już się dokonało, oraz oczekującą na zapowiedzi odsyłam do źródeł². Ja natomiast, będąc baczным obserwatorem, a niekiedy uczestnikiem różnego rodzaju przedsięwzięć z Chopinem związanych, spróbuję uzasadnić postawione w tytule pytanie.

W Polsce, jeszcze do niedawna jedynie właściwym sposobem prezentacji muzyki Chopina była jej wersja oryginalna. Niewielu śmiałków odważyło się ją wykonać, zmieniając oryginalny tekst muzyczny czy (oraz) obsadę wykonawczą (np. zespół *Novi Singers*). Chopin pisał na fortepian solo, z towarzyszeniem orkiestry, wiolonczeli, na głos z towarzyszeniem fortepianu. Natomiast obce jego muzyce było brzmienie: solowych skrzypiec, fletu, klarnetu, saksofonu, bałabajki, akordeonu, orkiestry mandolinowej, orkiestry dętej, zespołu jazzowego. Muzyka Fryderyka nie była przeznaczona do tańca, mimo iż pisał wale i polonezy. Należało jej słuchać w poważanym miejscu, z estymą i w otoczeniu szacownego audytorium.

Chopin jest dla nas symbolem polskości, z nieodłącznym mazowieckim pejzażem w tle. I nawet dziś, niemal każdy na hasło „Chopin” ma przynajmniej jedno z poniższych skojarzeń – „brzmienie fortepianu”, „Etiuda rewolucyjna”, „Marsz żałobny”, „Polonez A-dur”, „wielki patriota, żyjący na obczyźnie, tęskniący za Polską”. Jest to pokłosie naszej edukacji kulturalnej, w efekcie której społeczeństwo polskie uwierzyło, że muzyka Chopina nie jest dla wszystkich, ale jedynie dla wąskiego grona fachowców, specjalistów. Skoro tak, to na pewno jest to muzyka trudna i niezrozumiała. Ale czy na pewno?

Historia pokazuje, że choć Chopin nie tworzył z myślą o szerokim odbiorcy, to jednak jego muzyka była powszechnie znana. Dziewiętnastowieczna Europa kochała Chopina, nie tyle w reakcji na koncerty z jego oryginalną muzyką (tych było niewiele), ale za sprawą swoistej mody, wyrażającej się w powszechnym domowym muzykowaniu, charakteryzującym przede wszystkim Anglię, Niemcy i Francję. I już wówczas nie udało się uchronić muzyki Chopina od prób „zniesztalania”. Zjawisko to sygnalizował Michał Biernacki w specjalnym numerze „Echa Muzycznego...”, poświęconym pięćdziesięcioleciu śmierci kompozytora:

¹ W skrócie: NIFC.

² <http://pl.chopin.nifc.pl/institute>

[...] walce, mazurki, nokturny, polonezy, diversa, wyjątki, ba – nawet etiudy, reprezentują w przeróbkach tandetnych zwykle, rzemieślniczych, nie liczących się ani wyborem rzeczy, ani z właściwościami „uszcześliwanego” przez nie instrumentu, a jakże często wykoślawiających i maskujących pomysły Rafaela muzycznego – jak go nazwał Heine³.

Pół wieku później K. Kobylańska określiła przeróbki dzieł Chopina jako „piękności z przyprawianymi nosami, różowane, z poobcinanymi nogami, albo na szczudłach”⁴. Szerzej problem chopinowskich transkrypcji został unaoczniiony dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku za sprawą muzykologów polskich – J. M. Chomińskiego i T. D. Turło. W wyniku swoich badań ukazali oni ogrom wydań przeróbek dzieł Chopina, niemal czternastokrotnie przewyższający liczbę opracowanych oryginałów (w najnowszych doniesieniach słyszymy o liczbie ok. czterdziestokrotnej!). Wychodząc naprzeciw temu społecznemu zapotrzebowaniu, ogromna rzesza muzyków sięgnęła po chopinowski pierwowzór, a byli wśród nich najwyższej miary kompozytorzy (m.in. F. Liszt, M. Karłowicz, F. Busoni, M. Reger) i wykonawcy (m.in. F. Kreisler, P. Sarasate, L. Godowski), ale przede wszystkim muzycy, kształtujący ówczesną kulturę muzyczną, których nazwiska nie są dziś znane. Przyczyn takiej działalności popularyzatorskiej było zapewne wiele, po muzykę Chopina sięgano z pobudek osobistych (przyjaźń z Chopinem), repertuarowych (chęć poszerzenia swojego repertuaru o utwory już znane i cenione), dydaktycznych (popularyzacja muzyki Chopina przez inne medium wykonawcze), a nawet komercyjnych (moda na Chopina, na jego muzykę, a co za tym idzie – zyski z rozpowszechniania tych opracowań). O tej ostatniej pisał nawet sam Chopin: „[...] Co się tycze mazurów z moich

tematów, kupiecka chęć zysku przemogła”⁵. Uogólniając, muzycy koncertujący i kompozytorzy tworzyli wersje artystyczne – popisowe, a wszyscy inni – opracowania ułatwione i wersje na fortepian na cztery ręce. Te ostatnie służyły dwóm podstawowym celom: dydaktyce w stopniu elementarnym oraz popularyzacji muzyki „wysokiej”.

Skoro wiek XIX tak chłonał tę muzykę, odważnie podejmował tematy, wykonywał ją w wersjach czasem nieudolnych, to dlaczego wiek XX i czasy obecne mają być inne? Można by rzec, że dzisiaj jest podobnie, z jednym zastrzeżeniem – miejsce „wykonawcy domowego” zajął „słuchacz domowy”. Dzisiaj mało kto potrafi grać na fortepianie, flecie, skrzypcach (nawet na podstawowym poziomie), natomiast wszyscy potrafią obsłużyć sprzęt audio-video. Dlatego przede wszystkim słuchamy i patrzymy na równocześnie odbywający się spektakl z udziałem światła, ruchu, gestu, słowa, bo sama muzyka Chopina już nie wystarcza. Wobec oczekiwania dzisiejszych „domowych odbiorców” i z uwzględnieniem ich różnorodnych gustów mamy przyzwolenie na dokonywanie szeregu wariantów Chopinowskiego dzieła – na nutę folkową, jazzową, do dziecięcych zabaw ruchowych, do realizacji scenicznych – baletowych, operowych. Chopin jest dla każdego, na miarę jego zainteresowań i wrażliwości. Zatem i dzisiaj możemy zbliżyć się do jego muzyki częściej za pośrednictwem repliki niż oryginału (możemy ją zatem poznawać w chronologicznym odwróceniu). A każda z tych replik jest kulturowym znakiem czasu, w którym powstała. I tak, jak dziś niewielu zna dziewiętnastowieczne aranżacje etiud Chopina na flet solo (w opr. F. Büchnera), czy też opracowania wokalne o wdzięcznych tytułach *Taniec amorków* (*Walc Des-dur* op. 64 nr 1 w oprac. M. Roedera), *No other love* (*Etiuda E-dur* op.10 nr 3 w oprac. B. Russela), *Die Welt is so schön* (*Etiuda E-dur* op.10 nr 3 w oprac. A. Rosenstengela),

3 M. Biernacki, *Transkrypcje*, „Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne” 1899, nr 41, s. 488.

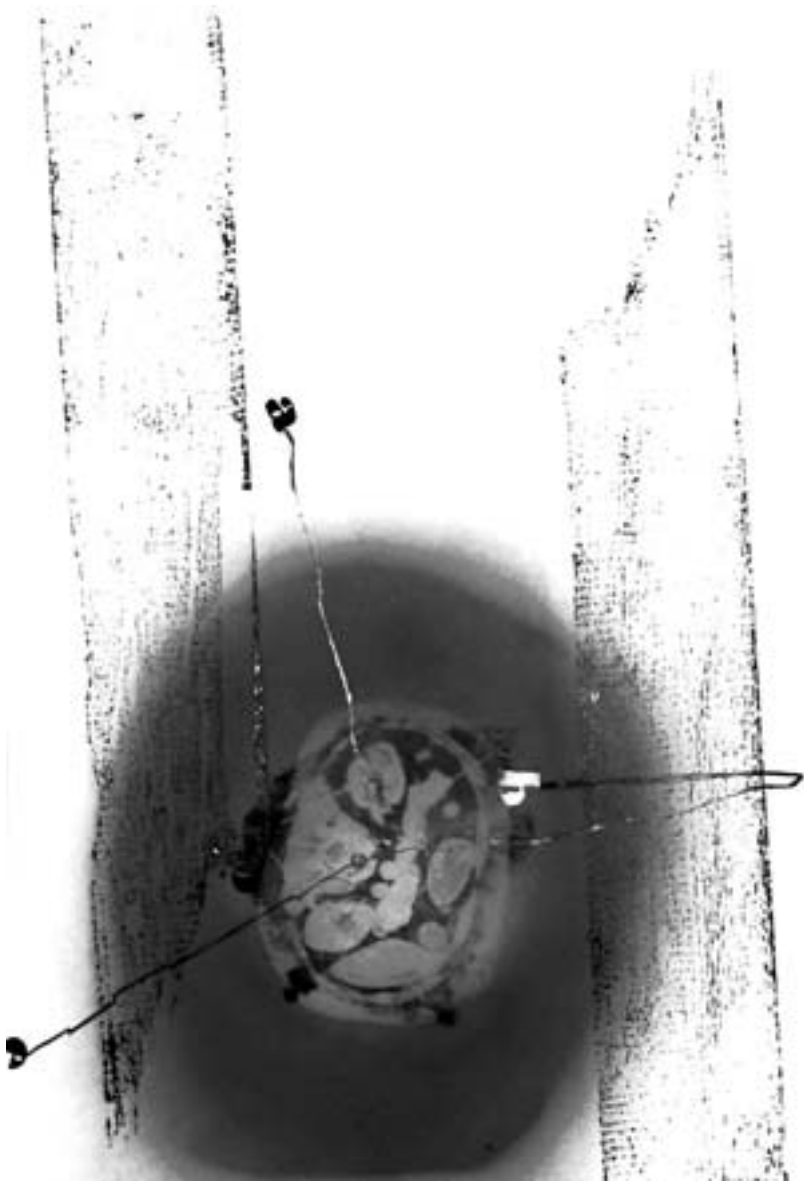
4 K. Kobylańska, *Transkrypcje Mazurków Chopina*, „Życie Śpiewacze” 1951, nr 5/6, s. 8. Autorka artykułu posłużyła się słowami Chopina (z listu do rodziny, Paryż 1847), które odnosiły się do Kolbergowskich opracowań melodii ludowych.

5 Fragment listu do Tytusa Wojciechowskiego z dnia 17.04.1830 r.

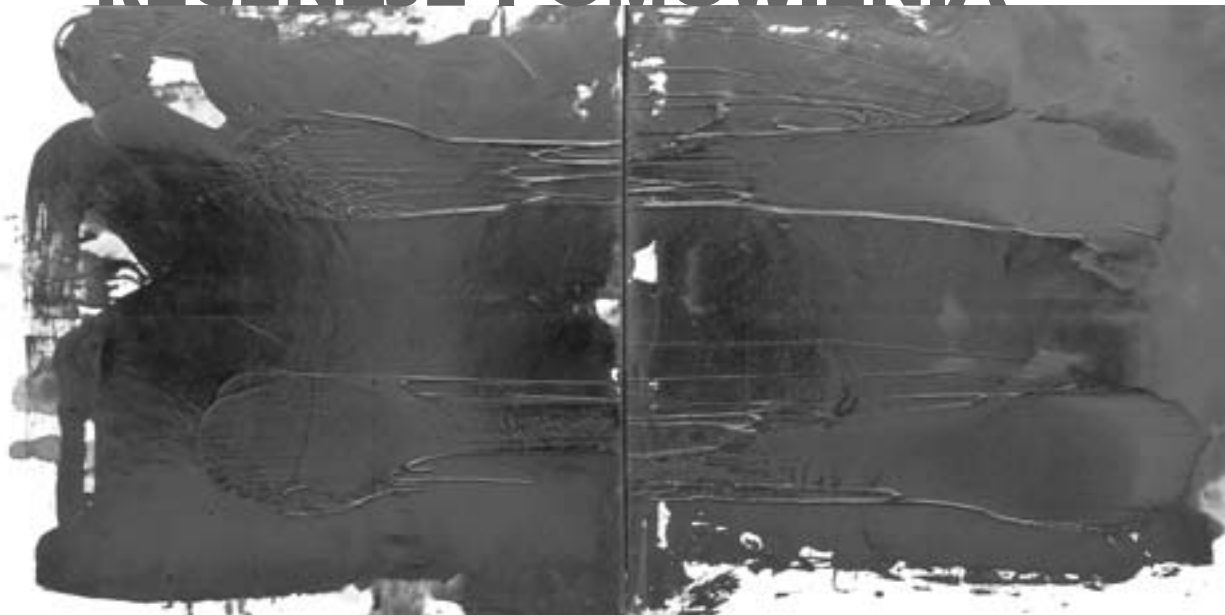
tak w przyszłości w zapomnienie mogą pójść przeróbki powstające współcześnie.

Dla mnie wzorem niedoścignionym, ideałem, jest chopinowski oryginał wykonywany na instrumentach z epoki (nieoceniona w tym względzie jest seria płytowa „The real Chopin”). Przysłuchuję się również aranżacjom chopinowskim (np. wszech-

obecnym dzisiaj jazzowym opracowaniom), w każdej z nich szukam – swoistej kontynuacji (?), wersji doskonalszej od oryginału na miarę *Obrazków* z *wystawy* Musorgskiego w orkiestrowej wersji Ravela (?) i ...wracam do tytułowego pytania. Mimo to fascynują mnie te próby siłowania się z Geniusem.



RECENZJE I OMÓWIENIA



Ora et labora

Heinrich von der Haar, *Mein Himmel brennt*, KaMeRu Verlag 2010, 460 Seiten.

Ora et labora – Bete und arbeite. Dieser Spruch stammt aus dem Spätmittelalter, und genau dorthin fühlt man sich versetzt, wenn man den Debütroman *Mein Himmel brennt* von Heinrich von der Haar liest.

Wie steter Landregen durchdringt das Gebot die Geschichte des Jungen Heini, der im erzkatholischen Münsterland der Fünfziger und Sechziger Jahre aufwächst. „Im Münsterland plästert’s oder es läuten die Glocken“ – doch auch wenn die Sonne scheint oder die Kirchenglocken schweigen, wird man das Gefühl steten Regens und bedrückender Enge nicht los.

„Eines Tages renn ich übern Horizont zum Ende der Welt“, nimmt Heini sich vor. Da ist er gerade

vier Jahre alt, hat drei große Brüder, drei ältere Schwestern und zwei jüngere Geschwister, zu denen sich in den kommenden Jahren zwei weitere gesellen werden.

„Schwiech still!“, schreit oder flüstert der Vater, entmutigt, genervt oder wutentbrannt. Ob Heini nach den jüdischen Einwohnern fragt, die früher in Steinhop lebten oder um Taschengeld für die Kirmes bittet; dieses „Schweig!“ donnert durch die Küche und über den Hof. Oft gibt es Prügel, nicht nur Ohrfeigen, nicht nur ein wenig. „Hätt’s Mama bei der Geburt doch in’n Graben gehalten!“, schreit der Vater wieder und wieder, bis Heini ihn zu hassen beginnt. Nur „reich an Kindern“ sind die von der Tanns. Das bestimmt das Leben auf dem Hof,

jedoch nie die Gedanken des Protagonisten oder die Formulierungen des Autors. Leise, wie ein steter feiner Niesel flicht Heinrich von der Haar Sätze oder einzelne Wörter ein, die das Ausmaß der Armut zeigen.

„Karl ist schon im Wasser. Ich rufe und er wirft mir seine Badehose zu. [...] Karls rutschende Badehose zieh ich wieder hoch, geh aus dem Wasser, wechsele die Hose und werf sie (zurück).“

„Vier Wochen nach Weihnachten kommt der eisige Ost geradewegs aus Sibirien, [...] überzieht die schwarzen Holunderbeeren mit Eishäuten und bringt [...] glitzernde Schlafkammerwände.“

Sachlich klingt der Satz und erzählt doch eine ganze Geschichte, innerhalb der Geschichte. Dann wieder „(prickeln) die Schneeflocken wie Brausepulver“, legt die verbitterte Tante Trude „den Kopf seitlich wie eine Drossel, die eine Schnecke am Stein zerschmettert“, und „streiten sich Eichelhäher und Schwarzdrosseln um Pfundsbirnenreste“.

Der Debütroman schafft es, neben der Leidens- und Erlösungsgeschichte des Jungen Heini den später oder glücklicher Geborenen eine Fülle an Informationen zum Alltag eines Bauern der Fünfziger Jahre zu liefern. Detailliert bis zur Brutalität, im Bullenstall oder beim Abendbrot, „Ora et labora“. Der Weg in den Himmel führt nur über Gebet und harte Arbeit.

Mit zehn steht Heini zum ersten Mal auf dem Kirchturm und lässt sich vom dicken Pfarrer die

Welt zeigen. „Münster so nah.“ „Lesen bildet“, sagt der Pfarrer, der Vater verbietet es. Heimlich liest Heini. Wenn er nicht gerade einem Hahn den Kopf abhackt, junge Katzen ertränkt, beim Ferkeln hilft, Kühe melkt oder treibt, Kartoffeln legt, Rüben hackt, Garben bindet oder Heu hievt. Heini ist ein Junge, der schlichtweg *alles* glaubt und das mit ganzer Kraft. Es fällt es ihm schwer zu zweifeln.

„(Ich) saug Akazienblüten-Rüssel aus, der Nektar schmeckt süßer dieses Jahr. Nach dem Frost und Hochwasser duftet's Gras frisch. Meine Angst vor der Flut ist weg. Irgendwas stimmt nicht dran, dass Gott an allem Schuld ist.“

Es gibt Seiten, auf denen es stürmt und schneit in Steinhop, „ein harter Ost“ pfeift, es gießt wie aus Eimern und man wundert sich nachher, dass auch die Rede von heißen Sommern ist.

Mit vierzehn lernt Heini Isolda kennen, ein Mädchen aus einem Nachbardorf. Sie will keinen Bauern und Heini verspricht ihr weiterzulernen, schafft durch ein „Wunder“ (nach all den vergeblichen Gebeten um Unterstützung) die Aufnahmeprüfung für die Oberschule in Münster und wird vom Vater halb totgeschlagen, weil er den Hof verlassen will.

Dann brennt der Himmel. „Ach was, meine Hölle brennt!... Es ist vorbei. Ich weiß nicht genau was, aber es ist vorbei.“

Rita König

Ora et labora

Heinrich von der Haar, *Mein Himmel brennt*, KaMeRu Verlag 2010, 460 s.

Ora et labora – módl się i pracuj. Hasło to pochodzi z późnego średniowiecza i czytelnikom debiutanckiej powieści Heinricha von der Haara *Mein Himmel brennt* (dosł. „Moje niebo płonie“) może wydawać się, że tam się właśnie przenieśli.

Codziennosc chłopca o imieniu Heini, wychowywanego w arcykatolickim Münsterlandzie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, jest przesiąknięta tym nakazem. „W Münsterlandzie albo leje, albo dzwonią dzwony“ – ale nawet kiedy świeci słońce,

a kościelne dzwony milczą, nie można pozbyć się klaustrofobicznego poczucia, że wciąż pada.

„Pewnego dnia przebiegnę poza horyzont, na koniec świata” – postanawia Heini. Ma wtedy cztery lata, trzech starszych braci, trzy starsze siostry i jeszcze młodszego brata i młodszą siostrę, do których w najbliższych latach dołączy kolejna dwójka dzieci.

Ojciec, zrezygnowany, zdenerwowany lub wściekły krzyczy albo szepcze tylko „bądź cicho!”. Nieważne, czy Heini pyta o żydowskich sąsiadów, którzy kiedyś mieszkali w Steinhop, czy prosi o kilka groszy na bułkę z kremem – przez kuchnię po podwórko wciąż słyszy tylko grzmiące „cicho!”. Często dostaje łanie, nie tylko po uszach, i nie tylko klapsy. „Gdybyż was matka rodziła od razu do grobu!” – woła wciąż ojciec, aż wreszcie Heini zaczyna go nienawidzić. Rodzina von der Tanns jest bogata – ale tylko dziećmi. I właśnie to określa sposób życia w gospodarstwie – ale nie myśli bohaterów ani sformułowania autora. Niczym cichy deszcz spływają na czytelnika zdania albo nawet poszczególne słowa Heinricha von der Haara, które ukazują cały wymiar nędzy.

„Karl jest już w wodzie. Wołam go, więc rzucił swoje kąpielówki. [...] Podciągam opadające wciąż kąpielówki Karla, wychodzę z wody, przebieram się i rzucam mu je z powrotem.”

„Na cztery tygodnie przez Bożym Narodzeniem przychodzi ostry mróz prosto z Syberii, [...] okrywa czarny bez cieniutką warstwą lodu, którą [...] połyskują też ściany sypialni.”

To zdanie brzmi rzeczowo, a przecież opisuje całą historię, historię w historii. A potem znowu „śnieżynki szczypią jak proszek”, rozgoryczona ciotka Trude „kładzie głowę na bok jak drożdż rozgniatający ślimaka na kamieniu”, a potem „te sójki i kosy kłócą się o ogryzek gruszek”.

Debiutancka powieść o historii cierpienia i wyzwolenia chłopca o imieniu Heini dostarcza później lub szczęśliwiej urodzonym czytelnikom wiele informacji o codzienności wiejskiego życia w latach pięćdziesiątych. Jest szczegółowa aż po brutalność, czy to w oborze, czy przy kolacji, „ora et labora”. Droga do nieba prowadzi tylko przez modlitwę i ciężką pracę.

W wieku dziesięciu lat Heini po raz pierwszy stoi na wieży kościelnej i słucha opowieści grubego księdza o życiu. „Münster tak blisko.” „Książki kształcą” – mówi ksiądz, a ojciec zabrania czytać. Heini czyta w tajemnicy. O ile akurat nie odcina głowy kogutowi, nie topi kociaków, nie pomaga przy narodzinach prosiaków, nie doi albo nie pasie krów, nie sadzi ziemniaków, nie zbiera buraków, nie wiąże snopów ani nie nosi siana. Heini to chłopiec, który wierzy dosłownie we wszystko, i to z pełną mocą. Wątpliwości przychodzą z trudem.

„Spijam nektar z akacji, jest w tym roku słodszy. Po mrozach i powodzi trawa pachnie świeżością. Przestałem się bać zalania. To chyba nie może być prawda, że winę za wszystko ponosi Bóg.”

Są takie strony, na których w Steinhop szaleją burze i pada śnieg, wieje „mroźny wschodni wiatr”, leje jak z cebra, aż się człowiek dziwi, że gdzieś dalej jest też mowa o gorących latach.

W wieku czternastu lat Heini poznaje Isolde, dziewczynę z sąsiedniej wioski. Ona nie chce chłopca, więc Heini obiecuje jej, że będzie dalej się uczył, „cudem” (po wszystkich daremnych modlitwach o wsparcie) zdaje egzaminy do liceum w Münster, a ojciec bije go do nieprzytomności za to, że chce odejść z gospodarstwa.

A potem niebo płonie. „Ależ skąd, to pali się moje piekło... Skończyło się. Nie wiem dokładnie, co, ale się skończyło.”

Rita König

Arbeit ist ein Teil des Lebens

Peter Plöger, *Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten, Viel gelernt und nichts gewonnen? Das Paradox der neuen Arbeitswelt*, Carl Hanser Verlag München 2010.

Für die Eltern- und Großelterngenerationen hieß es: „Leben um zu arbeiten“; diejenigen, die sich bewusst gegen diese Maxime entschieden, formulierten: „Arbeiten um zu leben“.

Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten, um die es in dem gleichnamigen Sachbuch von Peter Plöger geht, würden weder den einen noch den anderen Satz unterschreiben. Für sie, so der Autor, „läuft das Leben und die Arbeit läuft mit“.

Als Arbeitssammler bezeichnet Peter Plöger (sehr vereinfacht zusammengefasst) diejenigen, die gleichzeitig verschiedene Erwerbstätigkeiten ausüben. Dabei unterscheiden diese Menschen selten zwischen Arbeits- und Freizeit, denken fast rund um die Uhr und auch noch mit Freude an ihre solosebständige Tätigkeit, glaubt man dem Autor, haben Spaß am Tüfteln und genießen ihre Freiheit, auch wenn die bei näherer Betrachtung gar nicht so groß ist.

In sieben Kapiteln legt Peter Plöger mithilfe von Statistiken und Auszügen aus Interviews dar, wie sich die (Arbeits-)Welt der Elterngeneration verändert hat. Zeitarbeit, Leiharbeit, wechselnde Beschäftigungen, als Brotjob, als Nebentätigkeit, als Mittel zum Zweck sind heute, so beweist der Autor anhand zahlreicher Untersuchungsergebnisse aus dem In- und Ausland, kein Phänomen Einzelner mehr und schon gar nicht in fehlender oder unzureichender Ausbildung begründet. Die Arbeitssammler, die der Autor in seinem Buch vorstellt, verfügen allesamt über einen Hochschul- oder gleichwertigen Abschluss – und dennoch stehen sie finanziell am Existenzminimum.

Sie sind die „Modellathleten der neuen Arbeitswelt“, doch nicht nur das, sie sind sogar ein „Krisenreaktionsmodell“.

Ihre Anpassungsfähigkeit, ihre Kreativität und nicht zuletzt ihr Wissen sorgen neben einem hohem Maß an Selbstdisziplin dafür, dass sie

weder resignieren noch in Existenzangst gelähmt sind, sondern Mittel und Wege suchen (und finden), die ihnen eine Beschäftigung und vor allem einen Sinn geben. Damit unterscheiden sie sich wesentlich von all den „Prekären“, die in den Medien dargestellt werden – und leben doch auf einem ähnlichen (finanziellen) Niveau.

In den ersten Kapiteln überwiegt die Unentschiedenheit des Autors, der sich selbst zu den Arbeitssammlern zählt: Sind die in prekären Verhältnissen lebenden *Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten* zu bedauern, weil sie sie zuwenig Geld zur Verfügung haben, ihre Einkünfte nicht langfristig planen können und sie von etlichen Privilegien „Normalbeschäftigter“ ausgeschlossen sind – oder sollte man sie eher beneiden dafür, dass sie ihre Zeit relativ frei einteilen und bei jeder Tätigkeit neue Erkenntnisse, Erfahrungen und Lebensfähigkeiten erwerben? Damit schafft dieses Buch eine Diskussionsgrundlage: Man kann die persönlichen Geschichten als Provokation Einzelner lesen, die lieber frei und arm als abhängig und weisungsgebunden arbeiten und leben – und sich fragen, ob es keine anderen Probleme gibt.

Man kann überlegen, ob Selbstausbeutung, Verschwimmen von Arbeits- und Freizeit, Rückbau von Privilegien nicht auch zunehmend für Festangestellte in Hierarchien gelten. Man kann auch begreifen, dass alle Anstrengungen, unseren Kindern mit höherer Bildung auch Sicherheit mit auf den Weg zu geben, an den sich veränderten Arbeitsbedingungen unserer Zeit scheitern müssen.

Man kann sich – und die Politiker – fragen, weshalb jemand, der gut ausgebildet, hoch motiviert, eigenverantwortlich, kreativ und diszipliniert auf ein festgelegtes Ziel hinarbeitet, ohne den Begriff „Überstunden“ überhaupt zu benutzen,

nicht die gleiche finanzielle Entschädigung für seine Leistung erwarten darf wie derjenige, der innerhalb einer bestehenden Hierarchie und innerhalb der gesetzlich bestimmten Arbeitszeit eine ähnliche Tätigkeit ausübt.

Peter Plöger stellt in seinem Buch nicht nur die positiven und negativen Auswirkungen von Arbeitssammlern dar, sondern setzt sie ins Verhältnis zu den gesamtgesellschaftlichen Umwälzungen der letzten Jahre und Jahrzehnte, prognostiziert einen Anstieg für die Zukunft – und fordert eine politische Reaktion, eine Anerkennung

dieses Erwerbsmodells als „ein(es) unter vielen anderen, eines von mehreren neuen Normalarbeitsverhältnissen“.

Der Autor appelliert an die Politiker, nicht länger zu versprechen, dass es „Arbeit für alle“ geben wird. Die gesellschaftliche Anerkennung einer veränderten und sich weiter verändernden Arbeitswelt ist die Voraussetzung dafür, die sozialen Sicherungssysteme an die neuen, flexiblen Arbeitsbedingungen anzupassen.

Rita König

Praca jest częścią życia

Peter Plöger, *Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten. Viel gelernt und nichts gewonnen? Das Paradox der neuen Arbeitswelt*, Carl Hanser Verlag München 2010.

Dla pokoleń naszych rodziców i dziadków było jasne: „żyć, żeby pracować”; ci, którzy świadomie odrzucali tę maksymę, mówili: „pracować, żeby żyć”.

Arbeitssammler, Jobnomaden und Berufsartisten (tytuł książki, który można oddać jako: „ciutacze etatów, wagabundy pracy, zawodowi artyści” – przyp. tłum.), a więc bohaterowie książki Petera Plögera, podpisałiby się pod jeszcze jednym zdaniem. Dla nich, podobnie jak dla samego autora, „życie płynie, a wraz z życiem płynie praca”.

Jako „ciutacze etatów” Peter Plöger określa (w największym skrócie) osoby, które wykonują jednocześnie wiele zawodów. Rzadko potrafią odróżnić pracę od czasu wolnego, niemal wciąż, i do tego z wielką przyjemnością, myślą o swojej samodzielnej działalności, o ile wierzyć autorowi, uwielbiają rozwodzić się nad drobiazgami i korzystają z czasu wolnego, choć mają go bardzo niewiele.

Peter Plöger w siedmiu rozdziałach, posługując się statystyką oraz fragmentami wywiadów, pokazuje, jak zmienił się świat (pracy) w stosunku do tego naszych rodziców. Jak dowodzi autor na

podstawie wyników licznych badań z Niemiec i innych krajów, praca na dniówki, praca tymczasowa, częsta zmiana zawodów, czy to głównego, czy dodatkowego, nie są dziś, jako środek do celu, czymś rzadkim, i na pewno nie wynikają z braku lub niedoborów wykształcenia. Wszyscy ciutacze etatów, których autor prezentuje w swojej książce, dysponują wykształceniem wyższym lub równorzędnym – a mimo to osiągają dochody równe minimum socjalnemu.

Stanowią oni przykład „modelowych atletów nowego świata pracy”, a może nawet więcej, są „przykładem modelowej reakcji na kryzys”.

Ich umiejętność przystosowania, kreatywność, a przede wszystkim także wiedza, połączone z wysokim poziomem samodyscypliny, pozwalają im nie rezygnować, nie dać się sparaliżować egzystencjalnym lękiem, lecz każą poszukiwać środków i możliwości (i znajdować je) zdobywania pracy, a przede wszystkim nadawania jej sensu. Tym różnią się od „ludzi znajdujących się w krytycznej sytuacji”, prezentowanych w mediach – choć żyją na podobnym poziomie (finansowym).

W pierwszych rozdziałach przeważa jeszcze niezdecydowanie autora, który sam siebie zalicza do ciułaczy etatów: czy należy żałować takich ludzi, bo żyją w krytycznej sytuacji materialnej, wciąż mają za mało pieniędzy, nie mogą długo-terminowo planować dochodów i są wykluczeni z wielu przywilejów „normalnie zarabiających” ludzi, czy raczej można im zazdrościć, że mogą dość dowolnie dzielić swój czas, a z każdym nowym zajęciem zdobywają nową wiedzę, doświadczenie i umiejętności życiowe? Tym samym książka otwiera dyskusję: czy poszczególne historie należy czytać jako prowokacje opowiadających je ludzi, którzy raczej wolą być wolni, choć biedni, niż zależni i związani szczegółowymi wskazówkami – a potem zadać sobie pytanie, czy naprawdę nie ma innych problemów?

Można się zastanawiać, czy wyzysk samego siebie, zamazanie granicy między czasem wolnym a pracą, likwidacja przywilejów, nie są coraz częściej typowe także dla osób pracujących na stałych etatach. Można także zrozumieć, że nasze wysiłki, aby dać naszym dzieciom więcej bezpieczeństwa poprzez wyższe wykształcenie, muszą okazać się płonne w nowych, zmienionych warunkach rynku pracy.

Można zadać sobie – i politykom – pytanie, dlaczego ktoś, kto jest dobrze wykształcony, wysoko zmotywowany, odpowiedzialny, kreatywny i zdyscyplinowany w pracy nad uzyskaniem z góry określonego celu, komu nawet nie przychodzi do głowy pojęcie „nadgodziny”, nie może oczekiwać takiego samego wynagrodzenia za swoje wysiłki, jak osoba, która wykonuje podobne czynności w ramach istniejącej hierarchii i ustawowego czasu pracy?

W swojej książce Peter Plöger nie tylko prezentuje pozytywne i negatywne skutki działania „ciułaczy etatów”, lecz także rzuca je na tło ogólnospołecznych przekształceń minionych lat i dziesięcioleci, prognozuje wzrost ich liczby w przyszłości – i żąda reakcji polityków, żąda uznania takiego modelu zarabiania pieniędzy za „jeden z wielu innych, jeden z wielu normalnych stosunków pracy”.

Autor apeluje do polityków, aby przestali obiecywać, że będzie „praca dla wszystkich”. Uznanie, że oto zmienił się i wciąż się zmienia świat pracy, jest niezbędnym warunkiem dostosowania systemów zabezpieczeń socjalnych do nowych, elastycznych warunków.

Rita König

„Czasem boli gdzieś obok” – o książce *Niczyja* słów kilka

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, *Niczyja*, Gorzów Wlkp. 2010.

Najnowsza książka poetycka Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej wyraźnie wpisuje się w nurt poezji kobiecej (tzw. kategorii gender), czyli opartej na refleksyjności, macierzyństwie i zapisie własnych doświadczeń typowych dla swojej płci. Doświadczeń bolesnych, krwawiących, pełnych łez. Pisząc w takiej poetyce, trudno jest uniknąć kiczu, wyzwolić się z cikliowości tak przecież charakterystycznej dla grafo-manii. Na szczęście książka o intrygującym tytule

Niczyja wychodzi obronną ręką z tego zmagania – zmagania poety z materią języka, z materią tematu.

Dykacja Skorupskiej nie należy do odkrywczych. Raczej wpisuje się w nurt poezji oszczędnej, asce-tycznej nawet. Słów nie jest wiele, podobnie jak i działań na materii słowa. Chodzi bardziej o zapis przeżyć, myśli, niż o popis erudycyjny, którym przecież wybitny językoznawca – jakim autorka jest – mógłby się pochwalić.

W jakimś sensie jest to poezja, która składa wotum nieufności wobec życia, jego wszechogarniającej samotności („Samotność ma wymiar / prostej nieskończonej i takiej samej przed i po / bez początku i końca), szczególnie odczuwalnej w nocy, która potrafi wraz z zachodem słońca przynieść ból. Ból w rekwiizytorni tej poezji jest bardzo silnie akcentowany, skrzący się, skradający o zmierzchu. Ból, który autorka bierze na siebie, by oszczędzić go najbliższemu osobom. Równie naznaczony w tej poezji jest strach: „Mój strach / przychodzi nocą / regularnie / przed snem / z dokładnością do pół sekundy / niemal”.

W świecie bólu i strachu człowiek zaczyna funkcjonować jako jednostka odizolowana, skupiona na sobie i najbliższym świecie, choć jednocześnie bardziej świadoma, że naskórkowy układ odniesienia jest niewystarczający. Trzeba ratować się w archetypie przyrody, w jej kojącym oddziaływaniu. Do głosu dochodzą słowiki, sikory, zięby, jaskółki, wróble, dzięcioły, kawki, a więc świat, w którym autorka funkcjonuje (jest

mieszkanką wsi). Ważne są rośliny, drzewa, czyli archetypiczni projektanci ludzkiej duszy. W przydomowym ogrodzie autorka odnajduje swój mikroświat i mikrokosmos przeżyć wewnętrznych. Ogród to dla niej swoiste *axis mundi* – oś świata, miejsce mediacji między różnymi częściami wszechświata i nią samą. „Nagle otworzył się na las / słońce przysiadło na liściu / wzruszona murawa zalała się rosą / Jak w baśni”.

Poetka odkrywa się przed czytelnikiem, jednocześnie porządkując świat w sobie, co doprowadza do lepszego rozumienia własnej istoty (tytuł tomiku wymownie to podkreśla) i bogactwa otaczającego świata; świata, w którym „mieszkają anioły”.

Książka ta należy do delikatnych, łatwych w odbiorze. Całość opatrzona jest grafikami Anny Szymanek – jaka szkoda, że prawie takimi samymi, jakie pomieszczone są w tomie wierszy Renaty Paligi *Gruszka na wierzbie*. No ale dzieł pani Anny nigdy dość, podobnie jak wierszy pani Elżbiety.

Beata Patrycja Klary

W krainie Mieczysława Warszawskiego

Mieczysław J. Warszawski, *Zamieszkałość*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2009, 66 s.

Żłudny jest tytuł najnowszej książki Mieczysława Warszawskiego *Zamieszkałość*. Na tle bogatego dorobku poetyckiego tego autora zdaje się sugerować (podobnie jak wcześniejszy tomik, *Umiejscowienia*) nową jakość, a nawet przełom w dotychczasowej poetyce. Czyżby autorowi wreszcie udało się osiągnąć bezpieczny azyl zadowolenia? Nic z tego. Jego wiersze są opisem stanu „bezdомności egzystencjalnej”, by posłużyć się terminem Anny Legeżyńskiej (*Dom i poetycka bezdomność w liryce współczesnej*, Warszawa 1996, s. 37). Warszawski wciąż oscyluje wokół tematu nieosiągalnego domu, obcości, braku poczucia miejsca w świecie. Jego najnowsza pozy-

cja nie odbiega od tego tonu, wręcz przynosi powtórzenie i rozwinięcie dotychczasowych koncepcji poetyckich. Powraca tu – znany z wcześniejszych tomików – motyw czterech ścian bezdomności. Niestety, powtarzają się także same utwory, co rozczarowuje, gdyż książka nie została opatrzona podtytułem „wybór wierszy”.

Zwraca uwagę niezwykle konsekwencja tematyczno-kompozycyjna, z jaką Warszawski tworzy swój najnowszy tomik. Zbiór o układzie ramowym otwiera wiersz *Zamieszkałość*, zaś kończy utwór *Mieszkać*. Wiele spośród utworów opatrzonych jest datą dzienną, co w połączeniu z konfesyjnym charakterem tej poezji, przywodzi na myśl kartki

z poetyckiego dziennika. Wrażenie to potęguje pierwszoosobowa liryka wyznania, która dopuszcza czytelnika do prywatności poety. Nieprzypadkowo Warszawski akcentuje perspektywę prywatną – jest przedstawicielem pokolenia Nowych Roczników. Okazuje się, że hasła „nowej prywatności” są wciąż żywe w poezji lubuskiej, bo nie tylko u Warszawskiego, ale choćby i jego rówieśnika, Eugeniusza Kurzawy (tomik *Wciąż nowa prywatność*).

W *Zamieszkałości* poeta ukazuje siebie, ale nie tyle „ja poetyckie” (jako personę liryczną), co „ja egzystencjalne”. Mamy tu do czynienia z introspekcją. Chociaż autor ujawnia „kraj samego siebie”, mówi też o otaczającej go rzeczywistości. Dlatego pojawia się perspektywa okna, przez które patrzy na świat. Co widzi? Z jednej strony piękno i monumentalizm przyrody, z drugiej zaś lokalny świat, którego centrum wyznacza parafia, a głównym zajęciem mieszkańców jest ocenianie innych. Z tego powodu tomik Warszawskiego wpisuje się w nurt poezji małych ojczyzn. Można powiedzieć, że *Zamieszkałość* jest swego rodzaju kroniką Lasków Odrzańskich.

Podobnie jak w tomiku *Odrzańskie*, także i tu leitmotivem jest Odra. Właśnie życie w pobliżu rzeki nadaje niewielkiej wsi status *genius loci*, bo nawet Matka Boska opatrzona jest przydomkiem „Odrzańska” i przybiera „wodorośną” i „falopodobną” postać (*Matka Boska Odrzańska*). To Odra skupia myśli poety, ponieważ dyktuje rytm życia. Zwracają uwagę ilustracje rzeki, którymi opatrzona jest książka. Warszawski skupia się na ukazaniu zależności człowieka od przyrody, która wymyka się ludzkiemu pojmowaniu ze względu na swój ogrom i nieprzewidywalność. Woda jawi się w tej poezji jako niszczycielski żywioł stanowiący stałe zagrożenie dla „zamieszkałości” człowieka. Dział

w sposób cykliczny: wylewa, by potem wyschnąć i znienacka powrócić.

Wartością poetyckiej relacji Warszawskiego jest autentyzm, ponieważ autor opisuje doświadczenia związane z powodzią. Nie dziwi więc to, że w świecie jego liryki życie toczy się wokół Odry – jej przypiływów i odpływów czy śledzenia prognozy pogody informującej o zagrożeniu. Sam poeta porównuje siebie do rzeki wiodącej donikąd. Zatem melodią Warszawskiego jest ton rezygnacji, poczucie absurdalności istnienia. Wiele w tej poezji hasła egzystencjalizmu: samotności i wątpliwego miejsca człowieka w świecie, stałe obecnego widma śmierci, skazania na bezsensowne istnienie. *Panta rhei* – wszystko jest płynne, nietrwałe – zdaje się mówić Warszawski. To właśnie wizja przyrody prowadzi do refleksji na temat przemijania, starości, śmierci.

Jest w tych wierszach smutek odślaniający prawdę o tym, że „Gdziekolwiek mieszkasz / mieszkasz wbrew sobie”. Jedynym wyjściem, jakie znajduje poeta, by poczuć się jak w domu, jest odkrycie zamieszkałości w sobie. Nie nadodrzańska wieś, ale przestrzeń duchowa okazuje się tytułową „zamieszkałością”. Ale czy można ją uznać za prawdziwy dom? W świecie otwartych granic, a mimo to odczuwanej obcości, propozycja Warszawskiego podyktowana jest nie świadomym wyborem, a raczej wynika z braku alternatywy: jeżeli nigdzie nie możesz poczuć się naprawdę u siebie, zamieszkaj w sobie – takie przesłanie da się odczytać z tej pesymistycznej poezji. Choć ujęte metaforycznie, może stać się propozycją dla tych, którzy nie mogą odnaleźć swego miejsca w dzisiejszym świecie szybkich przemian, globalizacji, zaniku więzi rodzinnych i społecznych.

Aleksandra Krawczyk

O liryce i piosence autorskiej Okudźawy

Aleksandra Urban-Podolan, *Poezja Bułata Okudźawy. Między poetyką a interpretacją*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2009, 278 s.

Bułat Szaławowicz Okudźawa, pisarz, poeta, kompozytor i popularny wykonawca rosyjskiej poezji śpiewanej, gdyby dziś żył, obchodziłby 85. urodziny. Pożegnaliśmy go przed dwunastu laty i praktycznie wraz z jego odejściem nastąpił schyłek ery poezji śpiewanej u naszych wschodnich sąsiadów, bowiem Okudźawa był jednym z ostatnich wielkich bardów (przed nim odeszli Aleksander Galicz, Władimir Wysocki, Jurij Wizbor, Michaił Anczarow). I mimo że Okudźawa był wszechstronnym twórcą, uprawiającym wiele gatunków pisarskich – od powieści i opowiadań o tematyce wojennej i miłosnej, po prozę fantastyczną, utwory groteskowe i przygodowe dla dzieci i młodzieży – to zapamiętany został głównie jako kompozytor, pieśniarz i poeta, autor tekstów piosenek, lirycznych ballad, pieśni satyrycznych, pieśni patriotycznych, elegijnych i osobistych oraz piosenek zaangażowanych społecznie. Okazję do przypomnienia twórczości poetyckiej i piosenkarskiej Okudźawy – wybitnego poety, prozaika i barda – stanowi dysertacja doktorska Aleksandry Urban-Podolan zatytułowana *Poezja Bułata Okudźawy. Między poetyką a interpretacją* nakładem Uniwersytetu Zielonogórskiego.

W rozdziale otwierającym pracę autorka rozpatruje specyfikę gatunkową piosenki autorskiej, stara się określić jej definicję i kryteria gatunkowe. Piosenka autorska, której rozkwit przypadł w ZSRR na przełom lat 50. i 60. ubiegłego wieku, z uwagi na szeroko pojmowane ramy gatunkowe, nie została wówczas w pełni zdefiniowana. Klasyczny dziś termin „piosenka autorska”, mimo że pojawiał się w prasie radzieckiej już w latach 60., w terminologii gatunkowej utrwalił się dopiero w połowie lat 70. właśnie na fali wzrostu zainteresowania piosenką rosyjską, która spopularyzowana została głównie za sprawą Żanny Biczewskiej, Nowelli Matwiejewej czy Wysockiego, Anczarowa i Okudźawy.

Zamiennie ten gatunek twórczości wokально-instrumentalnej określany był też początkowo mianem piosenki studenckiej, młodzieżowej, turystycznej, podróżniczej (trampowskiej), poetyckiej, miejskiej, a nawet alpinistycznej i geologicznej. Nazywano ją także współczesną piosenką ludową, ewentualnie poezją śpiewaną. Trudności nazewnictwa, jakie nastręczał nowy gatunek muzyczny, wynikał z faktu, że do końca lat 50. repertuar muzyczny w ZSRR wypełniały przede wszystkim utwory o tematyce wojennej, rzadziej ludowej czy robotniczej oraz pieśni wojskowe i partyzanckie, które powstawały w czasie wojny lub w pierwszych latach powojennych. Dopiero śmierć Stalina, upadek kultu jednostki, XX Zjazd KPZR i okres „odwilży” powodują przewartościowania w świadomości obywateli radzieckich, a co za tym idzie także i przewrót artystyczny. Ten właśnie okres kończy z pieśnią masową, pieśnią ojczyźnianą, z retorycznymi piosenkami państwowymi i ludowymi, staje się początkiem zwrócenia się słuchaczy ku piosencek odmiennym od uznawanych przez oficjalną propagandę radziecką.

Lata 60. to dynamiczny okres wzrostu zainteresowania piosenką studencką, turystyczną, osobistą, które nie poddawały się zabiegom cenzorskim, nosiły akcenty rozliczeniowe, krytyczne, groteskowe, ironiczne, a nawet nawiązywały do konwencji środowisk więziennych, demaskując dogmaty ustrojowe. Zaslugę w rozpowszechnianiu piosenki autorskiej miał również rozwój rynku fonograficznego, pojawienie się na szeroką skalę magnetofonów szpulowych, co umożliwiło przełamanie monopolu władzy na rozpowszechnianie informacji dźwiękowej. W tym okresie piosenkę autorską zaczęto określać już mianem piosenki amatorskiej, pieśni lirycznej, piosenki poetyckiej, poezji pieśniowej lub słowa śpiewanego. Termin „piosenka autorska” utrwalił właśnie Wysocki,

który jako poeta, tworzył jednocześnie muzykę i wykonywał swoje wiersze przy akompaniamencie gitary. Za tą właśnie trójjednością – słowa, melodii i wykonania – przynależną zawsze jednemu artyście, wyznaczającą ściśle granice gatunku optowali inni znani wykonawcy, w tym Julij Kim czy sam Okudźawa, który uważał, że owa triada artystyczna przypisana pieśni nadaje jej niepowtarzalną oryginalność i podkreśla indywidualizm wykonawcy, w czym głównie upatrywał siłę piosenki autorskiej. Dominantą piosenki autorskiej według Okudźawy był nie tylko tekst poetycki, któremu przyporządkowana jest strona muzyczna, ale i styl wykonania, stąd twórcami piosenek autorskich byli nie tyle muzycy, co poeci.

Okudźawa nie dzielił swoich utworów poetyckich na „pieśni” i „wiersze”. Te, które śpiewał, nazywał „wierszami-pieśniami”, a inne, które deklamował podczas występów – „po prostu wierszami”. Sam siebie bowiem nie uważał ani za kompozytora, ani za śpiewaka, ani za gitarzystę, lecz za osobą piszącą wiersze. Istotnym wyznacznikiem tych utworów musiała być jednakże ich oryginalność, indywidualizm artysty i autentyczność, gdyż ich autor i wykonawca musiał posiadać wyrazistą, silną osobowość i być człowiekiem etycznym o określonym światopoglądzie, bogatym wewnętrznym i inspirującym, interesującym dla słuchaczy, utożsamiającym się ze swoim audytorium, czującym jak większość i wypowiadającym się w imieniu większości. Okudźawa określał piosenkę autorską jako „pisaną przez ludzi myślących dla ludzi myślących”, podkreślając tym samym zawarte w niej walory intelektualne, zakamuflowane idee; posługiwał się alegorią, symboliką, ludowymi kalamburami czy grą słowną w celu przemycenia istotnych treści i zwrócenia uwagi na problemy, o których władza radziecka oficjalnie nie chciała lub zabraniała mówić.

W rozdziale drugim, poświęconym głównym motywom poezji Bułata Okudźawy, autorka wprowadza nas najpierw w zawiłe wątki biograficzne poety, które były dość często wykorzystywane przez Okudźawę w jego pieśniach i wierszach. Do zasadniczych wątków autobiograficznych

w twórczości Okudźawy Aleksandra Urban-Podolan zalicza motywy związane z dzieciństwem i osobami bliskimi poecie ze szczególnym uwzględnieniem wątku utraty rodziców, tematykę gruzińską, motywy wojenne, motywy związane z miejscami pobytu – począwszy od moskiewskiego Arbatu, gdzie się wychował, po Tbilisi, Leningrad, Berlin, Warszawę, Kraków, Paryż, Londyn i USA, które to miejsca artysta często odwiedzał.

Zatrzymując się na chwilę przy pierwszym motywie z biografii pisarza, warto przypomnieć, że ojciec Bułata – Szałwa Stiepanowicz, był sekretarzem komitetu miejskiego partii w Niżnym Tagile, został oskarżony o trockizm i w 1937 r. na fali czystek stalinowskich rozstrzelany. Z kolei matka Bułata – Aszchen Stiepanowna Nałbadian, również była sekretarzem komitetu rejonowego KPZR, a po aresztowaniu męża usunięta z partii i w 1939 r. została oskarżona i dwukrotnie skazana na kilkanaście lat zesłania. 15-letni wówczas Bułat wskutek tragicznych wydarzeń rodzinnych, żył z piętnem „syna wrogów ludu” i – co ciekawe – wychowany przez rodziców w kulcie rewolucji oraz Stalina, długo wierzył w winę rodziców. Dopiero wydarzenia z lat 1952–1953 pozwoliły mu „przejrzeć na oczy” i dostrzec prawdziwe oblicze systemu. Już w 1957 r., w okresie „odwilży”, powstają jego pierwsze utwory rozrachunkowe, m.in. *Nowy poranek*, stanowiący apostrofę do represjonowanej niesłusznie matki, w którym zawarł prośbę o wybaczenie krzywd w imię nadchodzących przemian i wiary w „lepsze jutro”.

Istotnym motywem w twórczości Okudźawy, zwłaszcza z punktu widzenia polskiego odbiorcy, są także jego liczne i silne związki z naszym krajem, z polskimi artystami, pisarzami i wykonawcami, jak również z ówczesnymi dysydentami. Polska była pierwszym krajem, który Okudźawa odwiedził i który popularyzował jego dokonania artystyczne w formie wydawnictw fonograficznych i książkowych. Poeta mówił o Polsce „moja pierwsza miłość”, gdyż Polacy pierwsi dostrzegli i uhonorowali talent rosyjskiego barda (utwory Okudźawy wydano wcześniej niż w ZSRR). Ponadto zawsze ciepło i owacyjnie przyjmowała

go publiczność i praktycznie większość jego dorobku literackiego i muzycznego została u nas przetłumaczona i wydana. Kontakty z Polską rozpoczęły się w 1964 r. i trwały nieprzerwanie niemal do śmierci poety, który często przyjeżdżał do Krakowa i Warszawy, gdzie koncertował, ale też do Zakopanego, w Tatry i Góry Świętokrzyskie. Nawiązał liczne kontakty towarzyskie i przyjaźnie z wybitnymi przedstawicielami polskiej liryki i piosenki autorskiej, autorami tekstów, tłumaczami, poetami, m.in. Agnieszką Osiecką, Wiktoorem Woroszyńskim, Witoldem Dąbrowskim, Andrzejem Manadalianem, Lucjanem Szenfeldem, polskimi aktorami, zwłaszcza serdeczne związki łączyły go z Danielem Olbrychskim, a także z opozycjonistami, liderami nielegalnego Komitetu Obrony Robotników – Jackiem Kuroniem, Karolem Modzelewskim, Adamem Michnikiem. Polsce i polskim przyjacielom poeta poświęcił też kilka utworów, np. nostalgiczną pieśń *Pożegnanie z Polską*, w której zawarł motyw oczekiwania na przemiany polityczne i nadejście wyzwolenia, a także wiersze: *Przejażdżka dorożką przez wieczorną Warszawę* z zawołanym epizodem katyńskim, *Przez Polskę las choinek pędzi...* zadedykowany tłumaczowi Andrzejowi Mandalianowi, *** *O, sześćdziesiątych lat Warszawy...*, wyrażający poparcie dla polskich kół dysydenckich, czy wiersz z lat 90. ubiegłego wieku zatytułowany *Uwier Agnieszko, nadchodzą zmiany...* poświęcony Agnieszce Osieckiej. Warto też wspomnieć, że z kontaktów z Osiecką zrodził się spektakl muzyczny *Apetyt na czereśnie* ze słowami jej piosenek i muzyką Okudźawy, którego głośna premiera miała miejsce w Moskwie w 1969 r.

Ostatni rozdział pracy Aleksandry Urban-Podolan w całości został poświęcony zagadnieniom stylistyki twórczości rosyjskiego poety. Autorka jako istotne motywy i związki interpretacyjne w jego poezji wymienia metaforyzację codzienności, gdzie różnorodnie odczytywać można egzystencjalne motywy i symbole pojawiające się w tekstach Okudźawy oraz często stosowany zabieg upersonifikowania pojęć abstrakcyjnych – i to zarówno o rodowodzie chrześcijańskim (Wiara, Nadzieja,

Miłość, Opatrzność), jak i mitologicznym (Czas, Fortuna, Los, Fatum). Stąd u Okudźawy osoba Stwórcy jawi się raz w formie zwierzęcej, pół-zwierzęcej, ludzkiej lub jako Opatrzność, innym razem z kolei jako synonim Siły Wyższej, kierującej poczynaniami ludzi. Postać Boga bywa też zakamuflowana pod postacią Czasu-Losu czy Czasu-Sędziego, który nie tylko wpływa na życie człowieka, ale tworzy jego fatalistyczne przeznaczenie.

W ostatnim okresie twórczości Okudźawy w jego poezji dochodzą do głosu wątki biograficzne i autotematyczne, mające charakter refleksyjnego rozrachunku z przeszłością i pożegnania ze światem żywych. Twórczość pieśniarza, przesyciona elegijnością i symboliką, pełna jest wątków żalu nad ulotnością życia i przemijaniem, rozczarowania, niedosytu, poczucia straty, zawiedzionych nadziei oraz gorzkiej ironii. Ale mimo to poeta wyraża też wiarę w odrodzenie duchowe po śmierci. Pojawiają się bowiem symbole określone przez autorkę dysertacji jako „figury kresu życia”, do których należą rekwiizyty przyrody, np. drzewa i żywioły jako źródła energii życiowej, toposy mitycznych rzek lub dróg, jawiących się jako bezmiar i wędrówka życia, figura koła nawiązująca do nieskończoności podróży we wszechświecie, czy też figura życia-poczekalni, stanowiącej rodzaj łącznika wspomagającego przejście do kolejnej fazy bytu. Na marginesie warto wspomnieć, że wychowany w ateistycznym światopoglądzie poeta pod koniec życia przyjął z rąk żony chrzest, przybierając imię prawosławnego patrona św. Iwana.

Jak wspominałem na początku, obecnie piosenki Okudźawy i innych rosyjskojęzycznych bardów zarówno w Polsce, jak i na Wschodzie nie cieszą się już tak wielkim zainteresowaniem, jak choćby jeszcze 10 czy 15 lat temu. Wypełniły one już swoją misję społeczną. Zawarte w nich przesłania nie przystają do współczesności, problemy natury polityczno-społecznej są już nieaktualne, a nawet często niezrozumiałe dla młodego pokolenia Polaków czy Rosjan.

W Polsce znacznej popularyzacji twórczości Okudźawy i innych pieśniarzy służyły organizowane prawie do połowy lat 90. zielonogórskie festiwale

piosenki radzieckiej. Od trzech lat na Uniwersytecie Zielonogórskim odbywa się minifestiwal pieśni rosyjskich, a od dwóch lat w amfiteatrze Festiwal Piosenki Rosyjskiej, który ma na celu ocalić od zapomnienia także żywiołowe i romantyczne pieśni rosyjskich mistrzów gitary i słowa. Również w Rosji podejmowane są inicjatywy utrwalania pamięci o wielkich bardach. W Moskwie organizowany jest festiwal pieśni Okudźawy, w podmoskiewskim Pieriedielkinie funkcjonuje dom-muzeum poety, który jest organizatorem cyklicznych konferencji poświęconych twórczości Okudźawy, na Arbacie, w pobliżu domu, gdzie

spędził dzieciństwo, wzniesiono pomnik pisarza, natomiast okrągłe rocznice urodzin czy śmierci są zawsze okazją do wznowień utworów artysty. Także praca naukowa Aleksandry Urban-Podolan, przedstawiająca analizą twórczości poetyckiej Okudźawy, mająca na celu zbadać tajniki warsztatowe, zgłębić fenomen jego popularności oraz przybliżyć jego sylwetkę i postawę twórczą, głównie młodszemu pokoleniom, jest *expressis verbis* hołdem złożonym temu wszechstronnie utalentowanemu, acz nieco zapomnianemu już artyście.

Robert Rudiak

Językowa historia powiatu

Iwona Żuraszek-Ryś, *Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2009, 190 s.

Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego Iwony Żuraszek-Ryś to pozycja, która powinna znaleźć się w domu każdego mieszkańca obszaru zielonogórskiego. Książka wyszła z warsztatu Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego w roku 2009, a jej autorka jest pracownikiem zielonogórskiej polonistyki i zajmuje się onomastyką, głównie toponimią Ziemi Lubuskiej.

Publikacja jest interesującym zbiorem informacji o nazwach miejscowych, znajdujących się teraz bądź w przeszłości w granicach obecnego powiatu zielonogórskiego. Proponuje przy tym ujęcie inne niżeli to, które znaleźć można w słownikach historyczno-etymologicznych nazw miejscowych Polski. Za jego wyjątkowością przemawia przede wszystkim regionalny charakter, uwzględniający specyfikę rozwoju lokalnego osadnictwa i burzliwą historię obszaru poddanego badaniom, w tym – przebieg ustanowienia jego granic.

Monografia składa się z dwóch części: materiałowo-analitycznej i interpretacyjno-znaczeniowej, poprzedzonych wstępem, w którym autorka

prezentuje m.in. aktualny stan badań dotyczący poruszanych kwestii. Część pierwsza, mająca postać słownika, zawiera alfabetyczny spis nazw miejscowych (miast, wsi, osiedli, części wsi, przysiółków, leśniczówek, młynów), zaopatrzonych w informację, dotyczącą położenia administracyjnego poszczególnych obiektów. Opis składa się ze zbioru form obecnych i przeszłych, autorka zwraca bowiem uwagę zarówno na nazewnictwo polskie, jak i to obowiązujące kiedyś; na powiązanie każdej nazwy z obszarem i jego historią. Niektóre nazwy dookreślone zostały poprzez dane na temat ich pochodzenia i etymologii. Czytelnik może się również dowiedzieć, czy wymienione nazwy znajdują się aktualnie w użyciu. Część druga przynosi omówienie zgromadzonego materiału pod względem semantyczno-etymologicznym i strukturalno-gramatycznym. Tu przeczytać można o pochodzeniu nazw, posegregowanych w osobne kategorie. Badaczka wyróżnia nazwy topograficzne – określające właściwości danego terenu ze względu na położenie miejscowości, specyfikę

świata roślinnego czy zwierzęcego (np. Łęgowo, Orzewo); kulturowe – odnoszące się do wytworów społecznych i duchowych człowieka, jak np. Karczemka czy Zamieście; dzierżawcze – biorące swoją nazwę od ówczesnego właściciela wsi, np. Przybymierz, Jędrzychów; patronimiczne – pochodzące od pierwotnych nazw mieszkańców (Pielice, Poddębice); (pseudo)rodowe – oznaczające pierwotnych mieszkańców osady (Sokoły, Wójciki); (pseudo)służebne – określające grupę ludzi zamieszkujących pewien obszar, których obowiązkiem było wykonywanie wspólnych świadczeń i usług np. Zdunki czy Rybaki; (pseudo)etniczne – biorące swoją nazwę od grupy ludzi pochodzących z innych obszarów, np. Strumian; relacyjne – powstałe na podstawie funkcjonujących już desygnatów, jak np. Ochla czy Wilkanówko; wieloznaczne – te, które można przyporządkować

także do innych kategorii (Jeleniów, Młynkowo) oraz inne, trudne do określenia, jak np. Kokawa, Łagoda czy Siadczą. W interpretacyjnym komentarzu omówione zostały także procesy językowe (fonetyczne, morfologiczne, słowotwórcze, fleksyjne, leksykalne), zachodzące w zakresie uwspółcześniania stosowanych obecnie nazw na przestrzeni czasu.

Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego to lektura obowiązkowa każdego czytelnika, chcącego pogłębić wiedzę na temat małej ojczyzny. Sięgnąć po nią powinien zwłaszcza mieszkaniec Zielonej Góry i okolic – historia powiatu, widziana od strony językowej, odsłania bowiem nowe, interesujące oblicze tego obszaru i ilustruje nie tylko jego toponimiczne losy.

Angelika Fornalska

Tylko żyć. Nic więcej

Mieczysław J. Warszawski, *Persona non grata*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2009, 70 s.

Mieczysław Warszawski jest jednym z najbardziej znanych lubuskich autorów. W swoim dorobku posiada nie tylko tomiki wierszy, ale też opowiadania i powieści. Laureat licznych nagród w ubiegłym roku wydał kolejny zbiór poezji – *Persona non grata*.

Zaciekawienie, a może i swego rodzaju zdziwienie budzi już sam tytuł książki, znaczący tyle, co „intruz, osoba niepożądana” (w dosłownym tłumaczeniu z jęz. łac.). Kto ma być ową *personą nieproszoną*? Można by założyć, że poeta ma na myśli czytelnika, a obszarem, w którym byłby on intruzem, jest właśnie rzeczony zbiór wierszy. To przypuszczenie potęguje umieszczona na okładce ilustracja, przedstawiająca kolczastą roślinę, która zdaje się ostrzegać: „Nie dotykać!”. Wyjaśnienie przynosi dopiero treść zbioru.

Liryki umieszczone w tomiku *Persona non grata* odzwierciedlają typową dla Warszawskiego postawę outsidera. Ujawnia się ona już w pierwszym tytułowym wierszu:

Jesteś nie
Do
Zaakceptowania

To widać
Na pierwszy rzut oka

Czytając kolejne utwory, przekonujemy się, jaki jest stosunek poety do świata (czy też świata do niego?). Podmiot liryczny – *persona non grata*, staje się „ludzkim pomiotem”, „gościem samego siebie”, tym, od którego „człowiek po podaniu ręki

odwraca się plecami”. Dominuje w nim poczucie wyobcowania i odrzucenia. Nie zaznaje akceptacji nawet we własnym domu, w którym „ściany na jego widok odwracają się plecami”. Rodzi to atmosferę nieufności. Ludzie ze świata zewnętrznego „kopią pod sobą dołki”. Nawet życzenia urodzinowe brzmią jak „gwoździe do trumny”.

Podobne uczucia ujawniają się w wierszach opisujących miłość i kobietę. Uczucie, które „ujawnia się nawet we śnie”, z czasem ulega degradacji. Wybranka natomiast staje się kusicielką, która zwabia do siebie mężczyznę, po czym wystawia go za drzwi jak zużyty mebel. Jednocześnie możemy odnaleźć w tomiku *Persona non grata* utwory refleksyjnie odnoszące się do rzeczywistości. Przykładem może być wiersz *Zasłyszane*, którego poszczególne strofy stanowią jakby zbiór złotych myśli:

IV. SAMOWIEDZA
Czasami trzeba

Pobyć głupim
Ażeby zmądrzeć

V. PRZEKONANIE
Wiara bywa silniejsza
Aniżeli jakakolwiek nadzieja

Poczucie wyobcowania, odrzucenia i nieufności dominuje w całym zbiorze Warszawskiego. Podmiot niemal na każdej stronie podkreśla, że nie jest częścią otaczającej go rzeczywistości, stoi obok. Postawa ta może zniechęcać tych, którzy w liryce szukają przede wszystkim pięknego i lepszego świata. Jest to jednak poezja dojrzała. Poezja człowieka, który sporo przeżył i teraz pragnie jedynie spokoju. Nie szuka sławy i rozgłosu. Chce

Tylko
żyć. Nic
więcej

Dorota Modrzyk

Bukowińskie bajanie

Zygfryd Seul, *Gwarili na Bukowinie... Baśnie, legendy i historie prawdziwe*, Gorzów Wielkopolski 2009, 100 s.

Książka *Gwarili na Bukowinie... Baśnie, legendy i historie prawdziwe* jest owocem pracy dwóch osób, bowiem wyboru i spisania tekstów podjęła się Joanna Gorzelana – córka Zygfryda Seula, „potomkini bukowińskiego rodu”, która właśnie w ten sposób podpisuje się pod wstępem do książki. Jednak, jak podkreślają autorzy, prawdziwymi twórcami zebranych tutaj historii, są „bukowińscy ludzie”. Dlaczego? Ponieważ to właśnie o nich, o ich sprawach, o ich życiu traktują te teksty. Oddają ich specyficzną mentalność oraz historię.

Podtytuł książki – *Baśnie, legendy i historie prawdziwe* zawiera informację o typach – gatunkach zamieszczonych w zbiorze. Jednak

w samych tekstach nie została przeprowadzona żadna klasyfikacja, nie ma wyraźnej granicy między tym, co jest baśnią, legendą, a co historią prawdziwą. Może to i lepiej, bo w ten sposób każdy czytelnik może intuicyjnie wczuć się w klimat opowieści i wyszukać w niej elementy baśniowe, pierwiastki legendy albo też ziarna prawdy.

Każda opowieść wprowadza czytelnika w świat Bukowiny – mieszkających tam ludzi, ich obyczajów i tradycji, przekonań i wierzeń. Na przykład jeden z tekstów mówi o tym, jak ważne było dla bukowińskich kobiet zaniechanie pracy w dzień świętej Łucji i o konsekwencjach wynikających ze złamania tego „zakazu” (*Luna*), a inny przedstawia

perypetie młodej wdowy, która stała się jedną z najsłynniejszych zielarek (*Zamawianie chorób przez znachorkę*). Niektóre historie mają zakończenia, wskazujące na ich współczesną kontynuację, np. w opowiadaniu zatytułowanym *Córki Michała* pojawia się informacja, że osoba z opisywanego rodu, była znana i mówiono o niej w Radiu Wolna Europa. Można by powiedzieć, że są to historie ze swoją „historią”, ponieważ zakorzenienie w bukowinńskiej kulturze zawdzięczają ustnemu przekazowi z pokolenia na pokolenie. Tak też zostały przekazywane na potrzeby tej publikacji: najpierw opowiadane przez ojca-gawędziarza i nagrywane, a następnie spisywane. Ślady ustnego przekazu są widoczne w składni, która zachowuje elementy oralności, naśladuje niejako snutą na głos opowieść.

Swojskość bukowinńskiego regionu oddana została nie tylko przez tematykę dotyczącą życia na tym obszarze. Sam język tych ponad pięćdziesięciu opowieści pozwala niejako „zasmakować” w bogatej kulturze, m.in. dzięki wyrazom gwarowym. Już tytuł książki sugeruje, że czytelnik będzie miał do czynienia z językiem regionalnym. I rzeczywiście: gwara najczęściej pojawia się na prawie cytatu – w wypowiedzi bohatera, ale bynajmniej nie przeszkadza w rozumieniu tekstów. Autorzy zresztą zatroszczyli się o czytelnika, który zupełnie nie zna gwarowych słów i umieścili na końcu książki *Słowniczek terminów gwarowych obecnych w tekście*, zawierający objaśnienie kilkudziesięciu gwarowych leksemów.

Zagłądając na końcowe karty książki, trudno także nie zwrócić uwagi na jeszcze dwa elementy. Pierwszym z nich jest mapka, dzięki której odbiorca może dokładnie zlokalizować obszar Bukowiny i odnaleźć miejsce akcji opisywanych historii. Warto bowiem dodać, że większość opowieści jest precyzyjnie umieszczona w przestrzeni gór, lasów, wiosek i miasteczek Bukowiny. Drugim elementem, znajdującym się w zakończeniu książki, są informacje o charakterze bibliograficznym. Prezentacja wybranej literatury dotyczącej historii, geografii, kultury i języka Bukowiny może być pomocna dla czytelników, którzy są zainteresowani pogłębieniem tematyki związanej z tym karpackim regionem. A jest to temat tak głęboki, jak przedstawiona na okładce studnia sfotografowana w okolicach rumuńskiej Suczawy, gdzieś na południu Bukowiny.

Ta publikacja z pewnością zainteresuje miłośnika kultury Bukowiny, ale nie tylko. Zbiór barwnych legend, baśni i historii prawdziwych daje bowiem obraz zarówno kultury mieszkańców bukowinńskiej krainy, jak i towarzyszącą tej kulturze wiedzy na temat człowieka i świata. Dzięki temu, że w opowieściach zaprezentowane zostały perypetie anonimowych osób, ewentualne nauki i wnioski nabierają charakteru uniwersalnego – niosą mądrość – „mądrość ludową”, z której czytelnik także może skorzystać. Taki jest też cel opowieści przekazywanych z dziada, pradziada.

Agnieszka Przybynowska

Poeta we wnętrzu natury

Władysław Łazuka, *Zaledwie ślad*, Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2010, 80 s.

Niewielu poetów jest tak głęboko zanurzonych i osadzonych w trwanie i bieg natury jak Władysław Łazuka. Poeta mieszka w Choszczynie i należy do gorzowskiego oddziału ZLP. W ostatnim czasie

wydał kilka zbiorów swoich wierszy, które powiększając dorobek poetycki autora, wyrażają najpełniej jego liryczną osobowość. W najnowszych już mniej zajmuje się kwestiami

rodowodu, problemami własnego wyjścia ze wsi, co przyrodą w bardziej uniwersalnym znaczeniu. Można rzec, że takie zbiorki jak: *Kilka słów, Noc-podróż i inne wiersze* oraz wydany wiosną bieżącego roku, pt. *Zaledwie ślad* nacechowane są pewną dozą podobieństwa, gdy idzie o oddanie klimatu w obcowaniu z naturą. Różnie naturę można obrazować. Przy pomocy bardzo wnikliwego jej przedstawienia i wyczerpującego opisu, w którym znaczenie ma jej rozległa panorama i całościowa obecność. Można też pochwytywać jej przejawy, wyjmować z kontekstu innych zjawisk i zajmować się jej drobinami, poszczególnymi fenomenami. Jest to ta sama natura, ale widziana punktowo, chwilowo, jako byt uobecniający się w refleksie istniejącego zjawiska. Tak może wyglądać jeden ze sposobów pokazania ważności danego – powiedzmy – fragmentu, by na nim wesprzeć swoją podmiotową emocjonalność i refleksję, i ustalić zarazem własne życiowe miejsce. Ta właśnie metoda obecnie zdecydowanie określa poetykę choszczeńskiego twórcy. Bazuje na niej z premedytacją. Jedną z konsekwencji tej postawy jest oszczędne posługiwanie się słowem. Słów, co nietrudno dostrzec, uruchamianych za każdym razem jest zaledwie „kilka”, i przyznać muszę, że jak na japońskich miniaturach kreski, tak tutaj słowa zawsze trafiają w sedno. Mimo że są najczęściej jakby szkicem obrazu. Słowo poetyckie Władysława Łazuki mówi tak, by uwydatnić niedopowiedzenie, owo norwidowskie milczenie. Daje w ten sposób czytelnikowi możliwość snucia twórczego domysłu i własnej refleksji, zarazem wczuwania się w to samo, w co wczuwa się po zawieszeniu głosu sam poeta. Toteż niewątpliwie w tych wierszach słowa są uwydatniane, zresztą same poniekąd się uwydatniają: „Spod bielma / lodu / oko jeziora / nie widzi / powracających / żurawi i gęsi”. I nie jest to jakby się komuś mogło wydawać program minimum. Po prostu poeta w swojej metodzie lirycznej odszedł od pokusy zajmowania się słowem, jego wielorodnością, bowiem naprzeciw jest niedościgniony „Kosmos” rzeczywistości. Ma też świadomość, że pierwszym

poważnym celem, najbardziej frapującym, jest właśnie owo istnienie świata, liści, słońca, wibracji powietrza, powiewu wiatru, blasku wody, ziemi, strumienia, jeziora, ludzi, trwania i ruchu. Na tym trzeba się skupić. Chodzi o pokazanie tych wszystkich treści i podmiotowych z nimi związków. Poeta jest świadomy niebezpieczeństwa zasłonięcia rzeczy własnym słowem, podczas gdy celem ma być jej ukazanie: „Chciałbyś dotknąć / nazwać / zaszeregować / A jak już / To...?”. Można się domysleć, co chce poeta zasugerować. Tedy słusznie mówi tylko tyle, ile jest absolutnie niezbędne. Chodzi też o ujawniającą się w ostatnich zbiorach dominantę, która polega nie tylko na tym, że celem jest oddanie trwania obserwowanego fenomenu, ale i wychodzenie ku temu, co można nazwać tajemnicą świata, bowiem „Jawi się nowe / nierozpoznawalne / nieuchwytnie / płynne / nieznanne”, które daje się uchwycić mglisto i bardzo ogólnie: „nie do odgadnięcia”. Tego typu nuta w wielu wierszach jest obecna. Inaczej mówiąc: od fascynacji sferą prostej, widzialnej i dotykanej zmysłowości, następuje w wierszach Łazuki przejście w stronę metafizyki. Tyle tylko, że towarzyszy temu samozachowawcze zatrzymanie się na granicy, poza którą może być już tylko np. ciemność lub otchłań. Tak więc zaznaczany jest jednak nowy obszar poszukiwań, z którym koresponduje podmiotowe pytanie o sens własnej obecności. Może – jak sugeruje poeta – jest ona (egzystencja) i on (sens) „zaledwie śladem”?

W tym zbiorze znajdujemy też kilka wierszy napisanych od strony własnej biografii (*Kino 1953/54*). To dobrze, że Łazuka próbuje ją eksploatować. Poeta nie tylko notuje to, co widzi, ale też pokazuje, notuje, siebie: „Przystanąłem zmęczony”, „Słuchałem / leśnego chóru”. Może byłoby korzystne dla poetyckiego dzieła, gdyby jego autor właśnie do niej częściej i więcej sięgał. Taki wybór stanowiłby świetny sposób na uniknięcie tematycznych powtórek.

Czesław Sobkowiak

Lepsza Zamieszkałość

Mieczysław J. Warszawski, *Persona non grata*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2009, 70 s.;
Zamieszkałość, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2009, 66 s.

Mieczysławowi Warszawskiemu w ubiegłym roku wena twórcza sprzyjała na tyle skutecznie, że w wydawnictwie Zygmunta Rybczyńskiego Organon opublikował aż dwa tomiki wierszy. Obydwa pod koniec roku. W ten sposób jego dorobek powiększył się do kilkunastu zbiorów. Poeta to już dojrzały. W tym roku przypada ważna rocznica jego życia, jak i twórczości. Ukończył bowiem 6 sierpnia sześćdziesiąt lat, a od debiutu poetyckiego w „Nadodrzu” (1967) minęło lat ponad czterdzieści. Przez ten czas życiowo i literacko zdarzały się różne rzeczy. Choćby doświadczenia zawodowe w kilku miejscach pracy. Różne znajomości i związki z ludźmi. Kobietami. I miało miejsce sporo wygranych konkursów poetyckich. Warszawskiego wiersze na początku publikowane w prasie sytuowały się – można rzec – w kręgu nurtu wiejskiego. Jednak nie za długo. Nie znaczy to, że świadomość własnego rodowodu przestała mieć znaczenie. Ma takowe do dnia dzisiejszego. Ta problematyka teraz inaczej jest realizowana i wskazuje na korzenie społecznego rodowodu. Zbiorek debiutancki *Otwarcie żył* z 1976 r. (a zwłaszcza następne – *W otwarte karty*, *Poranne wygnania*) już nosi piętno nowofalowej nieufności i typowej dla tej formacji analizy podmiotowego bytu przez pryzmat uwarunkowań społecznych. Jest to czas bardzo silnego wyodrębniania się własnego ja osobowościowego. Nie bez wpływu były nawiązania do poezji Rafała Wojaczka. Na szczęście nie zanadto w naśladowniczym zakresie. Dałoby się także wskazać na elementy poetyki Orientacji, zwłaszcza Andrzeja K. Waśkiewicza. W końcu to wiersze autora *Dziedzictwa* czytaliśmy na początku. W ten sposób Mieczysław ufilozoficzniał nieco swoją poezję. Niekiedy nadawał jej brzmienie nawet intelektualne. Myślę jednak, że w miarę upływu czasu poetyka Tadeusza Różewicza stała się mu najbliższa. Ona to definitywnie i ewidentnie

sprzyja wysiłkom zprozaizowania całego świata poetyckiego, nakierowania wyobraźni na to wszystko, co zwykłe, banalne, przyziemne, ludzkie, rzeczowe, dalekie od uniezwyklenia. Na sile w tej poezji zyskiwał, w sferze odczuwania i opisu, własny los. I ten swój życiowy los starał się i stara nadal Mieczysław Warszawski (poniekąd jak Kazimierz Furman) pokazywać. Czasami aż zanadto pokazywać. Dalece od obiektywizacji. Ale właśnie otwarcie, bezkompromisowo, niekiedy ostro, chcąc uniknąć zafałszowań samego siebie, dociekając prawdy, ale i z pozycji poety, dla którego nie ma miejsca w społeczeństwie czy nawet zrozumienia wśród najbliższych. Można rzec, że z biegiem lat ta tendencja do pokazywania własnej bezdomności i przynależności tylko do samego siebie, do własnego ja, poczucia wygnania i samotności, ustanowiła swoisty leitmotiv co najmniej kilku zbiorów. Podobnie rzecz ma się w zbiorach, które ukazały się niedawno w Organonie – pierwszy pod wymownym tytułem *Persona non grata*, a drugi *Zamieszkałość*, sygnalizujący już inny akcent. Pierwszy – powiedziałbym – to kontynuacja podmiotowej osobności i odwrócenia się świata: „Nagle ściany na twój widok odwracają się plecami”. Niektóre źródła tego stanu rzeczy są nawet wskazane. Wystarczy przeczytać wiersze: *Kobieta, która powiła ci syna*, *Wybór nie tylko Zofii*. Może nawet wszystkie dotyczą jego osobistych dylematów. Widać w tym zbiorze, że tę osobność życiową próbuje Warszawski przenosić na różne aspekty życia, nawet intymne, albo próbując kreować tzw. twarde podejście do życia (*Hormonologia*). Najtrudniej bowiem zdobyć dystans do własnych bólów, urazów i ran, i obiektywnie widzieć również swoje winy i zasługi, oczywiście, „Najtrudniej być sobą” i widzieć „siebie nawet”. Wie o tym wszystkim, lecz nie zawsze potrafi zrezygnować z przerabiania niepotrzebnej lekcji.

To byłoby możliwe tylko pod warunkiem mocnego sprzeciwienia się samemu sobie, ale: „W końcu człowiek przyzwyczaja się do każdej fizjonomii”, również własnej. Z poetyckiego punktu widzenia ta problematyka, zwłaszcza zbyt długo kontynuowana, traci na sile przekonywania, może więc lepiej gdyby się całkowicie wyczerpała i została zamknięta pewien rozdział wewnętrznych rozrachunków albo uzyskał on zupełnie inny wyraz. Niekoniecznie trzeba wracać ciągle do tego samego i w taki sam sposób.

Na innym polu efekty mogą być znacząco lepsze. Pokazuje to drugi zbiorek – *Zamieszkałość*. Zmienia się optyka i przedmiot poetycki, i natychmiast w tej nowej sytuacji lirycznej pojawia się jakby dojrzalszy głos poety. Zarazem potwierdzający zdolność do akceptacji świata. Niemal jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znika egoizm i łączący się z nim ton pretensji i oskarżenia. Okazuje się, że powagę słowa zdecydowanie łatwiej uzyskać poprzez przedstawienie sfery zewnętrznej niż epatowanie sytuacjami emocjonalnymi. Zarazem są te dwa tomiki, wydane

równocześnie, wskazaniem w oparciu o co możliwe jest znalezienie poczucia sensu. Znaczącą gwarancję daje po prostu elementarna obiektywizacja, dostrzeżenie otaczającej okolicy, małej ojczyzny, czyli rodzinnych Lasek. Wiele wierszy dotyczy krajobrazów powodziowych z pamiętnego roku 1997, ale są i inne, kreślone niemal z fotograficzną dokładnością: „Tutaj wszystko na swoim miejscu i / w zastanawiającej symetrii [...] Jakby / spod kredki dziecka”. Są przedmioty, detale, „winogron albo bluszcz”, poeta opisuje to, co widzi, wzgórze, zauważa swój dom, wieżę kościelną, matkę, maszynkę do golenia, dom, który „środkiem pomieszkuje sobie”. Dowiadujemy się o zakupie biurka, które sprawia mu kłopot, o przysiadłym na parapecie „jakimś ptaku” itd. Ten liryzm coś znaczy. On prawdziwie jest z podmiotem związany licznymi kontaktami, emocjami i obserwacjami rzeczywistości. Nie wątpię, że taka postawa może stanowić najlepszą z dróg poetyckich na przyszłość.

Czesław Sobkowiak

Tragiczne losy wolsztyńian

Krzysztof Błaszczuk, *Katyń. Wolsztyńska lista*, Wolsztyn 2010.

... kiedyś się zobaczymy...

Katyń przesiąknięty jest również krwią mieszkańców Ziemi Wolsztyńskiej. Badania mające na celu dotarcie do nazwisk pomordowanych w 1940 roku na Gólgocie Wschodu rozpoczęły się na tym terenie już w latach osiemdziesiątych XX wieku. Ze względu na ówczesną sytuację polityczną były one dość ograniczone; dotyczyły przedwojennych pedagogów ze szkół w Adamowie, Obrze i Niałku Wielkim. Regionalna aktywność w tym względzie wzrosła po roku 1989. Pierwsza na tym terenie redakcja gazety „Głos

Wolsztyński” – w pełni prywatna i niezależna – pod niezmiennym od 20 lat kierownictwem Anny Grudzieckiej-Domagalskiej, aktywnie włączyła się w lokalne dzieło katyńskie. Już w lipcu 1990 roku na łamach pisma ukazał się apel do rodzin ofiar pomordowanych na Wschodzie. Na wolsztyńskiej liście katyńskiej pojawiają się następne nazwiska; do znanych już nauczycieli dołączają kolejni nauczyciele, policjanci i żołnierze. Przez siedem lat poszukiwań, rozmów, kontaktów nawiązanych z rodzinami ofiar, wolsztyńską listę katyńską zamykają dane 21 ofiar mordu sprzed 70 lat.

Burmistrz Wolsztyna, Andrzej Rogoziński, we wstępie do publikacji dra Krzysztofa Błaszczyka, podkreśla wartość tej pozycji dla lokalnego środowiska: „Oddając do rąk czytelników szkic historyczny pt. *Katyń. Wolsztyńska lista* spełniamy obietnicę daną 2 maja 1997 roku podczas uroczystości państwowej odsłonięcia Pomnika Katyńskiego w Wolsztynie. Powinnością nas żyjących, jest ocalenie pamięci o tych, dla których wolna i niepodległa Polska jest najwyższą wartością. [...] Udało się ustalić dwadzieścia jeden osób związanych w przeszłości z miastem i Ziemią Wolsztyńską” (s. 3).

Praca Krzysztofa Błaszczyka, wydana przez Bibliotekę Publiczną Miasta i Gminy Wolsztyn (<http://www.biblioteka.bior.pl/>) w serii pt. *Ocalić od zapomnienia*, jest uwiecznieniem wieloletnich działań autora, mających na celu pielęgnowanie w lokalnym środowisku pamięci o ofiarach Katynia, Miednoje i Charkowa. W ramach tych działań znalazły się m.in.: organizacja Szkolnych Izb Pamięci, zbudowanie na cmentarzu parafialnym w Obrze symbolicznej kwatery wojaskowej, współpraca z Lubuską Rodziną Katyńską (jej efektem było przywiezienie 30 października 1995 roku na cmentarz w Obrze urny z prochami ofiar zbrodni popełnionej przez NKWD), a także powołanie Społecznego Komitetu Pamięci Pomordowanych na Wschodzie w Wolsztynie, na czele którego stanął nie kto inny, jak właśnie dr Krzysztof Błaszczyk, oraz współpraca z warszawskim ośrodkiem „Karta” (<http://www.karta.org.pl/>).

Na ponad sześćdziesięciu stronicach znaleźć możemy pełną dokumentację i odzwierciedlenie badań i poszukiwań autora, poczynwszy od ogólnego rysu historycznego, a skończywszy na prywatnej – często bardzo osobistej – korespondencji, którą otrzymywały rodziny od swoich najbliższych oraz samych wspomnieniach rodzin. Ze względu na charakter treści, jakie się tu znajdują, ta część publikacji wydaje się najcenniejsza i najciekawsza; nie tylko w wymiarze czysto historycznym, co w pracach tego typu w naturalny sposób wysuwa się na plan pierwszy, ale przede wszystkim w wymiarze ludzkim – szczególnie dla lokalnych

odbiorców, którzy w mniej lub bardziej bezpośredni sposób mają kontakt z potomkami ofiar.

„Od tej chwili wszelki ślad po ojcu zaginął. W jakich okolicznościach zginął, nie wiadomo” (s. 20) – pisze Melania Gonda z domu Walkowiak z Siedlca. Florian Antkowiak, sekretarz notarialny, tak wspomina notariusza z Wolsztyna, Stanisława Jarysza: „Ostatnią wiadomość otrzymałem od niego pocztówką z pozdrowieniem ze Starobielska z dopiskiem: *Chyba Matka Najświętsza da siły do przetrwania*. Było to pod koniec 1939 r. Stanisław Jarysz mieszkał i urzędował w swoim domu w Wolsztynie przy ul. 5 Stycznia 31/32” (s. 21). W tym czasie również rodzina Józefa Myssaka z Rakoniewic straciła kontakt z najbliższym: „Stryjek z niewoli napisał do domu dwie kartki, z których treści wynikało, że przebywał w obozie jenieckim w Kozielsku. Ostatnia z nich nadeszła w styczniu 1940 r. i od tej pory kontakt listowny został przerwany” (s. 22) – wspominają w artykule w „Głosie Wolsztyńskim”.

Oprócz tych jakże intymnych słów i wspomnień, w pozycji pt. *Katyń. Wolsztyńska lista* znajdziemy biogramy wszystkich dwudziestu jeden ofiar – synów Ziemi Wolsztyńskiej; informację o inicjatywie samorządu Miasta i Gminy Wolsztyn, który wraz z czterema szkołami włączył się w trwający w latach 2009-2010 projekt edukacyjny *Katyń – ocalić od zapomnienia*, polegający na sadzeniu dębów pamięci, opiece nad nimi i upamiętnianiu ich patronów – ofiar katyńskich, a także bibliograficzny wybór publikacji dotyczących zbrodni NKWD. Tekst uzupełniają kopie pism kierowanych do najważniejszych osób i instytucji w Polsce, które odzwierciedlają aktywność autora w pracach Społecznego Komitetu Pamięci Pomordowanych na Wschodzie w Wolsztynie, przedruki artykułów z prasy lokalnej – „Głosu Wolsztyńskiego”, m.in. tekst A. Grudzieckiej-Domagalskiej *Ofiary NKWD z Ziemi Wolsztyńskiej* oraz kopie telegramów i listów wysyłanych przez postacie wspomniane w publikacji do najbliższych i przyjaciół. Znaleźć można tu także zdjęcia niektórych osób z wolsztyńskiej listy dwudziestu jeden ofiar – te oficjalne, jak również związane z codziennym życiem

rodzinnym – ostatnie pamiątki po nich zebrane i udokumentowane przez dra Krzysztofa Błaszczuka.

Szczególna wartość tej publikacji to, oprócz podstaw merytorycznych, jej także lokalny charakter; ściśle dotyczy ona osób związanych historycznie z Ziemią Wolsztyńską, inicjatyw jej obecnych mieszkańców, a dla następnych pokoleń ma być drogowskazem patriotyzmu – również tego lokalnego. Praca *Katyń. Wolsztyńska lista* jest kolejną, która uczy w szczególny sposób, w kontekście katyńskiej zbrodni, odczytywać zwykłe słowa, jak te z kartki pocztowej, którą

31-letni wówczas Zygmunt Kurantowski, podporucznik lotnik, napisał do domu 23 marca 1940 roku ze Starobielska: „Kochana Oleńko [...] Daj Boże, choć w uszczuplonym gronie, ale się jeszcze kiedyś zobaczymy. [...] Jestem zdrow i oczekuję wiosny. Może przyniesie dużo słońca dla ciała i duszy” (s. 27).

Kwiecień 1940 r. – Zygmunt Kurantowski zostaje zamordowany w Charkowie. Na liście NKWD więźniów w Starobielsku – nr 2301.

Gerard Tomiak

Ubliżanie starości

Ronald Harwood, *Kwartet*, przekład Michał Roniker, reż. Robert Czechowski, scenografia i kostiumy Wojciech Stefaniak, oprac. muzyczne Damian Neogenn-Lindner. Obsada: Elżbieta Lisowska-Kopeć, Elżbieta Donimirska, Janusz Młyński, Jerzy Kaczmarowski. Lubuski Teatr im. L. Kruczkowskiego. Premiera 15 maja 2010.

Sztuka Ronalda Harwooda *Kwartet* to obok *Garderobianego* najciekawsza propozycja sceniczna tego autora. Jak łatwo można popaść w banał inscenizacyjny, wystarczy porównać dwie inscenizacje tego tekstu: poznańską, zrealizowaną w Teatrze Nowym przez Mariusza Puchalskiego i zielonogórską, reżyserowaną przez Roberta Czechowskiego. Jeśli ktoś miał okazję obejrzeć wspomniane wcześniej dwie inscenizacje, to zrozumie, na czym polega nadinterpretacja wersji zielonogórskiej.

A zatem wyjdźmy od tekstu, co w teatrze wydaje się ważne. Role bowiem od dawna są tu podzielone: autor pisze, reżyser dokonuje konkretyzacji. Harwood pozostawił nam tekst szlachetny. Zgoda, że pełen humoru, ale z pewnością nie prześmiewczy. Pisząc o przemijaniu, nie zamierzał wyśmiewać swoich bohaterów, lecz napisać tekst o nieuchronności upływającego czasu, ale też o zmieniającej się perspektywie w spojrzeniu na życie, co zauważa Wilf, mówiąc: „Reggie ma rację.

My przychodzimy i odchodzimy, a oni trwają wiecznie. A kiedy przyłączamy się do niebiańskiego chóru, nasz pokój zajmuje ktoś inny. To normalny bieg rzeczy”. Taka jest też inscenizacja Mariusza Puchalskiego.

Natomiast po wizycie w Lubuskim Teatrze i po obejrzeniu zmagania z nim Czechowskiego, zadziwiony, postanowiłem jeszcze raz przeczytać tekst Harwooda, by próbować zrozumieć myślenie reżysera.

Przed wszystkim przesada, przerysowanie charakteryzuje postaci z inscenizacji zielonogórskiej. Tymczasem reżyser, czytając tekst i zabierając się do pracy, powinien dobrze przemyśleć kwestię, którą wypowiada Reggie. Cytuję:

Dziwnym zbiegiem okoliczności ja napisałem dziś rano aforyzm. Też na temat sztuki. (*Wymuje kalendarzyk i znajduje odpowiednią stronę*) Jest. „To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. To kulturalny

manifest naszych czasów. Chyba dość zręcznie to sformułowałem, prawda?

(*WILF nadal szuka czegoś po kieszeniach i nie odpowiada*)

„To, co popularne, jest zawsze dobre, ale to, co dobre, nigdy nie jest popularne”. Co o tym myślisz, czy uważasz, że mam rację?

To pytanie kieruję do twórcy tej inscenizacji, ale i kreatora polityki repertuarowej LT.

Podstawowy zarzut bowiem brzmi: w końcu przecież nie wszyscy na starość jesteśmy nie-sprawni mechanicznie. Szczególnie w środowisku artystycznym, gdzie aktywność zawodowa jest często przedłużona.

Tymczasem, jak rozumiem, kluczem Czechowskiego do interpretacji scenicznej dramatu Harwooda staje się przerysowywanie fizyczne postaci.

Z tego wynika mój wielki ukłon dla Janusza Młyńskiego czy Jerzego Kaczmarowskiego za ogromną pracę nad rolami, szczególnie nad formą ekspiacji postaci, operowanie przyruchem. Ale skupienie się na owej fizyczności: ciągnięcie nóg, fizyczne objawy zdziecinienia, mlaskanie, nadmierna tęsknota za namiastką seksu itp., zubaża różnorodną paletę zachowań w wieku dojrzałym.

Elżbieta Donimirska od kilkunastu miesięcy nie potrafi wydobyć się z powtarzalnej formy przyjętej, a właściwie narzuconej jej przez własną, prywatną fizyczność. Chodzi o charakterystyczny tembr głosu. Powoduje to nieustanną powtarzalność postaci. W *Kwartecie* znów się tapla w formie rodem z przeszłości. Co pcha niepostrzeżenie, ale konsekwentnie opowieść sceniczną w kierunku

taniej farsy, a przecież takiemu dążeniu lepiej sprostałby oryginalny tekst angielskiej farsy.

Najlepiej wypada, najmniej poddaje się uciekaniu w formę, postać Joan, grana przez Elżbietą Lisowską-Kopeć. Zatem ukłon dla aktorskiego rzemiosła, ale też pytanie – po co ten wysiłek? Gdyż to nie o tym ta sztuka. Anegdota *Kwartetu* jest bowiem banalna. „Chcę, żebyśmy zaśpiewali kwartet z *Rigoletta* 10 października, podczas galowego koncertu ku czci Verdiego” – mówi Reggie.

I oczywiście dla bohaterów przed czterdziestką nie byłoby to zadanie niezwykle, ale nasi, niestety, mają lat o wiele więcej. Dawno nie śpiewali. Tak naprawdę żyją tylko wspomnieniami dawnej świetności, dawnych wspomnień, sukcesów.

W końcu jednak znajdując pomysł na realizację projektu, by przypomnieć swoją dawną świetność. Zaśpiewają, jakbyśmy dzisiaj rzekli, z playbacku. I tak czynią. Ale podczas tych przygotowań do decyzji o występie rozliczają się z czasem przeżytym, przeżytym, ze swoimi decyzjami, uczuciami. I to – moim zdaniem – jest znakomity materiał, znakomite dialogi dla pracy reżyserskiej. Ale z pewnością nie po to, by drwić z pozornej niepamięci czy jakichś nieistotnych wad i niepełnosprawności.

Ostatnia scena w tekście Harwooda jest szlachetna i wzruszająca. W inscenizacji Czechowskiego jest jednak przygnębiająca, zła i poprzez przerysowanie nieprawdziwa. Żle jest bowiem, jeśli aktor łąsi się do widza, a reżyser mu na to pozwala. Jest jeszcze gorzej, jeśli robi to reżyser.

Andrzej Buck

Koncert aktorski

Scenki z Zoszczenki, adaptacja i reżyseria Grzegorz Matysik, Teatr Rozrywki Trójkąt, Scena w Klubie 4 Róże dla Lucienne na Starym Rynku, premiera 25 kwietnia 2010.

W mieście Zielona Góra nastąpił przełom teatralny. Nie dotyczy to, niestety, sfery artystycznej. Natomiast powstały wreszcie sceny pozarepertuarowe. Jak wcześniej w Warszawie (Teatr Polonia, Teatr Och, Teatr Kamienica, Teatr IMKA, Teatr 6 Piętro i inne) i w innych miastach. U nas prym wiodzie Teatr Rozrywki Trójkąt. Po monodramie *Ktoś Pana uwielbia*, *Panie Chopin* proponuje nareszcie spektakl wieloobsadowy.

Przed kilku laty Grzegorz Matysik, krakowski reżyser i aktor próbował zainteresować Lubuski Teatr swoją adaptacją *Scenek z Zoszczenki* Michała Zoszczenki. Wówczas nie udało się zrealizować tego pomysłu. Matysik – można rzec – jest związany z zielonogórską sceną. Debiutował własną wersją tekstu Brada Frasera *Niezidentyfikowane szczątki ludzkie i prawdziwa natura miłości*. Potem była niezwykle udana adaptacja komedii Williama Szekspira *Poskromienie złościcy*. I wreszcie *Szalone nożyczki*, interaktywna farsa Paula Portnera, której reżyserię przypisuje się niesłusznie Zdzisławowi Wardejnowi (grał tylko jedną z postaci).

Teraz przyszedł czas na Zoszczenkę. Kim jest Zoszczenko? Pisarzem rosyjskim lat 1895-1958. Znany jako autor opowiadań (m.in. hagiograficzne *Opowiadanie o Leninie* czy przełożony na język polski i wydany w 1992 zbiór zatytułowany *Wesołe życie*). Inscenizację *Scenek...* określa przestrzeń, którą dysponuje Teatr Trójkąt. Jest to scena Klubu 4 Róże dla Lucienne. Nieduża, jak na potrzeby teatralne, a jednak...

Można zaryzykować tezę, że jeśli mamy niewielką przestrzeń, to nasze nadzieje musimy lokować w dobrym aktorstwie, rekwizycie. Z pewnością nie w scenografii. I tak się dzieje. Bo sukces zielonogórskiego przedstawienia tkwi właśnie w dobrym aktorstwie. Oprócz Beaty i Artura Belingów na scenę wracają: Wojciech Czarnota, Sławomir Krzywiżniak i Ludwik Schiller.

Do niedawna czołówka aktorska Lubuskiego Teatru, sprawdzona we współpracy z reżyserami tej klasy co Sylwester Chęćński, Wojtek Pokora czy Grzegorz Matysik.

Zoszczenko wprowadza nas w świat porewolucyjnej Rosji. Swoją tekst buduje na znakomitych dialogach soczystych postaci, które tworzą tożsamość narodu rosyjskiego. Tożsamość charakterologiczną, niepowtarzalną, pełną humoru. Konstrukcja przedstawienia nie jest zbyt skomplikowana, zawarta w tytule: scenki. Scenki kierują nas w stronę teatru obyczajowego, definiującego etos narodu radzieckiego, jak to wówczas mówiono – ludzi radzieckich.

KONDUKTORKA: A tak, nie przyjmuję. O ile nie ma pieniędzy, to niech na piechotę dyrda. Ja na swoim odcinku pracy nie pozwolę na tolerowanie rzeczy, z którymi walczymy. A o ile człowiek nie ma pieniędzy, to znaczy, że ich nie zapracował.

Zresztą sięgać do Zoszczenki, to nic innego jak sięgać choćby do humoru Gogola czy Czechowa. Satyryczne opowiadania Zoszczenki tkwią w tym samym klimacie.

ARYSTOKRATKA: Prawdziwe świństwo tak postępować. Którzy bez pieniędzy, niech dam nie zapraszają. (*wychodzi*)

Inscenizacja Matysika, znającym czasy dykcji Ryszarda Żuromskiego, przypomina głośny w połowie lat siedemdziesiątych w Zielonej Górze spektakl *Człowiek znikąd*. Grany w przestrzeni hal fabrycznych Polskiej Wełny lub w Klubie Relax, pełniący wówczas funkcję sceny Lubuskiego Teatru. Był to pozornie produkcyjniak, jednak w swym przesłaniu syntetycznie określał radzieckie społeczeństwo. Podobnie jak u Zoszczenki:

ELEKTROMONTER: A-a, to tak! Dobra, to ja dziś nie gram. Nie będę oświetlał waszego przedsięwzięcia. Grajcie beze mnie. Zobaczmy kto ważniejszy i kogo należy fotografować gdzieś z boku, a kogo sadzać w środkowym krześle. *(wraca do PANIENKI i wyłącza światło. Kompletne ciemność)*

Przy okazji tej inscenizacji jawi się odpowiedź na pytanie: „jak postępować w teatrze z rosyjską literaturą?” (a to w kontekście ostatniej adaptacji *Trzech siostr* Czechowa w Lubuskim Teatrze). Pisałem o tym w recenzji *Pusty Czechow*. Zatem czy dopisywać, czy aktualizować? Otóż zamiast dopisywać można przecież sięgać np. do Sigariewa czy Kolady, do ich oryginalnych, współczesnych tekstów. Zamiast dopisywać bezmyślne dialogi wywodzące się z koniunkturalnych i powtarzal-

nych rozwiązań scenicznych i dramatopisarskich współczesnego teatru. Albo sięgać do Zoszczenki, którego dialogi brzmią jakże aktualnie, jak choćby te:

PACJENT I: Raz w tygodniu lecę się na choroby wewnętrzne i przepuklinę, tu, u doktora Opuszkina. To dobry medyk, rozumiejący. Leczę się u niego już piąty rok. I w porządku, nie jest mi gorzej.

PACJENT II: Co to, kochaniutki, za choroba, ta twoja przepuklina. Splunąć i rozetrzeć – tyle twojej choroby. Co innego ja. Nie liczy się, że gębę mam wypukłą, jestem niezależnie okropnie chory. Nerki mi dolegają.

Andrzej Buck

„Piękno arabesek” O wierszach Zygmunta Marka Piechockiego

Zygmunt Marek Piechocki, *Sytuacje*, Wydawnictwo Somer, Gorzów Wlkp. 2009, 90 s.

Słowo, muzyka, obraz – potrójna materia, z której utkane są wiersze Zygmunta Marka Piechockiego sprawia, że *Sytuacje* (taki tytuł nosi omawiany tomik) wychodzą poza krąg sytuacji lirycznych, a ich poetyckość jest jednym z elementów planu estetycznego. Piechocki uprawia poezję kultury, do artystycznych artefaktów sięga jednak w celu odmiennym niżli klasycyści: nie po to, by szukać natchnienia w kulturowym dziedzictwie, nie by reinterpretować tradycję i nawiązywać z nią dialog. Aluzje malarskie i liczne odniesienia muzyczne; nazwiska Chopina, Bacha, Vivaldiego, Liszta, Iana Andersona czy Tommaso Albinoniego są dlań – podobnie jak wklejki-reprodukcje, które ilustrują książkę – rodzajem sztafazu, formą ornamentu. „Mebłując” przestrzeń wiersza, pozwalają wyrazić doznanie estetyczne oraz... smak chwili. Przy czym

ważny jest właśnie smak, dźwięk, kolor. Rzec można, że bohater *Sytuacji* karmi zmysły urodą widzialnego świata, degustuje życie jak wino Cabernet Sauvignon, o którym w tym tomiku mowa parokrotnie.

Ale nie tylko ten wymiar estetyki pojawia się w omawianych wierszach. Wysoką rangę ma tutaj również piękno spod znaku *kalos kagahatos* – to, które nierozdzielnie spokrewnia się z dobrem. W tym kontekście czytać by należało wiersz-prześłanie, otwierające tomik. Poeta deklaruje w nim chęć dawania siebie „strofami / słowami / oczami / jak dłonią otwartą chleb // Wszystkim którzy zechcą” (**** Podaję siebie*). Do tej tradycji odnieść by trzeba również sformułowany w kolejnym utworze dylemat – podstawowy dla autora, dla tego wiersz ów warto przytoczyć w całości:

Tęsknię za sobą
jakim jestem w swoich wierszach:
pięknym i wrażliwym
wrażliwym i pięknym

Wrażliwym?
(jak w zadumie nad tęczą)

Pięknym?
(jak kto? jak adonis?)

A może lepiej
żeby jak Siostra Teresa?

Być?
(*** Tęsknię za sobą)

Konflikt estetyki i etyki jest więc nieunikniony, mimo że wzięty został w nawias autoironii. A w tym szczególnym wypadku spięcie prowadzi do klinczu: nastawienie na „być” jest bowiem antytezą czystej estetyki (pięknoduchostwa), ta natomiast objawia się wyczuleniem na sferę duchową. Stąd pojawiający się od czasu do czasu temat cierpienia, starości, choroby (np. w wierszach *Po stypie, Umierało stojąc, Z cyklu „Listy hipotetyczne”, 30. [miejsca]*). Stąd zapewne franciszkański z ducha szacunek dla życia.

W cytowanych wyżej słowach nieprzypadkowo pobrzmiewa echo Ewangelii. Temat religijny stanowi jeden z wątków książki, a jego wyrazem są wiersze-modlitwy (np. adresowana do „Matki na Jasnej Górze” *moja modlitwa*) oraz liryczne kontemplacje, te przede wszystkim, które składają się na cykl zatytułowany *Zapiski klasztorne*. Właściwsze byłoby tu określenie „muzyczno-klasztorne”, każdy z dziewięciu „zapisów” ma bowiem podtytuł muzyczny (imię i nazwisko kompozytora oraz nazwa utworu) i mógłby być interpretowany jako partytura.

Estetyzacji podlega także inny ważny dla Piechockiego obszar – świat przyrody: leśny dukt, sad, śpiew ptaków, zapach sosen. Pejzaże natury i kultury są tu silnie zrośnięte, („w trawach mazarują świerszcze” – przeczytać można w wierszu *Z Andromedy*), a głosy natury („szmerami” chętnie

nazywa je poeta) tworzą, podobnie jak muzyka mistrzów, odświeżoną, uroczystą aurę. Ta aura przenika opisywaną codzienność, ona też zakreśla klimat i tło zdarzeń, umiejscawianych w lesie, „na drodze” i „na ławeczce przed blokiem”. Taka też jest sceneria spotkań, a zwłaszcza dwojga zakonanych – trudno się dziwić, że i miłosne oczarowanie wyraża się tutaj *ut pictura, ut musica poesis* „Zamiast listu piszę do ciebie obraz” – powie poeta w wierszu pod tytułem *Łosno*.

„Pisze do ciebie”, „piszę list” – to formuła adresatywna, którą często przybiera liryczny komunikat. Refleksja metapoetycka autora objawia się również świadomością słowa, czego przykładem jest formuła tytułowa książki. Czyż bowiem są zapisywane tutaj „sytuacje”? Posiłkując się określeniem wziętym z Piechockiego, rzecz można o nich „piękne arabeski”, a ponadto – liryczne impresje, zapisy akcydensów życia. Najlepsze spośród nich to krótkie utwory, w których liryzm spleta się z humorem i dystansem do siebie. Oto przykład:

Zamiast relanium
łażenie po lesie
sarny pokazują tyłki

Jak Życie
(12.)

Szkoda, że w tomiku znalazło się tylko kilka tego typu wierszy, że więcej tu „uroczystej powagi”, poetyckich wzlotów. W jednym z utworów utrzymanych w takiej podwyższonej dykcji Piechocki nazywa poetów „motylami Pana” (*Poeci, motyle Pana*). Ta metafora trafnie przystaje także do jego poezji, pragnącej słowami chwytać chwile – po to, aby ich pięknem karmić i zmysły, i ducha. Po takiej uczciwe-lekturze zostaje jednak, trzeba na koniec powiedzieć, czytelniczy niedosyt; rozwijając poetykę smaku określimy go jako – przesyty i... pragnienie. Przesyty estetycznej manieri, a pragnienie? Strawy bardziej pożywnej niżeli Cabernet Sauvignon – takiej na przykład jak ów chleb, o którym poeta pisze na początku.

Małgorzata Mikołajczak

Lubuski kryminał

Krzysztof Koziołek, *Święta tajemnica*, Wydawnictwo Kropka, Zielona Góra 2009, 288 s.

Odważni to tacy, którzy realnie rozważywszy następstwa wyzwania, możliwe powodzenie, jak i związane z nim zagrożenie, podejmują je.

Słowa z filmu zatytułowanego *Kate i Leopold*, które posłużyły za motto tej książki, równie dobrze mogłyby dotyczyć jej autora. Krzysztof Koziołek podjął się bowiem niełatwego zadania – napisania powieści, która łącząc sensacyjną fabułę z thrillerem sądowym, osadza ją w lokalnych, lubuskich realiach. Zaznaczmy od razu, że w tym wypadku „lokalność” trzeba wziąć w cudzysłów, gdyż w *Świętej tajemnicy* ze świecą szukać trzeba znaków rozpoznawczych regionu. Radio „Moje Miasto FM”, gazeta „Głos Naszego Miasta”, kawiarnia pod nazwą Czar Namiętności, podobnie jak inne przywoływane w książce toponimy (a obok nich także mówiące nazwiska) wskazują raczej, że mamy do czynienia z typem paraboli czy też powieści z kluczem, i że opisywane zdarzenia osadzić należy w szerszym, pozalubuskim planie. Tym planem jest współczesna polska rzeczywistość.

Wątek kryminalny książki rozwija się w ścisłym związku z satyrą na współczesny świat władzy, mediów, polityki. W narracji Koziołka jak w krzywym zwierciadle odbijają się paradoksy i choroby polskiej współczesności: bezwładny aparat bezpieczeństwa, skorumpowane instytucje, zmanipulowana (za sprawą mediów) opinia publiczna etc. W tym świecie jedyną szansą, że zatriumfować może sprawiedliwość, a do głosu dojść prawda, jest solidarność małej grupy osób i jej determinacja, by stanąć w obronie niesprawiedliwie osądzonego detektywa – ofiary.

Tym, co wyróżnia *Świętą tajemnicę* na tle innych realizacji gatunku, jest sposób rozwiązywania zagadki, bowiem finał nie jest tu równoznaczny z happy endem. Rysem szczególnym jest również kreacja wspomnianego wyżej bohatera, któremu udaje się pozostać zarazem księdzem i człowie-

kiem, i którego postać odbiega od znanych z literatury popularnej wizerunków. Dodajmy, że księdza Sambora (bo takie nietuzinkowe imię nosi ów bohater) wyróżnia nie tylko sutanna, także, włączając go do grona postaci tragicznych, sytuacja. Jej wyjątkowość (clou powieści) polega na impasie: poznawszy straszną tajemnicę spowiedzi („świętą tajemnicę”), bohater nie może jej ujawnić; samotnie, z determinacją podejmuje wyzwanie i... ponosi klęskę.

Pomimo że zarówno wyzyskany tu tragiczny schemat, jak i fabularny (nieco naciągany) wątek tajemnicy spowiedzi miały swoje wcześniejsze realizacje (z jedną z nich – wersją filmową Koziołek zresztą podejmuje dialog), autorowi udało się stworzyć opowieść w pełni oryginalną. Rzec można, że wyzwanie pisarskie (w odróżnieniu od tego, przed którym stanął bohater) kończy się sukcesem.

Święta tajemnica jest książką sprawnie napisaną: umiejętnie rozgrywającą akcję, stopniującą napięcie i budującą klimat osaczenia, a ponadto oferującą rodzaj metafizycznego dreszczu. Nie w tym upatrywałabym jednak jej największych zalet. Cenniejsze jest to, że stawia ważne dla współczesnego czytelnika pytania i mimo że zbyt łatwo przechodzi nad nimi do porządku dziennego, że w argumentacji posługuje się nieraz uproszczeniem i uogólnieniami, a w kreacji postaci ociera o papierowy schemat, mimo że to, co jest jej zaletą – strona techniczna, pod koniec kuleje (akcja traci impet, gubią się wątki, napięcie spada, bo np. nasilający się wątek udręczenia księdza przeradza się w stylistyczną manierę, którą narrator dręczy czytelnika), pozostaje ambitną i – trzeba to wyraźnie podkreślić – udaną pisarską próbą kryminału, w którym zagadka morderstwa otwiera szerszy społeczny horyzont. A patrząc z regionalnej perspektywy, wskażmy jeszcze atut dodatkowy:

oto bowiem obok „kryminału krakowskiego” (reprezentowanego przez tryptyk *Jedenaście, Dwanaście, Trzynaście* Marcina Świetlickiego), obok kryminału wrocławskiego (którego twórcą jest Marek Krajewski), obok wreszcie innych osadzonych regionalnie realizacji gatunku

pojawiał się dobrze napisany – kryminał lubuski. Warto to docenić, nawet jeśli jego lubuskość wyraża się tylko w kilku przywołaniach topografii regionu.

Małgorzata Mikołajczak

Ludzkie oblicze historii

Tadeusz Zubiński, *Ogień przy drodze*, Zys i S-ka, Poznań 2009, 363 s.

[...] wydawało mi się, że człowiek jest taki właśnie jak twierdza.

Kruszy mury, żeby zapewnić sobie wolność, ale wtedy staje się fortecą zburzoną i wydaną gwiazdom.

Wtedy rodzi się lęk nieistnienia.

Antoine de Saint-Exupéry, *Twierdza*

Polsko-ukraińska, dostatnia chata na Podolu, kochające się małżeństwo z dojrzewającym synem, wokół bujne pola, rozległe, howańskie lasy, przepych zapachów, barw i smaków, pod stopami – czarna, żyzna ziemia, nad głową – ogrom nieba. Szczęście? Sielanka? To tylko pozory, wkrótce bowiem spokój burzy polityka – w wymiarze zarówno ludzkim, jednostkowym, bardzo emocjonalnym, jak i ta wielka, międzynarodowa, której podporządkowane są losy całego świata. Tadeusz Zubiński – pisarz, tłumacz, publicysta, wreszcie znawca problematyki polsko-ukraińskiego pogranicza – w swej powieści *Ogień przy drodze* snuje historię pewnej podolskiej rodziny, ukazaną na tle II wojny światowej i niezwykle silnych wówczas na tym terenie konfliktów narodowościowych. Poznając dzieje niełatwego związku polskiego nauczyciela Łukasza i jego żony – pięknej Ukrainki Aleksandry, a także osobowość ich syna – Wiktora (wychowany na Polaka i katolika, z czasem coraz silniej odczuwa swą przynależność do narodu

ukraińskiego i jawnie manifestuje taką postawę), czytelnik – świadom, iż akcja rozpoczyna się w pamiętnym roku 1939 – przewiduje, że w książce „będzie się działo”. Okazuje się jednak, że zanim akcja nabierze rozpędu, odbiorca będzie się godzinami przechadzał po polach, obserwował chmury, kwiaty i owady, zajrzy do chat (polskich i ukraińskich) i do umysłów ich mieszkańców. Pozna niezwykłą specyfikę czasu i miejsca, zachwyci się pięknem przyrody, zaznajomi z mieszkańcami Hallerówki i Rudawki – jednych polubi, innych nie, wszystkich natomiast zrozumie i – jak sądzę – zaakceptuje.

Takie wczucie się w atmosferę opowieści i utożsamienie z bohaterami możliwe jest dzięki mistrzowskiej narracji. Autor rozpościera skrzydła epickiego rozmachu, konstruując przepiękne, literackie pejzaże. Plastyczny język, liczne metafory i porównania – niejednokrotnie zaskakujące zarówno odległością skojarzeń, jak i ich trafnością, bogate słownictwo, niestroniące od ożywiających dialogi dialektyzmów i potocznej frazeologii – to wszystko wpływa na perfekcję stylistyczną Zubińskiego. Wielość i drobiazgowość opisów przyrody przywodzą tu na myśl twórczość Orzeszkowej połączoną z Sienkiewiczowską lekkością pióra i jego literacką fascynacją wschodnim pograniczem Rzeczypospolitej; całości dopełnia Schulzowska nuta mitologizacji oraz niemal ma-

larska impresja – rozległa, rozmyta i pozbawiona konturów – mimo punktowej dokładności artysty. Dzięki takim opisom czytelnik nie tylko odczuwa ogólną atmosferę opowieści, kształtują one ponadto nastrój chwili, często zapowiadają przyszłe wydarzenia. Pełnią również funkcję retardacji, przez co wpływają na stopniowanie emocji – za ich sprawą akcja toczy się powoli, a „ogień przy drodze” zdaje się nieustannie, niespokojnie tlić, aby ostatecznie (jak można się spodziewać) wybuchnąć pożogą. Pożodze tej towarzyszy brutalna, naturalistyczna narracja, która jest tym bardziej zaskakująca, że zestawiona z owym poetyckim impresjonizmem. Naturalizm służy też ukazaniu czysto biologicznych aspektów ludzkiej egzystencji oraz – niekiedy – uniesień erotycznych, bowiem i od takich opisów autor nie stroni.

Stylistyczne urozmaicenie narracji pożądane jest nie tylko ze względu na konieczność dostosowania formy przekazu do rodzaju opisywanych wydarzeń, ale także w związku z tym, że – niestety – jakkolwiek przepiękne i cudnie metaforyczne, liczne opisy niekiedy nużą swą monotonią, ale – co warto podkreślić – autor zdaje się być tego świadom, bowiem i jego bohaterowie bywają w takich sytuacjach senni i znużeni (np. Klinghorn, jadąc pociągiem do Lwowa i podziwiając widoki za oknem, ostatecznie zasypia, co w pewien sposób zbliża go emocjonalnie do czytelnika, któremu w trakcie tej „podróży” również powieki zaczęły ciężać).

Często bywa tak, że pisarz, który wyśmienicie radzi sobie z opisami, objawia pewną nieporadność w konstruowaniu dialogów. Z takimi trudnościami bynajmniej nie boryka się Tadeusz Zubiński. Rozmowy jego bohaterów są żywe i prawdopodobne – dzięki liczным niedopowiedzeniom, przeskokom myślowym, zróżnicowaniu wypowiedzi w zależności od tego, kto mówi i w jakiej sytuacji, wreszcie dzięki wtrętom obcojęzycznym i dialektyzmom, które wcale nie utrudniają odbioru, jako że wszystkie mniej znane formy wyrazowe wyjaśniono w przypisach autorskich. Dzięki temu książka jest na tyle przystępna pod względem językowym, że może ją czytać

największy laik w kwestiach historii i obyczajowości mieszkańców Podola.

Wątpliwości może budzić kwestia, czy owego laika zainteresować może właśnie taka, a nie inna opowieść. Myślę, że tak – nie tylko ze względu na perfekcję stylistyczną (wszak nie każdy gustuje w poetyckich pejzażach), ale przede wszystkim z uwagi na interesujące sylwetki bohaterów. Ich wizerunki kształtują zarówno opisy wyglądu (będące kolejnym dowodem maestrii narracyjnej autora), jak i kreacja psychiki, przy czym warto zauważyć, że Zubiński nie zwykł pisać wprost: „Łukasz był odpowiedzialny i tolerancyjny”. Przeciwnie – żadna z postaci nie jest jednoznaczna ani stereotypowa, każda zdaje się żyć własnym życiem. Poznajemy ją o tyle, o ile zdradzają ją własne słowa, postawy, działania czy monologi wewnętrzne. Bohaterowie *Ognia przy drodze*, podobnie jak prawdziwi ludzie, stanowią mieszaninę cech. Ma się o nich pewne przekonanie, ale tak naprawdę nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać w danej sytuacji. Zmieniają się, zaskakując tym innych i samych siebie. Są naturalni. Ludzcy.

W tej ludzkości dostrzegam największy chyba atut powieści Zubińskiego, tym istotniejszy, że służy ukazaniu historii (tej potężnej, światowej i tej lokalnej, nie mniej okrutnej), która dotyczy każdego, kto wprzęgnięty jest w jej tryby i trybiki. To historia jednostkowa, prywatna, stosunkowo mało znana, jako że niewiele ma wspólnego z Westerplatte, Dunkierką, Stalingradem, nawet Warszawa jest na dalszym planie. To wreszcie nie tylko opis przebiegu II wojny światowej na terenie Podola i Wołynia, lecz także przybliżenie konfliktów narodowościowych, które w tym czasie były tu szczególnie silne. Zubiński ukazuje dzieje napięć między Polakami, Ukraińcami i Żydami, którzy od lat zamieszkują na jednym obszarze, są dla siebie sąsiadami, znają się doskonale, a mimo to tli się w nich wzajemna niechęć i wrogość, która czeka tylko na płomyk zapłonu, aby wybuchnąć z całą mocą. Całości obrazu dopełnia stosunek wobec obcych – okupantów (Rosjan i Niemców). W rezultacie otrzymujemy zupełnie inny, mniej znany

i bardzo ludzki wymiar II wojny światowej. Autor nie proponuje nam oglądu z lotu ptaka przebiegu działań militarnych na głównych frontach, ale pozwala spojrzeć oczami bohaterów na to, co dzieje się „przy drodze”.

Ogień przy drodze to utwór polifoniczny – narracja prowadzona jest z wielu perspektyw. Dzięki temu Zubińskiemu udaje się odzwierciedlić mnogość spojrzeń na ówczesną sytuację społeczną, oddać wielość racji, którymi kierują się bohaterowie utworu przy podejmowaniu konkretnych decyzji. Jego powieść nie jest czarno-biała, stanowi niezwykle bogatą paletę barw, emocji, przemyśleń, przekonań.

Taki sposób opowiadania o konfliktach narodowościowych na Podolu w czasie II wojny światowej – jak sądzę – poszerza horyzonty czytelnika, otwiera mu bowiem oczy na nieznaną historię, wyjaśnia pozornie bezsensowne, zawiłe, nielogiczne konflikty społeczne. Zubiński sprowadza wojnę do ludzkiego wymiaru, pozwala odbiorcy odczuć „na własnej skórze”, jak dotkliwe są krzywdy osób wplecionych w kanwę historii. Pokazuje, jak bardzo przypadkowe i uzależnione od indywidualnych wyborów bywają dzieje całej ludzkości, a zarazem – jak niewiele człowiek może na ich przebieg zaradzić. Co więcej, przełamuje narodowościowe stereotypy, z drugiej zaś strony – dowodzi, jak bardzo te mogą one zaważyć na stosunkach międzyludzkich. Towarzyszy im pamięć przeszłości, która w takich sytuacjach częściej koncentruje się wokół dawnych napięć i konfliktów niż porozumień. Niechęć Ukraińców wobec Polaków – nadętych magnatów i imperialistów oraz Polaków wobec mieszkańców Ukrainy – dzikich „Kozaków” rodem z *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, bezwzględnych i namiętnych nacjonalistów – taką wrogość ugasić może chyba tylko miłość i poczucie więzi rodzinnych.

Bohaterowie Zubińskiego, choć niezwykle różnorodni, nieprzewidywalni, niejednolici i zmienni, zdradzają też pewne postawy i zachowania uniwersalne. Oprócz uczuć rodzinnych i miłości (która nie tylko łączy, ale często również dzieli, bywa to bowiem siła tak potężna, że przekracza wszelkie

granice – zarówno narodowościowe, jak i moralne), warto wskazać tu na ogólnoludzkie pragnienie wolności, niezależności, bezpieczeństwa i dostatku. Dla realizacji tych szczytnych i godnych uznania celów człowiek jest gotów skruszyć wszelkie mury – mścić się, gwałcić i zabijać. Kiedy jednak mury zostają zburzone, bywa tak, że – jak pisał Antoine de Saint-Exupéry w *Twierdzy* – ten bojownik o wolność sam „staje się fortecą zburzoną i wydaną gwiazdom”. Trudno bowiem jednoznacznie orzec, gdzie kończy się walka o własną tożsamość, a zaczyna destrukcja, rzeź i rozpacz.

Czy wobec takich uniwersalnych właściwości ludzkiej psychiki możliwe jest jakiegolwiek porozumienie międzykulturowe? Lektura *Ognia przy drodze* poucza, że tak, ale ma ono wymiar jednostkowy i jest wynikiem działania wielu czynników. Niewątpliwie sprzyja mu próba zrozumienia specyfiki innych narodów, akceptacja uznawanych przez nie wartości, ich aspiracji i przekonań.

Ogień przy drodze Zubińskiego to książka, która wpływa na wytworzenie takich właśnie postaw. To nie tylko literacka przygoda na wojennym Podolu, lecz również powieść poszerzająca horyzonty intelektualne, wiedzę historyczną i psychologiczną, otwiera bowiem oczy na prawdę o człowieku, który nigdy nie jest uchwytany i jednoznaczny, a z drugiej strony – pod pewnymi względami nigdy się nie zmienia, zawsze miotają nim emocje, zajmuje go troska o siebie i swoich najbliższych, pragnienie wolności, niezależności, szczęścia. „Człowiek się nie zmienia, człowiek czasem – po prostu – daje się tylko poznać z innej strony” – stwierdził Władysław Grzeszczyk w swojej *Paradzie paradoksów*. *Ogień przy drodze* wart jest, moim zdaniem, polecenia każdemu, kto chciałby spojrzeć z zupełnie nowej perspektywy na dzieje II wojny światowej czy na przebieg konfliktu polsko-ukraińskiego na Podolu, który w całym swym okrucieństwie, zaślepieniu, „zezwierzęceniu” – jest jednocześnie całkowicie ludzki. Być może jego zrozumienie, „wysłuchanie” argumentów obu ze stron (poprzez utożsamienie się z reprezentującymi je bohaterami) wpłynie na przełamanie narodowościowych uprzedzeń

i stereotypów, położy kres oskarżeniom o winę wszczęcia wojennej rzezi na Podolu i nada nowego znaczenia mottu utworu Zubińskiego: „Ze stu królików nigdy nie stworzy się konia, ze stu

poszlak nigdy nie stworzy się dowodu” (Fiodor Dostojewski).

Agnieszka Szpylma

Co zrobić ze wspomnieniami?

Anna Strzelec, *Druga pora życia, czyli jak zabija się miłość*, Wydawnictwo Radwan, Tolkmicko 2010, 167 s.

Druga pora życia, czyli jak zabija się miłość jest kontynuacją powieściowego debiutu gorzowskiej pisarki Anny Strzelec, który ukazał się pod tytułem *Tylko nie życz mi spełnienia marzeń*. Znajdziemy w niej dalsze losy bohaterki, która zdecydowała się na stałe zamieszkanie za naszą zachodnią granicą i (po rozwodzie) próbuje ułożyć sobie życie na nowo z niemieckim mężem. Już podtytuł („jak zabija się miłość”) jednoznacznie sugeruje, że niestety – układanka co i rusz rozsypuje się, części wymykają z rąk i trudno sensownie ułożyć jakiś wzór. Piętrzą się typowe dla niedobranego małżeństwa problemy, tym poważniejsze, że małżonków dzielą różnice kulturowe i odmienność mentalność. Te zapiski, będące swoistym studium niespełnionych marzeń i ginącej miłości, są przesycone melancholią. Bohaterka podejmuje usilne próby dopasowania się do sposobu myślenia męża, niemal rezygnując z własnych zapatrywań na życie, ale przecież „do tanga trzeba dwojga”.

Również i tutaj dominuje obecne w pierwszej części książki poczucie rozdarcia. Dylemat jest nierozwiązywalny: w Niemczech jest mąż, ale w Polsce – pozostały dorosłe dzieci i ukochane wnuki, z którą łączą bohaterkę silne uczuciowe więzi. Jak pogodzić obie ważne w życiu kobiety miłości? Jest to tym trudniejsze, że mąż – Niemiec nie patrzy przychylnie na częste podróże swojej żony do Polski i na utrzymywanie przez nią kontaktów z krajem. Sam też nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany Polską. Ma za to – niestety – inne zainteresowania, których z udanym mał-

żeństwem pogodzić nie sposób, co wzmacnia jeszcze gorycz Anny.

W drugiej części historii mamy mniej niż w poprzedniej książce spostrzeżeń ogólnej natury o niemieckiej codzienności, prób porównań realiów polskich z niemieckimi. Następuje wyraźne skupienie się autorki na prywatności, osobistych życiowych dylematach głównej bohaterki, a szczególnie na jej małżeńskich problemach. Nie brak szczerości i realizmu, zaś historia na tyle wciąga czytelnika w nurt wydarzeń, że w miarę rozwoju sytuacji zaczynamy zadawać sobie pytanie: jak tę historię opowiedziałby mąż Anny, Horst?

Życiowe problemy rzadko pojawiają się w pojedynkę – i tak jest również w tej książce. Znajdziemy w niej przejmujący portret sędziwych rodziców męża i opis smutnych realiów związanych z opieką nad nimi. To kolejny aspekt trudnej codzienności, z którym musi zmierzyć się Anna. Nie ukrywa, że trudno jest sprostać rozlicznym i najczęściej niespodziewanym problemom związanym z codziennym wspieraniem dwojga starszych ludzi. To wymaga psychicznej i fizycznej odporności. Warto zauważyć, że ciągle jest to u nas temat raczej przemilczany i wstydliwie pomijany, i który w naszej literaturze nadal jeszcze gości stosunkowo rzadko.

Cała historia zostaje opowiedziana z pewnym dystansem czasowym, przyjmuje formę reminiscencji, wspomnień, okruszków wydobywanych z pamięci. To dla Anny trudny proces: „Co zrobić ze wspomnieniami? Albumami, filmami sprzed lat? Kto będzie do nich wracał?” (s. 136). Choć autorka

już wie, jakie jest zakończenie tej historii, to jednak decyduje się na konfrontację z przeszłością. I znów wielkim walorem jej opowieści jest nastrój, w jakim wspomina i dokonuje bilansu swojego życia: ze smutkiem, towarzyszącym każdej życiowej przegranej, ale jednocześnie bez goryczy (co wcale nie oznacza, że historia nie jest gorzka). Bez chęci zemsty, choć z poczuciem, że szczęśliwy miniony czas już nie wróci. Ze swoistym rodzajem pokory, ale jednak z głową wzniesioną wysoko – bo życie jeszcze się nie skończyło i z pewnością przyniesie ze sobą coś pozytywnego. Wszak zaczyna się „druga pora życia”, która może okazać się szczęśliwa.

Przesłanie tej powieści nie jest być może odkrywcze, ale przecież nie wszystkie książki muszą od tej strony wpisywać się w literacki pejzaż: to kochająca rodzina i przyjaciele przywracają właściwe życiowe proporcje i dają bez-

cenne wsparcie. Taki jest klimat „drugiej pory życia” Anny: mimo wszystko optymistyczny, choć niepozwalający łatwo zapomnieć o minionych porażkach. Pomagają też w tym podróże i... wiśniowa nalewka, która stosowana z umiarem jest symbolem radości życia i tej wielkiej sztuki życia, jaką jest niepoddawanie się nastrojom przygnębienia i poczuciu przegranej. Trzeba mieć odwagę, by wejść w głąb siebie po to, by zrozumieć to, co nas spotyka, i aby odnaleźć życiowe siły i energię do dalszego działania. Nawet, jeśli nie powiedzie się jakiś etap życia, to toczy się ono dalej i trzeba zrobić wszystko, by się do dalszego ciągu przygotować. Nawet, jeśli miłość została zabita, to pozostało przecież w życiu jeszcze wiele innych cennych rzeczy, które można ocalić i zbudować z nich trwały fundament na przyszłość.

Joanna Kapica-Curzytek

Wisława Szymborska multimedialnie

Album multimedialny: *Wisława Szymborska*, Wydawnictwo Agora SA, Warszawa 2010.

Wisława Szymborska dawkuje swoją twórczość. Gdy w 2009 roku pojawił się tomik *Tutaj*, tak entuzjastycznie przyjęty przez czytelników i krytykę, można było pomyśleć, że wielbicielom tej poezji znów przyjdzie czekać na kolejny zbiór latami. Tymczasem ukazał się multimedialny album – prawdziwy rarytas, który z pewnością osłodzi czekanie. Niezwykle to przedsięwzięcie, bo Szymborska nie tylko wydaje rzadko, ale i wywiadów udziela niechętnie. Cóż dopiero film o niej! Publikacja składa się z książki, trzech płyt CD oraz jednej DVD. Do poczytania, trzecho słuchania i pooglądania – kolejność dowolna.

Pisanie życiorysu

– w wierszu o takim właśnie tytule poetka z charakterystyczną dla siebie ironią napisała: „Obo-

wiązuje zwięzłość i selekcja faktów. / Zamiana krajobrazów na adresy / i chwiejnych wspomnień w nieruchome daty”. Taki życiorys, według poetki, przemilcza to, co najważniejsze: psy, koty i ptaki, pamiątki, przyjaciół i sny, wartości, treści i przyczyny. Ten wiersz wystarczy, by podejrzewać, że Szymborska czuje niechęć do „biografii zewnętrznej”.

Przywołany utwór ze zbioru *Ludzie na moście* otwiera książkę wchodzącą w skład albumu. Można go więc traktować jako przewrotne motto. Tekst, który po nim następuje, napisały Anna Bikont i Joanna Szczesna – autorki popularnonaukowej biografii *Wisławy Szymborskiej pamiątkowe rupiecie, przyjaciele i sny*. Ani ta książka, ani tekst zamieszczony w albumie nie jest typowym opracowaniem biograficznym. Zresztą, jak zauważyły autorki, Szymborska nie pomaga

biografom, bowiem: „nie podaje faktów, nie pamięta dat, jej pamięć nie jest linearna, wydobywa z przeszłości jakiś pojedynczy obraz, niewielki detal, drobny szczegół” (s. 3). Niemniej jest tu mowa o najważniejszych wydarzeniach i osobach z życia Szymborskiej. Tekst zawiera też kilka informacji o warsztacie poetyckim, choć sama poetka rzadko zdradza cokolwiek na ten temat. Autorki przytaczają wypowiedzi noblistki, jej przyjaciół, a także cytaty wierszy. Są i anegdotki.

Dla tych, którzy jednak potrzebują chronologicznie uporządkowanej wiedzy o poetce, w albumie znalazło się Kalendarium. Daty i wydarzenia zestawiała Antonina Turnau. W tym wypadku podana informacja niekiedy tylko pozornie jest suchym faktem. Na przykład pod rokiem 1990 widnieje zapis: „28 lutego umiera Kornel Filipowicz. Po jego śmierci Szymborska pisze m.in. wiersz *Kot w pustym mieszkaniu*, którego nigdy nie czyta na wieczorach autorskich” (s. 28). I tu już żadnego komentarza nie trzeba...

Książkę okraszają czarno-białe zdjęcia: Szymborska paląca nad filiżanką kawy, dziesięcioletnia Wisława na wycieczce w ogrodzie botanicznym, w gimnazjalnym mundurku, z przyjaciółmi, noblistka z noblistą – Szymborska i Miłosz, w samolocie, z szimpansicą Cziki, za maską, ze swoim sekretarzem i jeszcze kilka przeuroczych zdjęć bez niczyjego towarzystwa. Poetka taką pozwala sobie zobaczyć. Te fotografie to też element „biografii zewnętrznej”.

Przewrotny portret

Chwilami życie bywa znośne – przewrotny portret Wisławy Szymborskiej Katarzyny Kolendy-Zaleskiej to niezwykle film dokumentalny. Reżyserka, jak powiedziała na początku w rozmowie z Szymborską, dostała możliwość spełnienia marzeń noblistki. Kolendzie-Zaleskiej udało się przeprowadzić wywiady z cenionymi przez poetkę osobami: Woodym Allenem, Václavem Havlem i Jane Goodall. Następnie w krakowskim multikinie odbyła się kameralna projekcja tychże rozmów. Dziennikarka towarzyszyła też Szymborskiej

i Michałowi Rusinkowi podczas europejskich podróży. Migawki z wywiadów, wojaży, wypowiedzi słynnych literatów, przyjaciół i bliskich znajomych, materiały archiwalne i kilka bonusów – wszystko zostało znakomicie zmontowane, dając ciepłą i subtelną opowieść o niezwyklej osobie. Choć jest to narracja wielogłosowa, to wyłania się spójny obraz poetki; ani jednego negatywnego komentarza. Jej wielka twórczość i jednocześnie pokora wobec świata zjednują od pierwszego kontaktu.

„Ona – mówi Woody Allen – jest w stanie uchwycić najbardziej wzruszające momenty życia i jego smutek, a jednocześnie pozostać optymistką”. Słynny reżyser deklaruje, że jest wielkim wielbicielem talentu Szymborskiej, że czyta jej wiersze, że najbardziej na niego wpłynął *Hipochondryk*. Jane Goodall z kolei najbliższy jest utwór *Dwie małpy Bruegla*, co też nie powinno dziwić. Václav Havel również wypowiada się o noblistce ciepło.

Szymborska nie wie, kiedy zaczęła pisać. Nie wie też, dlaczego to robi. Dziennikarzy, którzy jeszcze zadają takie pytania poetce, warto odesłać do jej autotematycznych wierszy. Szymborska rozumiale opisuje głębokie treści, ale jak się okazuje, te utwory wcale nie są łatwe dla tłumaczy. Mimo to jej poezja jest czytana przez szerokie grono odbiorców. Zdaniem Umberto Eco, sukces poetki tkwi w tym, że „w prosty i nieskomplikowany sposób pisze o rzeczach najważniejszych”. Jak można dowiedzieć się z filmu, amerykańskie stowarzyszenie miłośników poezji umieściło wiersze Szymborskiej w metrach Nowego Yorku i Chicago. Ludzie czytali, ba!, w metrze zaobserwowano, że niektórzy uczą się tych kilkunastowersowych utworów na pamięć. Przy współczesnych środkach masowego przekazu (i komunikacji) Szymborska staje się dostępna na wiele sposobów, co zresztą pokazuje niniejszy album.

Oko kamery towarzyszy Szymborskiej podczas podróży po Europie. Kamera rejestruje, jak zwiedza muzea i w sklepach z pamiątkami przygląda się bibelotom, szukając prezentów dla przyjaciół

i fantów na słynne loteryjki. Poetka lubi „wyrafinowany kicz”. Pozwala się sfotografować pod tablicami z nazwami miejscowości. Czyta swoje limeryki. W towarzystwie Kolendy-Zaleskiej i Rusinka spaceruje po ulicach włoskiego Corleone czy irlandzkiego miasta Limerick. Jest nagrywana w domu i podczas prywatnych spotkań. Gdziekolwiek by nie była, wygląda na równie zaciekawioną otaczającym światem. Według Grzegorza Turnaua, Szymborska jest zewsząd i znikąd, przynależy do każdej przestrzeni.

Przy tym poetka musi mieć swój najprywatniejszy obszar, do którego nie dopuszcza wąskich podglądaczy. Jej prywatność w gruncie rzeczy pozostaje nienaruszona. Być może ten film został wyprodukowany dlatego, że nikt nie przekroczył granicy, nie wszedł z butami w domostwo, by węszyć sensację. Szymborska ufa autorce filmu – w tym jego sukces.

Kolenda-Zaleska należy do grona przyjaciół. Noblistka ma ich niewielu. W przyjaźni jest wierna. Jak zauważył Rusinek, szczególnie dba o przyjaźnię zawartą jeszcze przed Nagrodą Nobla. Czas, gdy przyznano Szymborskiej Nobla, był dla niej bardzo trudny. Bliscy dzielą nawet jej życiorys na okres „do tragedii sztokholmskiej” i „po tragedii sztokholmskiej”. „Jestem absolutnie pewna – stwierdziła Joanna Szczęsna – że ani o tym nie marzyła, ani to jej nie było potrzebne i zniosła to z godnością”. I nadal wykleja dla przyjaciół kartki-kolaże, tyle że teraz wiele osób o tym wie (w 2008 roku ukazała się biograficzno-albumowa publikacja *Wisławy Szymborskiej dary przyjaźni i dowcipu. Teksty i wyklejanki poetki z kolekcji Ryszarda Matuszewskiego*) i stają się one bardziej pożądane. Na przykład wycinanka ofiarowana W. Allanowi zrobiła na nim wielkie wrażenie; stwierdził, że znaczy dla niego więcej niż „te wszystkie głupie, złote statuetki, które dają w branży filmowej”.

Z filmu Kolendy-Zaleskiej można dowiedzieć się przeróżnych rzeczy o Szymborskiej. O jej zainteresowaniu boksem i Andrzejem Gołotą, i co z tego wynikało w pewną rocznicę urodzin. O tym, co Szymborska mogłaby robić w piekle. Od kiedy

pali papierosy. Ile szuflad jest w jej mieszkaniu. Czy śledziła losy niewolnicy Isaury. I w końcu – gdzie jest „Nobel”.

W filmie poruszono też inne kwestie, które mogłyby się wydać „poważniejsze”, bowiem kiczowate buiczki do stępowania są dla Szymborskiej przyjemnością, ale dopiero *Młeczarka* Vermeera sprawia, że „nie zasługuje Świat / na koniec świata”. Poetka opowiada o swojej fascynacji konkretnymi obrazami Vermeera i Rembrandta. Mówi też o wierszach pisanych w stalinizmie i wyrażających ducha tamtych czasów. Przyznaje się do niewiedzy i wspomina nastroje w powojennym środowisku literackim i jej ówczesne przekonanie, że to, co pisze, jest słuszne.

Kolenda-Zaleska odwiedziła też miejsca ważne we wcześniejszych etapach życia poetki. Dziennikarka była w krakowskim gimnazjum prowadzonym przez siostry urszulanki, do którego uczęszczała przyszła noblistka. Pokazała również ulicę Krupniczą, przy której mieściła się „kolonia poetów”, gdzie mieszkała młoda literatka.

Wzruszające są jeszcze momenty, gdy przyjaciele Szymborskiej opowiadają o jej związku z Kornelem Filipowiczem; o tym, że byli jak połówki jabłka. W filmie wykorzystano stare fotografie. Na nostalgicznych i w gruncie rzeczy intymnych zdjęciach kobieta i mężczyzna siedzą, palą, są na rybach, pod namiotem, patrzą w tę samą stronę lub w przeciwną. Udało się zatrzymać w kadrze chwile zwyczajne i wyjątkowe zarazem. Przejmujące. I ani jednego komentarza Wisławy Szymborskiej, który by bezpośrednio odnosił się do tego związku.

Faktem jest, że poetka nie ułatwia zagłębiania się w jej życiorys; zainteresowanych odsyła do wierszy. W nich jest wszystko.

Wiersze, szelesty i pomruki

Zdaniem Szymborskiej, wiersze powinny być pisane tak, jakby się głośno myślało. Ten genialnie prosty postulat stosuje w swojej twórczości. Dlatego jej teksty tak znakomicie nadają się do czytania na głos. Właściwie do mówienia, nie

deklamowania. Ponadto sama Szymborska świetnie czyta Szymborską. Nie każdy autor to lubi, a ona po prostu jest w tym świetna. „Głośne myślenie” wiąże się niekiedy z tym, że wypowiedzane są myśli, które nie zawsze muszą być słyszane przez innych. Nagrywanie w studiu daje jednak możliwość poprawiania, retuszowania, niwelowania szumów i wycinania wtrąconych słów. Ale w tym przypadku realizatorzy chyba niczego nie zmienili.

Na dwóch płytach CD Szymborska czyta wiersze z tomików *Chwila* i *Dwukropek*. Robi to znakomicie, niemniej zaskoczeniem są te studyjne rozmowy, których nie wycięto. A to autorka zwraca uwagę na słowo „zazielenionego”, a to niecierpliwi się, ma ochotę na kawę i papierosa. Po raz kolejny wykazuje się dużym dystansem do siebie. Nikt tak nie żartuje z Szymborskiej jak Szymborska.

„Trochę jakichś maleńkich szelestów, pomruków. [...] wołałabym taką niedoskonałość. [...] Życie powinno trochę szemrać, szeleścić” – stwierdza poetka, gdy delikatnie słyhać przeczucie kartki. Z takiego małego zdarzenia, drobiazgu, wyciąga prawdę. Chce być bliżej życia.

Gdy Szymborska decyduje się mówić inaczej niż za pośrednictwem kartki papieru, to wydaje się, że nigdy nie kieruje się do kamery czy mikrofonu, zawsze do człowieka. Dlatego taką przyjemnością jest słuchanie tych nagrań.

Poezja śpiewana

Na jednej z płyt wchodzących w skład albumu znalazły się piosenki z tekstami Wisławy Szymborskiej. Zebrano dziesięć aranżacji muzycznych, z których najstarsze pochodzą z lat 60., a najnowszą jest *Mebłościanka* z 2010 roku wykonana w duecie przez Annę Radwan i Grzegorza Turnaua. Teksty noblistki równie znakomicie brzmią

w interpretacji Hanny Banaszak, Łucji Prus, Stanisława Soyki, Doroty Miśkiewicz, Skaldów, Michała Bajora i Maanam. *Nic dwa razy* – jedyny utwór w dwóch aranżacjach – świetnie prezentuje się zarówno w melancholijnym wykonaniu Łucji Prus, jak i charyzmatycznej Kory.

Reasumując, płyta to gratka dla wielbicieli dobrej poezji i dobrej muzyki.

Słowa, dźwięki, obrazy. Multimedialny album pozwala na obcowanie z wyjątkową poezją i na poznanie wyjątkowej poetki. Jednakże nie jest to całościowy obraz, tak jak poezji nigdy nie da się zgłębić raz na zawsze. Przewrotny portret Szymborskiej ukazuje poetkę optymistyczną, prawie zawsze uśmiechniętą, cieszącą się światem i życiem w różnych jego przejawach, zwłaszcza tych pozornie błałych i niewiele znaczących. To jej jasna strona mocy, która równoważy to, o czym opowiadać nie chce i ma do tego prawo.

„Ja mam do ludzi inną twarz, dlatego pokazuję mnie od strony anegdotycznej, jako osobę wesołą, która nic, tylko wymyśla najróżniejsze gry i zabawy. To, że inni tak mnie widzą, to moja wina. Pracowałam długo na ten wizerunek. Bo jak mam zapaści, smartwienia, to do ludzi nie wychodzę, żeby nie pokazywać ponurej twarzy. I wygląda, jakbym prowadziła życie motylka, jakby życie nic, tylko głąaskało mnie po głowie” (s. 23).

Czy to oznacza, że Szymborska w którymś miejscu jest nieszczerą? Myślę, że wręcz przeciwnie. Gdy sugeruje, że prawda o niej jest w jej utworach – to znaczy, że najpewniej właśnie tam należy jej szukać.

Joanna Wawryk

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Dorota Bazuń, *Monar – fenomen ruchu społecznego*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 248 s.
- Romuald Marek Jabłoński, *Biblia w edukacji polonistycznej szkoły ponadgimnazjalnej*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 516 s.
- Lidia Kataryńczuk-Mania, *Nauczyciel edukacji muzycznej we współczesnej rzeczywistości kulturalnej*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 421 s.
- Andrzej Marcinkian, *Ziemia Lubuska w dobie cywilizacji łuzycyckiej*, Zielona Góra 2010, Część pierwsza – katalogowa, 280 s.; Część druga – analityczna 335 s.
- Platon w Polsce 1800-1950. Antologia*, red. nauk. T. Mróz, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 293 s.
- Renowacja budynków i modernizacja obszarów zabudowanych*, t. 5, red. nauk. T. Biliński, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 584 s.
- Rumak z nocą na grzbiecie. Antologia poetów ze Wschowy*, wybór i oprac. J. Pytel, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2009, 31 s.
- Alfred Siatecki, *Drugi klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2010, 207 s.
- Wiesława Sikierka, *Jesiennie w moim ogrodzie*, Wydane nakładem Autora, [b.m.] 2010, 56 s.
- Dorota Szaban, *Internet w kampanii wyborczej. Analiza socjologiczna mobilizacji elektoratu w wyborach parlamentarnych w 2005 roku w Polsce*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 149 s.
- Szlachta europejska w strukturach lokalnych XVI-XVIII wieku*, red. nauk. M. Konopnicka, J. Kuczer, W. Strzyżewski, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2010, 259 s.
- Henryk Szyłkin, *Sonety ostrobramskie*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2010, 48 s.
- Warkocze czasu. Antologia poetów ze Wschowy*, wybór i oprac. J. Pytel, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2010, 76 s.
- Konrad Wojtyła, *może boże*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2010, 51 s.
- Wydarzenia zielonogórskie w 1960 roku*, red. T. Dzwonkowski, Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”, Poznań – Warszawa – Zielona Góra 2010, 206 s.

AUTORZY NUMERU

Halina Bohuta-Stapel

Ur. w Poznaniu; absolwentka Politechniki Wrocławskiej, poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Wydała cztery tomiki wierszy; jest laureatką nagród i wyróżnień literackich. W 2009 r. otrzymała nagrodę kulturalną Wójta Gminy Świdnica. Mieszka w podzielonogórskim Wilkanowie.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych.

Rafał Ciesielski

Szef programowy Lubuskiego Biura Koncertowego, muzykolog i klawecista, publicysta muzyczny. W latach 1991-99 był stałym recenzentem muzycznym „Gazety Lubuskiej”, publikował także w „Ruchu Muzycznym”, „Gazecie Wyborczej – Gazecie Zachodniej”, jako recenzent wydawnictw fonograficznych w Magazynie Muzycznym „Klasyka” oraz w wydawnictwach okolicznościowych. Jest redaktorem biuletynu „Orfeusz” oraz autorem koncepcji i redaktorem programów Uniwersyteckich Koncertów Kameralnych ARS LONGA. Jest klawecistą zespołów: Quodlibet Orchestra, Arundo oraz Dixieland Orchestra.

Edward Derylak

Ur. w 1953 r. w Harasiukach (woj. podkarpackie). Absolwent WSO w Poznaniu i WSP w Zielonej Górze. Członek grupy literackiej „Dysonans” we Wrocławiu. Autor opowiadań i powieści. Laureat konkursów literackich.

Krzysztof Fedorowicz

Dziennikarz, poeta, laureat nagrody im. Georga Trakla. Gospodarz winnicy Miłosz w Łazie koło Zaboru. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej”.

Angelika Fornalska

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego

Agnieszka Graczew-Czarkowska

Ur. w 1970 r. w Zielonej Górze, zawód wolny – artystka.

Marek Grewling

Ur. w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii; absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest członkiem Związku Literatów Polskich.

Magdalena Gryska

Malarka, absolwentka PWSSP w Poznaniu, wolny słuchacz w École Nationale Supérieure Des Beaux Arts w Paryżu. Prowadzi pracownię malarstwa w Instytucie Sztuki (Wydział Artystyczny UZ). Członek założyciel Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Współczesnej w Zielonej Górze. Kurator oraz organizator ogólnopolskich wystaw, redaktor graficzny „Pro Libris”, profesor UZ.

Guben Günter

Ur. w 1938 roku pod Gubinem/Guben. Reżyser radiowy, autor ośmiu książek. Prezes Stowarzyszenia Pisarzy „Stuttgarter Schriftstellerhaus”. Mieszka w Esslingen w Badenii-Wirtembergii.

Joanna Kapica-Curzytek

Ur. w 1967 r. Filolog angielski, glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, portal internetowy księgarni Merlin), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Jest współautorką i tłumaczką reportażu, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Oprócz literatury jej największą pasją są języki obce.

Jacek Katos Katarzyński

Ur. w 1966 r. w Koninie. Poeta, performer, filmowiec niezależny. Organizator i współorganizator licznych imprez kulturalnych. Członek zielonogórskiej grupy filmowej Sky Piastowskie. Autor czterech książek poetyckich i licznych publikacji prasowych. Od 1984 r. na stałe związany z Zieloną Górą. Obecnie pracuje w Lubuskiej Telewizji Regionalnej.

Beata Patrycja Klary

Poetka, publicystka, stypendystka prezydenta Miasta Gorzowa. Zastępca redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego”, sekretarz RSTK w Gorzowie Wlkp. Autorka książek i arkuszy poetyckich, prac krytycznoliterackich, recenzji, wywiadów publikowanych w pismach regionalnych i ogólnopolskich.

Rita König

Poetka, prozautorka. Mieszka i pracuje we Frankfurcie n. Odrą.

Janusz Koniusz

Ur. w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Aleksandra Krawczyk

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, przygotowuje pracę magisterską poświęconą literaturze lubuskiej.

Anita Kucharska-Dziedzic

Adiunkt na Wydziale Humanistycznym Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia na Rzecz Kobiet „Baba”.

Sławomir Kufel

Ur. w 1965 r. w Międzyrzeczu, historyk i teoretyk literatury, profesor UZ.

Barbara Literska

Teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej im. K. Lipińskiego we Wrocławiu. Doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o sztuce. Jej zainteresowania badawcze dotyczą recepcji twórczości Fryderyka Chopina oraz dwudziestowiecznej polskiej twórczości kompozytorskiej. Obecnie jest prodziekanem ds. nauki Wydziału Artystycznego na Uniwersytecie Zielonogórskim.

Władysław Łazuka

Ur. w 1946 r. poeta, prozaik, laureat nagród i wyróżnień literackich. Często publikuje w prasie. Jego utwory pojawiają się na antenie Polskiego Radia. Autor zbiorów wierszy. Mieszka w Choszcznie.

Małgorzata Mikołajczak

Prof. UZ., kieruje Zakładem Teorii i Antropologii Literatury w Instytucie Filologii Polskiej UZ. Prowadzi Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną. Autorka monografii poświęconych twórczości Urszuli Koziół i Zbigniewa Herberta, niedługo ukaze się jej książka na temat literatury lubuskiej.

Dorota Modrzyk

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, przygotowuje pracę magisterską poświęconą literaturze lubuskiej.

Igor Myszkiewicz

Ur. w 1974 r., absolwent wychowania plastycznego Instytutu Sztuki i Kultury Plastycznej UZ. Uprawia infografię, rysunek, komiks, malarstwo. Członek ZPAP od 2004 roku. Pracuje w Muzeum Ziemi Lubuskiej.

Agnieszka Przybynowska

Studentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Jakub Rawski

Absolwent filologii polskiej; w 2010 roku na Uniwersytecie Zielonogórskim obronił pracę licencjacką dotyczącą ewolucji figury wampira. Obecnie pisze pracę magisterską z europejskiego romantyzmu. Stypendysta ministra nauki i szkolnictwa wyższego w roku akademickim 2009/2010. Wiceprzewodniczący Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ.

Robert Rudiak

Ur. w 1966 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, publicysta, krytyk literacki, historyk literatury i regionalista. Autor książek poetyckich; autor i współautor wystaw instalacji plastycznych oraz spektakli parateatralnych i montażu poetyckich. Laureat wielu konkursów poetyckich.

Urszula Seifert

Ur. w 1987 r. w Świebodzinie. Studentka V roku historii o specjalności archiwistyka na UZ. Od 2009 roku współpracuje z Gazetą Samorządu Studenckiego „UŻetka”. Od początku br. pracuje w Akademickim Radiu Index. Propagatorka poezji w mediach studenckich.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Poeta, autor 9 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Agnieszka Szpylma

Absolwentka filologii polskiej UZ. Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Izabela Taraszczuk

Germanistka, pracuje na stanowisku asystenta w Zakładzie Literatury Niemieckiej do XVIII wieku w Instytucie Filologii Germańskiej UZ.

Gerard Tomiak

Absolwent filologii polskiej UZ, doktorant Uniwersytetu Rzeszowskiego, nauczyciel, przewodniczący Rady Miasta i Gminy Rakoniewice.

Mieczysław Warszawski

Ur. w 1950 r. w Łaskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Joanna Wawryk

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki ze specjalnością edytorską. Pracuje w WiMBP w Zielonej Górze.

Artur Wodarski

Ur. w 1963 r. Poeta i prozaik. Publikował w „Kozirynku”, „Pegazie Lubuskim” i „Angorze”. W 2009 r. zdobył „Złoty laur Dziewina” w dziedzinie prozy oraz III miejsce w dziedzinie poezji. Mieszka w lubuskiej wsi Wyszanowo.

Konrad Wojtyła

Ur. w 1972 r. w Zielonej Górze; poeta, dziennikarz, krytyk literacki, doktorant na Uniwersytecie Szczecińskim. Mieszka w Szczecinie. Dziennikarz Polskiego Radia Szczecin. Zastępca redaktora naczelnego kwartalnika literacko-filozoficznego [fo:pa]. Autor tomików poetyckich; publikuje w czasopismach literackich i społecznych.

Polska Szkoła Stowarzyszenia Edukacyjnego Nauczycieli w Dublinie

POLISH TEACHERS ASSOCIATION, 55 Brook Court, Monkstown, Co Dublin



Polska Szkoła SEN w Dublinie zwraca się z prośbą o zbiórkę książek dla uczniów uczących się w naszej szkole. Książki zostaną przekazane do szkolnej biblioteki, z której korzystają zarówno nasi uczniowie, jak i rodzice oraz nauczyciele. Nasza szkoła w tym roku liczy 260 uczniów od klas 0 do klasy 2 gimnazjum. Z góry dziękujemy za wszelką pomoc w zbiorce polskich książek.

Polska Szkoła SEN w Dublinie wyraża zgodę na przetwarzanie danych szkoły w celach marketingowych podczas zbiórki książek.

Dyrektor PS SEN
Tomasz Bastkowski

Wszyscy chętni ofiarodawcy proszeni są o przekazywanie książek do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze przy al. Wojska Polskiego 9 (parter, portiernia) w godz. 7.00-19.00.

tel. +353870688592

e-mail: tbastkowski@gmail.com

www.szkołasen.com

